

II/10967

EUGENIUSZ NUROWSKI

„W zagniewaniu zrodzony” (eu. „stworzony”)

ZRODZONY W CIERPIENIU

WARSZAWA, 1992 r.

Prolog

W czerwcu 1956 r., w wieku 68 lat życia /1888-1956/ zmarł nasz ojciec. Czteroletni pobyt ojca na froncie 1914-1918 r. w armii rosyjskiej w charakterze sanitariusza dawał znać o sobie. Najlepszego zdrowia nie miał. Czasem dokuczało mu serce. Denerwował się bardzo i to byle czym. W ciągu dnia musiał wypoczywać, trochę się leczyć.

W 1937 r. w wakacje został przedwcześnie przeniesiony na emeryturę. Ale wydaje mi się, że nie wyłącznie stan zdrowia był tego przyczyną. Ojciec ukończył rosyjskie seminarium nauczycielskie, ale był wielbicielem Piłsudskiego, dobrym nie tylko Polakiem, lecz i dobrym polonistą. Mimo to, prawie co wakacje brali go na kursy dokształcające między innymi w języku polskim. Po powrocie opowiadał, że tam mówiło się też o tym, że młodzi dobrze przygotowani nauczyciele, mają trudności z uzyskaniem pracy, muszą jej szukać na Kresach Wschodnich za niskie pensje, mimo to, że są aktywniejsi, lepiej biegają z chłopcami w ramach "Strzelca" i tp. Wydawało nam się, że ojciec "machał na to ręką", ale na kilka lat przed śmiercią chyba miał owrzodzenie żołądka lub dwunastnicy. Nawet się leczył, był w szpitalu w Warszawie, ale mama chyba najwięcej ojcu pomagała dobrze wygotowywanymi na mleku płatkami owsianymi, które ojciec bardzo polubił.

Wczesną wiosną 1956 r. wymieszywał w żłobie gołymi rękami sieczkę polaną rzadkimi kartoflami. Głodny koń, śpiesząc się, buszował pyskiem po dnie i ugryzł ojcu koniec jednego palca. Przy zszywaniu skóry skróconego palca otrzymał środki znieczulające, mówiło się, że zbyt mocne. Palec zagoił się, lecz ojciec zmarł na serce.

W grudniu 1975 r. zmarła mama, w wieku 77 lat życia /1898-1975r./ na wylew krwi do mózgu. Wcześniej narzekała na reumatyzm. Po wojnie wiele lat mieszkała w starym, niedogrzanym, zimnym domu.

6 marca 1987 r. /1923-1987/ zmarł nasz najstarszy brat Henio.

W 1952 r. został magistrem ekonomii w SGPIIS, w 1956 r. magistrem praw w Uniwersytecie Warszawskim, w 1963 r. uzyskał doktorat w zakresie nauk ekonomicznych w SGPIIS, 23 czerwca 1975 r. został doktorem habilitowanym nauk ekonomicznych w Uniwersytecie Łódzkim, wkrótce docentem, a 15 stycznia 1986 r. uzyskał dyplom naukowy profesora nadzwyczajnego nauk ekonomicznych. Zawodowo przepracował 45 lat, w tym, przez ostatnie 14 lat w Wyższej Szkole Inżynierskiej imienia Kazimierza Pułaskiego w Radomiu. Pozostawił ponad sto opublikowanych pozycji, w tym 9 książek.

25 maja 1988 r. , w nocy, karetka pogotowia ratunkowego dowiozła mnie do Kliniki Pneumonologii Instytutu Chrób Wewnętrznych Akademii Medycznej w Warszawie, przy ulicy Banacha 1a. Miałem silną arytmieję serca. Przejawiło się to w szczególny sposób i o ile się orientuję rzadko występujący. W momencie układania się do snu na tapczanie poczułem silne swędzenie głowy, tak jakby osiadło na niej mnóstwo mrówek, następnie silne uderzenie serca i coraz silniejsze: buch, buch, buch. Z kolei odnosiłem wrażenie, że puchną mi wargi, nabrzmiwają, że nie mogę zamknąć ust, w końcu gwałtownie zaczął powiększać swoją objętość język, przestawał się mieścić w jamie ustnej i wydawało mi się, że z tego powodu zaczynam jak gdyby się dusić. I to wszystko się nasilało, potężniało. Ale jakaś doza świadomości pozostała. W mieszkaniu byłem sam, żona u córki w Słupsku. Resztkami sił zwlokłem się z tapczana i przez przedpokój ~~człgałem~~ się w kierunku klatki schodowej, do sąsiada. Po drodze spojrzałem w lustro twarz była niesamowicie czerwona. Ręką stuknąłem w drzwi. Sąsiad gdy mnie ujrzał, natychmiast wezwał Pogotowie i brata Zygmunta.

Leżąc kilka dni na łóżku szpitalnym zastanawiałem się nad swoim pochodzeniem i historią rodziny. Myślałem sobie, że może dobrze byłoby, przynajmniej "dla odległej potomności" ^{1/} odszukać naszych

przodków, poznać nasze korzenie, przecież "nie przybyliśmy znikąd"^{2/}. Postępujący proces tracenia więzi z rodziną pobudził mnie do chwycenia za długopis i spróbowania umieszczenia na kartach dziejów mojej rodziny, a przy okazji wskazania pochodzenia naszych antenatów. Zdawałem sobie sprawę, że taka koncepcja myślowa będzie wymagać poważnych badań archiwalnych. W tej sytuacji 16 lipca 1988 r. zwróciłem się do Ośrodka Badań Genealogicznych "Piast" w Pułtusku, ul. Zaułek 22 z prośbą o pomoc w przeprowadzeniu kwerendy w wyszukiwaniu pochodzenia moich dziadów, pradziadów, o pochodzeniu nazwiska i rodziny.

W latach 1988-1989 wspomniany "Ośrodek" poinformował mnie, że kilkaset lat wcześniej była przynajmniej jedna rodzina szlachecka Nurowskich, pieczętująca się herbem Kościeszka. Przedstawiciele tej rodziny pełnili różne urzędy w Rzeczypospolitej, służąc dosłownie Bogu i Ojczyźnie, jako, iż Stanisław Mikołaj był proboszczem dobro-milskim i plebanem w Rokitnicy w 1659 r. Ponadto w źródłach historycznych występuje też jakaś rodzina Nurowskich od 1740 r., herbu niewiadomego / napisano "niewiadomego", ale podejrzewam, że to błąd maszynowy/ na terenie powiatu pińskiego Nurowscy legitymowali się ze swego szlactwa w Królestwie Polskim /1852 r./ i w Cesarstwie Rosyjskim /1849 i 1861/. Wzmianka o herbie Kościeszka niewiele uściśla. Pieczętowało się nim sporo rodzin^{rodziny}. U Czesława Miłosza^{3/} czytamy między innymi, jak to pan Guze "snuje opowieści o serbskim pochodzeniu Miłoszów, a także pisze, że jego, to jest pana Guze rodzina wywodzi się z Francji, a ma również polski herb Kościeszka - Lubicz. Jest on również herbem Orłowskich i mojej babki, jak również matki z Bortkiewiczów" i t.d. i t.d.

Uzyskane wyniki tej wstępnej kwerendy do dziejów rodziny noszącej nazwisko Nurowski są efektem analizy bibliografii liczącej kilkanaście pozycji. Stwierdzenie, czy właśnie z tej rodziny wywodzą się

nasi przodkowie wymagało dalszych badań archiwalnych. Niestety, musialem poprzestać na "zamiarze według sił".

Wzrastanie

Ojciec nasz Stanisław Nurowski urodził się w 1888 r. w Strochcicach koło Sandomierza, jako drugie dziecko Antoniego i Katarzyny. Szkołkę początkową ukończył na miejscu. Rozsądny i z wyobraźnią nasz dziadek zdawał sobie sprawę z tego, że jego kilkumorgowe gospodarstwo rolne nie zapewni dzieciom stabilnego życia w przyszłości. Stąd też oddał ojca do seminarjum nauczycielskiego w Solcu nad Wisłą, które ojciec ukończył w 1910 r. Wkrótce podjął pracę zawodową w charakterze nauczyciela w Rembkowie koło Garwolina.

Tak się złożyło, że w sąsiedniej wiosce pracował, też jako nauczyciel, szkolny kolega ojca Jan Główka z Ciszycy. Ojcu jakiś czas gospodarzyła jego młodsza siostra, a nasza ciocia Helena. Dojechała tu też na jeden rok najmłodsza siostra ojca Wanda. Jan Główka często bywał u ojca, grał na skrzypcach, czasem we dwóch z ojcem i w ten sposób Główka poznał Helenę, która w niedługiej przyszłości została jego żoną.

Tymczasem 2 sierpnia 1914 r. wybuchła pierwsza wojna światowa i ojca, a także Główkę powołano do wojska, tym razem w charakterze felczerów. Z cofającymi się wojskami rosyjskimi znaleźli się na Polesiu. Ojciec raczej przypadkowo, aniżeli z przydziału znalazł się blisko kanoniera obsługującego dział przeciwlotnicze. Traf chciał, że kanonier zestrzelił samolot niemiecki i lotników wzięli do niewoli. Za ten czyn kanonier otrzymał jakieś znaczące wyróżnienie, a ojca, z tej racji, że był blisko wydarzenia odznaczono jakimś metalowym medalem.

Po zakończeniu wojny, w 1918 r. ojciec z Główką powrócili do centralnej Polski. Znowu podjęli pracę w szkole, w woj kieleckim.

W lipcu 1922 r. ojciec zawarł z mamą, Elżbietą Kalinowską ze Skuszczyna związek małżeński i już jako małżeństwo w 1922 r. wyjechali do Nieskurzowa Nowego w powiecie opatowskim. Tu ojciec znów podjął pracę, oczywiście w charakterze nauczyciela, w jednoklasowej, miejscowej szkółce. Mama pozostawała przy ojcu.

W kwietniu 1923 r. przyszedł na świat nasz najstarszy brat Henio, w październiku 1924 r. urodziłem się ja, a w 1926 r. siostra Zofia Krystyna. Przypominam sobie z opowiadań mamy, że gospodarze u których mieszkaliśmy przejawiali wiele tolerancji i pobłażliwości w stosunku do brata i moich dziecięcych wybryków. Między innymi wchodziliśmy na ułożone jedna na drugiej poduszki na łóżku, skąd skakaliśmy, lub zsuwali się niżej. Strofującej nas mamie gospodyni odpowiadała: "niech sobie skaczą, niech się zabawiają".

Gdy miałem około trzech lat, w 1927 r. rodzice przeprowadzili się z nami do Rudy, tegoż samego powiatu. Zamieszkaliśmy w nowo-wybudowanym przez ^{Gesie}gminę ^udrewnianym budynkiem szkolnym, krytym gontem. Już nie pamiętam, czy z miejsca, czy po kilku latach, ale gont przeciekał, z czym było sporo kłopotu.

Z Nieskurzowa do Rudy przyjechała z nami bardzo nam oddana służąca Weronka. Wkrótce mama z Weronką przystąpiły do ocieplania budynku szkolnego, w którym my też, jak już wspomniałem mieszkaliśmy. Polegało to na tym, że gliną rozrobioną z wodą, przypominającą miękkie, surowe ciasto, wypełniało się głównie przy pomocy ręki - rowki /wgłębienia/ pomiędzy balikami. Wgłębienia /podłużne/ zaistniały z racji " oflisów". Ściana wewnątrz mieszkania i w izdebce szkolnej miała być równiejsza, gładsza, a przede wszystkim cieplejsza. Następnie po wyschnięciu, ściany były "bielone" wapnem z domieszką niebieskiej farbki, przy pomocy umieszczonego na kiju pędzla, najlepiej ze słomy prośnianej.

Drewniane podłogi były z reguły raz w tygodniu, "na niedzielę"

zmywane wodą z mydlinami. Przez kilka lat pojedyncze i nieszczelne okna, a także cienkie ściany nie zatrzymywały wszystkiego ciepła w budynku było zimno. Odczuliśmy to szczególnie dotkliwie w 1928 r. w czasie tzw "ciężkiej zimy". Duże opady śniegu i niesamowicie silne mrozy gnębiły nas aż gdzieś do połowy marca. Mama zapędzała nas ciągle pod pierzyny. Na okna zawieszała wełniane koce, które otrzymała w wianie od babci.

Wreszcie, pamiętam, że w początkach wiosny mama dość energicznie weszła do pokoju, w którym jeszcze byliśmy w łózkach i z widoczną radością oznajmiła nam, że ciężka zima się kończy. Zaświeciło jasne słońce, z dachu, z długich sopli kapłała woda i pamiętam, jak mama odetchnęła z ulgą, mówiąc, że może to być jeszcze za wcześnie, ale przed chwilą obleciała naszą szkołę jaskółka i poszybowała nad polami gdzieś dalej, niosąc innym dzieciom tę radosną o zbliżającej się wiosnie wiadomość.

Od uliczki, tj od drogi, jak się najczęściej mówiło, od strony południowej, tamtejszy architekt zaprojektował dwie izdebki szkolne, rozdzielone małym korytarzykiem, a także małe ganeczki z dwoma ławeczkami po bokach. Nad gankiem, na tablicy umieszczono napis: "Dwuklasowa Publiczna Szkoła Powszechna w Rudzie". Nad tym orzeł. Wchodząc do budynku szkolnego "od drogi", od strony frontu przez ganek, z korytarzyka na lewo trafiało się do jedynej, jako tako wykończonej izdebki szkolnej, w której dłuższy czas uczyły się dzieci klas od I do III. Dochodziły one z Rudy, z Gór, z Gęsic, Duraczowa, Melonka i Kozłówka, w promieniu mniej więcej od 3 do 3 i pół kilometrów.

W siódmym roku mojego życia i ja się tu znalazłem. Pamiętam, jak w końcu sierpnia, po wakacjach, matki innych kandydatów do nauki w klasie pierwszej przyprowadzały swoje dzieci do tzw "zapisu" do szkoły. Były one, tak jak i ich dzieci bardzo przejęte.

Przed szkołą był ustawiony niewielki stolik, leżało tu nieco różnego papieru i ojciec dokonywał rejestracji dziecka. Następnie matka dziecka kładła na stoliku kilka jajek, wydaje mi się, że pamiętam, jak ojciec grzecznościowo protestował i po wymienieniu z ojcem dwóch, trzech zdań, odchodziła w tym dniu z dzieckiem do domu. Dziecko zostało do szkoły przyjęte.

W niektórych dwuosobowych ławkach chłopcy siedzieli oddzielnie od dziewcząt, po dwóch, a ponieważ w klasie I liczba dziewcząt była nieparzysta, aby wykorzystać wolne miejsce, ojciec usadził mnie w jednej ławce z dziewczynką. Cóż to był za bunt z mojej strony. Z najbardziej błahego powodu, a najczęściej bez powodu szarpałem moją sąsiadkę za włosy, za fartuszek i krzyczałem, aby się przeniosła do innej ławki. Dopiero gdzieś w początkach lat trzydziestych jako tako wykończono drugą izbę szkolną z prawej strony korytarzyka, gdzie znalazła pomieszczenie klasa IV, ale to już następny etap naszego zamieszkiwania w Rudzie, wiążący się z przybyciem do Rudy dodatkowej "siły nauczycielskiej" z Kęt, jak mówiliśmy z Galicji, pani Bronisławy Jury /nazywanej przez nas Jurzanką/, a także z podniesieniem stopnia organizacyjnego szkoły, przez wprowadzenie klas IV i V.

W tym mniej więcej czasie gmina spowodowała, że na dachu budynku szkolnego położono drugą warstwę gontów i od tego momentu podłącza deszczu woda nie kapiała nam na głowy.

Wnet pani Jurzanka nauczyła nas takiej oto piosenki:

O mamó, otrzyj oczy,
z uśmiechem do mnie mów,
ta krew co z piersi broczy,
ta krew to za nasz Lwów

Mamó, czy jesteś ze mną,
nie słyszę Twoich słów,
w oczach mi trochę ciemno,
obroniliśmy Lwów.

My mieszkaliśmy w północnej części budynku szkolnego i ta cała część też dzieliła się na dwie części. Po prawej stronie idąc od "drogi" był pokoik i kuchenka, a po lewej stronie pokoik przewidziany po wykończeniu też na kuchenkę, a za nią następny pokoik, jak pamiętam najzimniejszy i przeważnie sypiał tu ojciec. Czasem pokoik ten pełnił rolę "reprezentacyjnego", gdzie sporadycznie odbywały się "miniprzyjęcia", rzadko odwiedzających nas gości. Rodzeństwa przybywało. W 1928 r. urodziła się Anna Jadwiga, a po półtora roku, lecz jeszcze w 1929 r. siostra Irena, a w dalszej kolejności Barbara w r., w 1934 r. brat Zygmunt, a w 1936 r. znów siostra Stanisława Lucyna. Przyszedł jeszcze na świat nasz najmłodszy brat Marian Romuald w 1939 r., ale w Słuszczyńcu, gdyż z Rudy wyprowadziliśmy się w 1937 r., o czym później. Jak widać, liczba mojego rodzeństwa była znaczna, ilość osób przypadających na 1 metr kwadratowy spowodowała, że pierwotny zamysł gminy, aby już wspomniane po lewej stronie niewykończone pomieszczenie przygotować jako kuchenkę, która z wcześniej wymienionym do niej przylegającym "najzimniejszym pokoikiem stanowiły oddzielne mieszkanie dla dodatkowej siły nauczycielskiej - nie doszedł do skutku. Tak więc nauczycielka Bronisława Jura zamieszkała "we wsi", u Tomasza Masternaka / po zmianie właściciela u Ludwika Zwolińskiego/ w wynajętym pokoiku, po drugiej stronie rzeczki, w niewielkiej odległości od szkoły. My zaś, tzn. nas ośmioro rodzeństwa, rodzice i służąca zajmowaliśmy trzy pokoiki i kuchenkę, o łącznej powierzchni gdzieś 40 m kwadratowych. Nad łóżkiem służącej w kuchni od dość wysokiego przygłównika /przy głowie/ do drugiego przy nogach leżał całą szerokością i długością łóżka drewniany blat, który spełniał rolę stołu kuchennego.

Wkrótce po jakim takim wykończeniu i wyposażeniu budynku szkolnego, na interwencję ojca gmina pobudowała niewielką, drewnianą

obórkę. Rodzina nasza się powiększała, mama jeszcze w okresie swojego panieństwa ukończyła szkołę rolniczą w Mokošynie k Sandomierza i w Gołotczyźnie; po zamążpójściu zawodowo nie pracowała, trudniła się naszym wychowaniem i gospodarstwem domowym. Z jednej pensji ojca trudno byłoby nas wszystkich wyżywić i ubrać, inspirowała więc hodowlę przeważnie dwóch krów, kilku świnek i kilkunastu kur. W obórce mieściły się tylko krowy, ^{ma} astrychu po drabinie kury, a dla świnek ojciec wybudował z olchowych żerdzi, gałęzi i wikliny niewielki chlewik. Na ^m zińę chlewik był ocieplany ściółką z lasu. Ten "materiał budowlany" był kiepski; żerdzie i gałęzie nie były okorowane, szybko butwiały i gniły. Ojciec rok rocznie musiał chlewik poprawiać, reperować.

Hodowlą mama zajmowała się bardzo pieczołowicie. Krowy były nieźle karmione, pełnotłustego mleka nam wystarczało. ⁱ Pierwszą krowę "Bur^ochę" mama otrzymała w wianie od swej matki, a naszej babci Marianny Kalinowskiej. Bur^ocha w dojeniu była "mieękka", mama ją z tego względu chwaliła. Druga krowa - to "Granicha", córka "Bur^ochy". Była wyższa od matki, bardziej niespokojna, lubiła od czasu do czasu kopnąć nogą nawet swą troskliwą opiekunkę, w dojeniu "twardsza", lecz gdy miała spokojne dni - dawała więcej mleka. Świnek w roku hodowała mama kilka, od 3 do 5 sztuk. Lecz bardzo rzadko się zdarzało, aby utuczona świnka przeznaczona była na spożycie w rodzinie. Tuczniaki przeważnie były sprzedawane. Mama karmiła też ich nieźle. Koryta napełniała wspólnie z Weronką / a po kilku latach z następną służącą Józją / gotowanymi i tłuczonymi ziemniakami, wymieszanymi z ospą. Czasem to pożywienie dla pobudzenia apetytu - mama lub służąca polewały zsiadłym mlekiem. Zapach w podobny sposób przygotowanego pokarmu rozchodził się wokół chlewika. Od strony północnej, w niewielkiej odległości przepływała mała rzeczka /Łągówka?/. Brzegi miała gęsto porośniętymi, róż-

nymi dzikimi krzewami. Od tej strony zagroziło nam i prowadzonej hodowli niebezpieczeństwo.

Na podwórku i w gospodarskich budynkach zjawilo się mnóstwo szczurów. Stały się tak bezczelne, że wprawdzie sporadycznie, ale odważały się skoczyć na nóżkę, lub na brzuszek małego dziecka. Bezceremonialnie wchodziły do krowich żłobów, świńskich koryt i do kurzych misek i z niesamowitym tupetem wyjadały pokarm przeznaczony dla krów, świń i kur. Rodzice określili tę sytuację mianem plagi. W niedługim czasie ojciec przyniósł z apteki w Łagowie jakąś silną truciznę w postaci proszku. Wieczorem, kiedy zbliżyła się pora karmienia inwentarza ojciec powynosił na podwórko wszystkie pojemniki paszowe. Mama wspólnie z nami dzieciakami zapędziła kury na strych ^oobórki, upewniła się, że świnki i krowy o tej porze nie wyjdą na zewnątrz, a nas usiłowała przekonać do pójścia do mieszkania. Nie zupełnie się to mamie udało, gdyż co chwilę cicho podchodziliśmy z tyłu do ojca i podglądaliśmy, co też ojciec w tych korytach będzie robił. W międzyczasie mama wsypała do pojemników ugotowane ziemniaki, potłukła je tłuczkiem i przystąpiła do wsypywania do nich ospy - tak, jak to codziennie robiła. Równocześnie ojciec wsypał wcześniej wspomnianą truciznę i ^{to}~~jak~~ wszystko wymieszał jakąś niewielką drewnianą łopatką. Nasępowała szarówka. Rozchodzący się wokół zapach świeżo ugotowanych ziemniaków wymieszanych w korytach i miseczkach i charakterystyczne stuki łopatki nie uszły uwagi czających się w pobliższych zaroślach i różnych zakamarkach szczurów. My jeszcze podglądając z tyłu ojca widzieliśmy, jak nie-mal za każdym machnięciem łopatki ukazywał się w korytkach dość jasny błysk. Niesamowicie silna trucizna skomentował to zjawisko ojciec. Zanim zdążyliśmy wraz z ojcem wycofać się na dalszą od korytek odległość - najpierw pojedynczo, a za chwilę, na naszych oczach już gromadnie szczury dopadły do pokarmu i z niesamowitym apetyte^m~~ż~~

rozpoczęły połykanie w ten sposób zatrutych ziemniaków z ospą. Bardzo szybko pojemniki paszowe zostały opróżnione i szczury wycofały się do swoich kryjówek i siedlisk.

W mieszkaniu wieczorem rodzice rozmawiali z sobą i z nami na temat skuteczności zafundowanego szczurom poczęstunku. Zakładali, że trucizna winna w jakimś stopniu szczury odstraszyć. Jakież było następnego dnia ^{namo} radosne zdumienie mamy, która pierwsza spostrzegła, że wokół obórki, chlewika i budynku szkolnego, a także w dalszej odległości w trawie i krzewach leżało ^o mnóstwo martwych szczurów. Wkrótce mama ze służącą zbierały je widłami i zakopywały. Klęska szczurów była całkowita. Odtąd już w żadnym roku, a mieszkaliśmy w Rudzie jeszcze kilka lat, nie było w naszym podwórku tak dużej ilości szczurów jak przed ich wytruciem. Owszem, zdarzało się, że gdzieś szybko przemknął jakiś okaz, lecz kot i nasz dzielny pies Wiluś radzili sobie z nimi doskonale.

Pewne też kłopoty sprawiała hodowla kilkunastu zwykle kur. Mama w trosce o nasze wyżywienie uprawiała kilka grządek z warzywami. Kury grzebały w nich i niszczyły zasiewy. Po pewnym czasie ojciec doprowadził do tego, że gmina ogrodziła płotem ze sztachet dwa poletka przed szkołą od strony południowej. Pomędzy ogrodzonymi poletkami pozostawiono alejkę prowadzącą do szkoły. W ten sposób uprawy mamy zostały przed kurami zabezpieczone. Lecz całość podwórka nie została nigdy ogrodzona i kury biegały na pola sąsiadów.

Od strony zachodniej był pasek pola wdowy po Franciszku Zdybowej a uprawiał go jej syn Władek Zdyb z Melonka. Był mniej więcej w moim wieku, a może nieco starszy, lecz będąc zaledwie w pierwszej klasie chwycił za capigi pługu ciągniętego przez konia ^W wspólnie z matką orali pole. Przebywaliśmy razem w klasach od pierwszej do czwartej. Im była to klasa wyższa - tym rzadziej Władek w niej

bywał, natomiast częściej spotkać go ^{można} było na polu. W klasie III Władek miał wielkie trudności w czytaniu. W cieplejsze dni jesienne lub wiosenne, jeśli tylko sytuacja na polu na to pozwalała przechodził do mnie i na ganku usiłowaliśmy czytać teksty z książki. Nie mógł ze zgłosek złożyć wyrazu, z sylab słowa. Ja nie chcąc go dodatkowo peszyć, celowo przy czytaniu też się jąkałem i po pewnym czasie niby to pokonałem trudności i poprawnie odczytywałem wyraz, czy krótsze zdanie. Przekonywałem go, aby się nie zrażał, lecz aby czytał, to napewno się nauczy. Nie mogę nic powiedzieć na temat pisania, bo nie przypominam sobie, abym widział ^{Władeka} Władka zeszyt. W każdym razie Władek z powodzeniem nauczył mnie orać.

Na polu u Władka widziało się najczęściej ziemniaki, owies lub żyto. Rzadko jęczmień, czasem kawałeczek prosa. Tych upraw jakoś nasze kury zachłannie nie atakowały. Natomiast od strony wschodniej ciągnął się kilkumetrowej szerokości pasek pola, znacznie węższy aniżeli to było u Władka i uprawiały go przy pomocy krów dwie samotne siostry Sitkówny już dorosłe. Tak jak Władek pochodziły z Melonka. Czasem pomagała im też ich matka, już starsza osoba. Krowy przyciągały na pole nieco obornika na niewielkim wozie, siostry roztrzasały go, trzymały za krowami pług przyorując obornik, gdy zachodziła potrzeba bronowały pole, a matka najczęściej pielila.

Jedna z tych sióstr - Zosia, za odpowiednim wynagrodzeniem pomagała i nam. Przeważnie w dniach nasilonych prac polowych, gdy mama wychodziła do miasteczka po zakupy, albo gdy służąca miała "wychodne". To dziwne, że my dzieciaki nie słyszeliśmy, aby kury nasze czyniły u bezpośrednich sąsiadek - sióstr, podobnie jak i u Władka jakiegokolwiek szkody /zniszczenia/ w polu. Jakoś przecho-
dziły /owszem/ przez pole w poprzek i zatrzymywały się ^{na} na kolejnym poletku, należącym do Adamka, mężczyzny w sile wieku, lecz nie-wielkiego wzrostu, też z Melonka. Być może, że pasek ten był bar-

dziej urodzajny. Uprawiał tu Adamek nieco warzyw, trochę konopi, lnu, a czasem proso. Kury wyrwały się w tym kierunku przy każdej okazji, mimo tego, że my dzieciaki mieliśmy obowiązek pilnować, aby tam nie wchodziły. Zdarzało się, że niektórym kurom udało się na tym polu wygrzebać kilka dołków. Jeśli to zauważył Adamek wszczy-
nał niesamowitą awanturę. Klął, obrzucał ojca i całą naszą rodzinę obrzydliwymi słowami i groził, że pozabija kury, a i nam wszystkim też się oberwie.

Podczas takiej, którejś tam awantury, nauczycielka Bronisława Jura doradziła ojcu, aby nic się nie odzywał, lecz by na papierze położonym na daszku studni zapisywał wypowiedane obraźliwe słowa. Trochę poskutkowało. Adamek zaczął się uspakajać, aż zszedł z pola i udał się w kierunku swego domu, Mama jednak doszła do wniosku, że przed południem, dopóki my starsze dzieciaki jesteśmy w szkole - kury powinny pozostawać zamknięte na strychu obórki. Być może, że między innymi to rozwiązanie spowodowało, że po pewnym czasie awantury niemal całkowicie wygasły.

Bliżej chlewika i obórki, kilka metrów od budynku szkolnego, mniej więcej pośrodku podwórka, prawdopodobnie przy wydatnej pomocy wynajętych mieszkańców raczej z Melonka anizeli Rudy zjawiał się dół na ziemniaki. Ziemię wybraną z powierzchni gdzieś 3 na 5 m, do głębokości około półtora metra wyrzucono w bliskiej od dołu odległości. Ściany /boki/ "dołu" nie miały żadnych wzmocnień, ani utwardzeń, to samo odnosiło się do podłogi, poprostu wszędzie była ziemia. Nadziemna konstrukcja "dołu ziemniaczanego" była wykonana z materiału, tak jak i przy chlewiku z grubszego pnia olchowego położonego wzdłuż dołu pośrodku na wysokości około jednego metra, przy wejściu nieco wyżej, w końcu dołu nieco niżej i wsparta była na ^{olchowych} ~~olchowych~~ krzyżakach. Od tego kloca na prawo i na lewo ułożono grubsze i cieńsze gałęzie olchowe. Opierały się one końcami raz o

wzniesiony pień olchowy, a drugim końcem o krawędzie dłuższych boków dołu. Gałęzie olchowe zostały uszczelnione wikliną. Następnie całą tą konstrukcję dachową przysypano wcześniej wybraną z dołu ziemią. Wejście do dołu od ^{jego} węższej i wyższej strony zasłaniane było wiązką słomy lub naci kartoflanej. Nadziemna część dołu, mająca przypominać dach była nietrwała. Główna belka szybko gniła, a jeszcze szybciej gniły cieńsze przecież gałęzie. Z nieutwardzonych boków obsypywał się na spód dołu piach i mieszał się z ziemniakami. Tak, że rok rocznie, zwykle w końcu wakacji ojciec wykonywał remont dołu.

Po kilku latach stanęła też na podwórku niewielka stodołka. Tak, jak budynek szkolny i obórka - kryta była gontem. Składane tu było zboże, nieco siana i drzewo opałowe.

Ostatnią inwestycją ufundowaną przez gminę na rzecz szkoły była studnia z kilku kręgów, zabezpieczona od góry drewnianym daszkiem. Dotychczas woda do użytku domowego donoszona była wiadrami z pobliskiej rzeczki. Od początku woda w studni wydawała się podejrzana. Była koloru mocno rdzawego, o smaku żelaza. Wykonawcy, a także miejscowi znawcy doradzali, aby jak najwięcej wody ze studni wybierać, wylewać obok na pole i w ten sposób woda w studni się odżyści. Nic to niestety nie pomogło. Woda zawierała w sobie tak dużo żelaza, że nie nadawała się do spożycia. Musieliśmy wrócić do przynoszenia wody z rzeki, i tak to trwało przez cały czas naszego pobytu w Rudzie.

Jak pamięcią sięgnę, a może miałem wtedy czwarty lub piąty rok życia, gdy dopiero co zamieszkaliśmy w Rudzie, aby można było jako tako żyć, ojciec musiał podjąć walkę z gminą w Gęsicach, z siedzibą w Kozłowie, gdzie sekretarzem był p Gierczyc, o już wspomniane dotychczas przeze mnie dodatkowe "inwestycje". Ojciec musiał wytrwale i stanowczo domagać się wybudowania obórki, położenia podłogi

w drugiej izbie szkolnej, przeznaczonej na III i IV klasę, wykonania szalunku na budynku szkolnym /obicie budynku dookoła deskami/, położenia na dachu drugiej warstwy gontów, bo ciekło, postawienia płotu-ogrodzenia dwóch działek przed frontem szkoły, pobudowania na małej sionki przed wejściem do kuchni, stodołki i wybicia - jak się później okazało nieużytecznej studni. Gminę prześladował chroniczny brak pieniędzy. Ojciec to wywalczał dużym trudem. W każdym roku przywiezienie z lasu do szkoły opału na zimę, około kilkunastu metrów sześciennych drzewa, popiłowanie i porąbanie go, a także dowiezienie ściółki z lasu na ogacenie budynku szkolnego - było poprzedzone wieloma wizytami ojca w gminie. O tak zwany "dół ziemniaczany /piwnicę/ ojciec nie walczył. To był już jego własny pomysł, wysiłek i koszt. Każdorazowo dochodziło pomiędzy ojcem a sekretarzem gminy w Gęsicach, z siedzibą w Kozłowie do gwałtownej, głośnej i ostrej wymiany zdań, dochodziło do wzajemnego gniewania się na siebie. Ale ten stan ulegał wyraźnej poprawie po zrealizowaniu przez gminę wniosku ojca. Wtedy dochodziło do spotkania ojca z sekretarzem, zwykle w naszym mieszkaniu. Na stole zjawiało się nieco wędliny, kilka słoików z grzybkami i kieliszki. Sekretarz często wał ojca papierosami, czasem się całowali przed rozstaniem, a po pewnym czasie ojciec wymiotował, bo z reguły nie palił.

Grunt w Rudzie na który^{my} była usytuowana szkoła, a później też budynki gospodarskie wynosił dwie morgi. Szerokość miał zbliżoną do pola należącego do Władka Zdyba, a ciągnął się od wspomnianej już rzeczki, w kierunku południowym, za dróżkę, do niewielkiego wzniesienia włącznie. Była to ziemia uprawna, a korzyści stąd płynące należały do ojca, do naszej rodziny. Najczęściej rosło tu żyto, czasem mieszanka, tj. owies z jęczmieniem, ziemniaki, rzadko zjawiało się poletko konicyzny. Żadnych drzew owocowych nie było. Natomiast tuż za obórką i stodołką, w kierunku rzeczki był niewielki

kawałek poletka z bardziej urodzajną ziemią, obsiany białą i czerwoną koniczyną.

Od wiosny do żniw, wypasały się tu nasze krowy, ^ggdą tu już nie było co skubać Granicha i Burocha najczęściej były przepędzane w kierunku południowym od szkoły, za drogę, na ściernisko. Paszy było tu niewiele. Gdy ani służąca, ani my dzieciaki nie mieliśmy możliwości przypilnowania krów aby nie dożywiały się na polach sąsiadów, najczęściej mama krowy palowała. Z rana, o chłodzie krowy w miarę spokojnie wyszukiwały w ściernisku chwasty i niewielkie ilości trawy, lecz później, gdy słońce zaczynało przygrzewać, a w dodatku muchy i większe od nich baki dotkliwie ich kąsały, krowy rozpoczynały przyspieszony marsz każda wokół swego palika, a kilkumetrowej długości powróż od rogów krów do palika coraz mocniej się naprężał. Gdy marsz zamienił się w zdecydowany kłus - raptowniejsze szarpnięcie łbem powodowało, że niewielki palik wyskakiwał z ziemi, a Granicha i Burocha, uradowane odzyskaną wolnością, z podniesionymi do góry ogonami - galopując wpadały na podwórko. Wtedy mama zachęcała kogoś z nas kto miał lekcje w późniejszych godzinach, aby znów wypędził krowy na pole. Mieliśmy wówczas dużo wymówek. Zgłaszaliśmy wiele utrudnień, tak, że zrezygnowana mama zwykle proponowała służącej, aby ona wzięła krowy za powrozy, by jeszcze przez jakąś godzinkę poskubały resztki trawy, lecz tym razem już na miedzach pomiędzy naszym polem, a polami sąsiadów. Oprócz wypędzania krów na pastwiska, mama dokarmiała je sieczką okraszoną obierkami ziemniaczanymi, wiązką siana lub koniczyny, a czasem skruszonym lub rozmoczonym makuchem z olejarni.

Mieliśmy jeszcze w kierunku zachodnim dwa niewielkie kawałeczki łąki, gdzie trawę się kosiło, suszyło i zwoziło do stodołki, lub na strych szkoły. Jeden kawałek o wielkości 5 na 20 metrów był położony nad rzeczką pomiędzy Rudą a Duraczowem, w odległości około

1,5 km od szkoły. Tu sporadycznie sam ojciec lub służąca przypędzali krowy aby je pożywić, ale to miało miejsce bardzo rzadko, raczej tę ~~łąkę~~ łąkę kosiło się, a trawę zawoziło na teren szkoły.

Bardziej na zachód, w kierunku Łagowa, pośrodku ^{Duraczowa} Duraczowa znajdował się drugi przypisany do szkoły kawałek łąki, mniej więcej trzy razy większy od poprzedniego, około 2 km od szkoły. Zbierane tu przed żniwami siano, jak i po żniwach potraw przeznaczone były w większej części na zimę. Składało się je też przeważnie na strychu szkoły.

Ostatni już kawałek ziemi uprawnej usytuowany był w kierunku wschodnim od szkoły, w stronę Kozłówka, na tak zwanej "Kaczmarce". Też około 1,5 km od szkoły. Dalej droga prowadziła do Iwanisk. Uprawiał tu ojciec na zmianę raz żyto, a w następnym roku ziemniaki. Blisko tego poletka sąsiad miał mało wykorzystaną stodołę. Ojciec jakoś dogadywał się z właścicielem i żyto z tego poletka było tu zwożone i przechowywane w tej właśnie stodole. W jednym roku, po żniwach, dwaj wynajęci ludzie wymłócili cepami złożone tu żyto. Ziarna jeszcze nie oczyszczonego młynkiem z plew było około 5 kwintali. Ojciec wybrał się tu, by to ziarno obejrzeć i ludziom za młóckę zapłacić. Zaskoczenie było wielkie, gdyż ziarna na klepisku nie było. Ojciec był zmuszony zapłacić za pracę, której śladów nie znalazł. Ziarno poprostu ktoś skradł.

Zdarzały się i inne, chociaż podobne w skutkach przypadki. W jednym roku, jakoś na jesieni, pały dwa dorosłe tuczniki. Mówiło się, że na czerwonkę. Ojciec z pomocą mamy i służącej wywlókł je z chlewika i zakopał z tyłu za obórka. Po jednym, czy dwóch dniach od wydarzenia zgłosili się mieszkańcy z sąsiedztwa z prośbą o pozwolenie wykopania zdechłych poprzedniego dnia tuczników i zabrania w celu spożycia. Na to ojciec absolutnie się nie zgodził. Innym razem, jakiś jeszcze młody, może dwudziestokilkuletni żyd przyniósł

w koszyku sporo ususzonych korzonków wiśni. Usilnie zachęcał mamę by te korzonki kupiła. Przekonywał, że po zaparzeniu będzie z tego wspaniała "cyrwinińsko arbata". Mimo to, że pragnął w zamian uzyskać jedynie "niewielkie grosze", mama się nie skusiła. Argumentowała ze swej strony, że z tego nie będzie nigdy herbaty, jedynie coś, co przypomina napar ziołowy.

Dość często odwiedzała nas "babka tarapatka". Mówiła dużo, bardzo szybko i trudno było uchwycić logiczny związek wypowiedzianych słów i przeważnie krótkich zdań. Posiedziała odpoczęła nieco, schowała otrzymany datek /jałmużnę/ i wędrowała dalej.

Od czasu do czasu odwiedzała nas też mocno zawsze opatulona inna "babka". Miała na sobie mnóstwo najróżniejszych, bardzo zniszczonych, starych sukienek, chusteczek, jakiś kapci, rękawiczek, torebek, szmatek i temu podobnych dodatków. Do mieszkania raczej nie wchodziła. Zwykle siadała na ławeczce w ganku i zadowolona się każdą jałmużną. Po wielokrotnym przełożeniu z miejsca na miejsce wielu fatałaszków /wyglądało na to, że ciągle czegoś szuka/, powoli podnosiła się i kierowała swe spowolniałe kroki do jednej z otaczających nas wiosek.

Odwiedzali nas też jeszcze stosunkowo młodzi mężczyźni. Zwykle w mocno zniszczonych ubraniach, spod których czasem wyglądały rozpięte koszule. Przychodzili pojedynczo. Wyjaśniali, że są bezrobotnymi. Najchętniej by przyjęli kilkadziesiąt groszy. Nie pamiętam już, jak często mama spełniała to ich życzenie, ale utkwiło mi w głowie, że przynajmniej niektórzy z nich kromki chleba z masłem nie chcieli przyjmować.

Raz wysłany w jakiejś sprawie przez mamę wszedłem na podwórze gospodarza Piotra D. Był on żonaty z córką gajowego. Rzadko, ale bywałem w jego jednoizbowym mieszkaniu. Zapamiętałem jedno łóżko, wypełnione słomą, pościeli nie dostrzegłem. W łóżku przebywała

gospodyni- mama. Na niej i wokół niej w koszulkach zabawiało się kilkoro, a może kilkanaścioro dzieci. W tym z pewnej odległości ujrzałem Piotra D. jak odpiłowywał urzędowe znaki z kłoców, przed chwilą ^{przyniesionych} z lasu. W pewnym momencie Piotr D. rzucił piłę i uciekł. Obok mnie znalazł się gajowy z jakimś pomocnikiem i zaczęli kloce liczyć i mierzyć. Sąsiedzi Piotra, jacy po pewnym czasie się zjawili rozmawiali między sobą, że "znów będzie kara". Długo nie mogłem zrozumieć, że można karać męża swojej córki, córkę i wnuczki. Bo co pewien czas działo się coś zaskakującego dla mnie.

Raz w ciepły i słoneczny Dzień stojąc obok naszej szkoły od strony Iwanisk dostrzegłem jakąś zbliżającą się białą postać. Wkrótce zorientowałem się, że był to młody mężczyzna, miał na sobie tylko krótką koszulę, ręce założone do tyłu. Szybko wszedłem do mieszkania i zacząłem o tym opowiadać ^{rodzicom}. W tym ^{momencie} mężczyzna - zjawa już stanął z zewnątrz przy naszym oknie i zaczął coś przez szybę mówić do ojca. Jednocześnie manipulował z tyłu dłońmi. Nagle opadł z nich na ziemię skórzany pasek i jego ręce stały się wolne. Twarz przybysza zajaśniała radością. Do naszego ojca, który zbliżył się do okna, zaczął coś głośno mówić. I wtedy nadszedł z tyłu ojciec nieszczęśnika. Szybko pochwycił leżący na ziemi pasek i znów spiął dłonie chorego syna, który poddał się temu zabiegowi bez większego oporu. Ojciec doprowadził go do pustej chwilowo obórki przy pobliskim młynie. Jakoś udało mi się tam zajrzeć i zauważyłem, że chory wyższymi częściami spiętych rąk, barkami, plecami i nogami usiłował zrobić dziurę, jakiś wyłom w ścianie, by wyjść na wolność. Po pewnym czasie nieszczęśliwy uspokoił się. Słysząc było jak dość głośno mówił, że "już nic nie chce, chce tylko papierosa". Wkrótce dowiedzieliśmy się, że był to Paciura z Gór, syn dość zamożnych rodziców. Krążyły takie opowieści, że swego czasu zapragnął ożenić

się z biedną dziewczyną. Rodzice absolutnie nie zgodzili się na to. I rzekomo na tym tle dostał pomieszczenia zmysłów. Gdzieś po godzinie ojciec z chorym synem udali się w kierunku swojego domu.

Czasem niewiele brakowało , aby padła jedna z naszych krów. Wystarczyło, że wbiegła w koniczynę, łapczywie połknęła kilkanaście kęsów i po chwili była niesamowicie wzdęta. Gwałtownie zgromadzony pokarm w żołądku wytwarzał gazy, które nie miały ujścia. Biegło się wówczas szybko do Edwarda /Machała?/ Gajewskiego, młynarza, aby przyszedł z sondą. Wtedy ktoś silniejszy rozwierał krowie pysk, którądy sprężynową, metalową sondę wkręcało się aż do żołądka i gazy uchodziły. Nasze krowy zawsze w ten sposób udawało się uratować.

Gajęski nie tylko męł zboże w młynie, ratował krowy przy pomocy metalowej sondy, ale także próbował budować mosty na spływającej z gór obok nas niewielkiej rzeczce. Pomagali mu w tym jego synowie: Wicus, Michaś i Stefan. Przez kilka lat konstruował i budował mosty drewniane. Nie przetrwały one z reguły dłużej jak jeden sezon. Na jakieś trzy lata przed wojną ugodził się z gminą na wybudowanie mostu kamienno-betonowego. Gdzieś w ciągu trzech wiosenno-letnich miesięcy 1934 r. stanął most o dwóch łukach wspartych na trzech filarach. Przetrwał jesień i zimę 1934/1935 r. Wiosną 1935 r. potężnie wezbrane wody rzeczki podmyły filary i most znów z łoskotem runął. Częściowo zachowały się dwa boczne filary i jedna górna boczna krawędź. Środkowy, całkowicie roztrzaskany filar został popchnięty kilka metrów w biegiem wody. Gdy w 1937 r. wyjeżdżaliśmy z Rudy resztki betonowego mostu jeszcze tkwiły w brzegach rzeczki, a nad nią wisiała ocalała krawędź mostu. Po kilkadziesiąt lat dojechałem do Rudy. Przez rzeczkę znów był przerzucony most. Budowali go już inni ludzie, ale też drewniany, jak w zaraniu dziejów. Nie wiem jaki był „nemiecki post i cygańskie nabożeństwo,” ale te mosty to na pewno było błazeństwo.

Atrakcję stanowiła para gołąbków przyniesiona nam przez ucznia z Gęsic. Samczyk był tak niepłochliwy, że podfruwał dopiero wtedy, gdy prawie stanęło mu się na ogon. Rozmnożyły się one znacznie i czasem mama proponowała, aby kilka sztuk przekazać na obiad, co oczywiście ~~uczyniłem~~, chociaż bez entuzjazmu. Jednego dnia w wakacje do naszych gołąbków dołączył ^{semołnik} samczyk, duży gołąb, o żółtym upierzeniu. Przyjechał wtedy do nas z Ostrowca Świętokrzyskiego na rowerze, nieco starszy od nas Wacek Główka, nasz cioteczny brat. Wspólnie nęcąc przybysza pokarmem udało się go schwycić. Przetrzyliśmy go w klatce przez noc, ale następnego dnia rano nasz starszy brat Henio zauważył, że schwytany gołąb może mieć gdzieś własne, nieporadne, małe dzieci, którym może grozić śmierć głodowa. Po krótkiej naradzie wypuściliśmy gołębia na wolność, z czego skwapliwie skorzystał i pofrunął w kierunku zachodnim.

Hodowaliśmy też kilkanaście królików. Często wypuszczaliśmy je z klatek i zdarzało się, że jakiejś parki nie udało się napowrót do klatek zapędzić. Wtedy już z wolności kopały jamy, najchętniej pod przyciesią szkoły, obórki lub stodółki i po pewnym czasie matka - królicza wyprowadzała z jamy śliczne, maleńkie króliki. Czasem, ku naszej rozpaczycy zdarzało się, że zaczajony w pobliżu kot schwycił i udusił maleńkiego królika. Kilka dorosłych królików my też zjedliśmy. Raz gospodarz Jędrzek Masternak z Kozłówka za jedną złotówkę odsprzedał nam dorastającego zająca. Przebywał na zewnątrz w niewielkiej zagrodzie sporządzonej z za cienkich jak się później okazało olchowych sztachetek. Gdy zając wydorósł, wzmocnił się i przytył ponadgryzał sztachetki, jakoś je rozsunał i pewnej nocy uciekł w góry Świętokrzyskie.

Już w pierwszej połowie lat trzydziestych było nas siedmioro, a wkrótce miała się urodzić kolejna siostra dwojga imion Lucyna Stanisława. Gdy tylko mogła sama stawać na własnych nogach, trzy-

mając się rączkami za jeden z podłużnych boków kołyski potrafiła tak silnie ją rozchuścić, że wypadła z niej i to najczęściej na głowę. Mama krzyczała na nas, że nie czuwamy nad siostrą i taką płaczącą z bólu najczęściej sama utulała. W ogóle z resztą, dokąd to było możliwe wszystkich nas mama usiłowała grupować wokół siebie. W niedzielę z rana czyściliśmy nasze buty i ubranka i kilkoro z nas mama zabierała z sobą do kościoła w Zbilutce, najczęściej na sumę. Droga wynosiła około trzech kilometrów. Właściwie to mniej więcej połowę tej drogi stanowiły górskie ścieżki. Niektóre odcinki tych ścieżek były tak strome, że na wyższe partie gór należało się dosłownie wdrapywać. Ksiądz Feliks /wg Henia/ ~~La~~^Łdzalski proboszcz, był rodzicom i nam dobrze znany.

Uczestniczyliśmy przecież dość regularnie w nabożeństwach a ponadto, mniej więcej co 1,5 roku tym z nas, którzy rodzili się w Rudzie udzielał chrztu świętego. Po nabożeństwie ksiądz ~~pr~~^Wychodził przed kościół, często dołączał do niego kierownik szkoły w Zbilutce pan Zygmunt / wg Henia/ Gromek i rozmawiał z naszym ojcem, z mamą i z nami. Znajomość z panem Gromkiem zaowocowała między innymi i tym, że podarował nam maleńkiego wówczas pieska, nazwanego przez nas Wilusiem. Podobno wywodził się z wilczurów i stąd to imię. Przeważnie karmiliśmy Wilusia resztkami jedzenia, jakie pozostawało ze śniadań, obiadów i kolacji.

Gdy Wiluś miał około 1,5 roku był już dużym psem, ale nie miał jeszcze siły dorosłego psa. Jego bujna i długa sierść, a także gdy szczekał jego potężny głos czyniły wrażenie, że jest już groźnym psem. Okazało się jednak, że w niektórych sytuacjach jest to za mało. Za wozem nieco dalej naszego sąsiada przybiegł na pole zewnętrznie bardzo podobny do naszego Wilusia, też potężny pies. Jak się niebawem miało okazać był to stary wyga. Wiluś uwiązany na łańcuchu obok obórki zaczął niesamowicie ujażdżać, myślałem, że

zachrypnie. Niewiele brakowało, a przewróciłby swoją budę. Odpiołem go więc z łańcucha, a Wiluś jak szalony i bezkrytyczny, pędząc wielkimi susami dopadł swego konkurenta. ~~Ta~~ Zwiążali się zębami i paszczami, to na moment rozdzielali się, aby za chwilę z jeszcze większą nienawiścią napaść na siebie, przy czym niesamowicie obydwaj charczeli. Zwycięstwo przechylało się to na jedną, to na drugą stronę. Momencik nieuwagi u Wilusia i już przeciwnik chwycił go zębami za ucho. Wiluś znieruchomiał. W takiej pozycji trwali kilkanaście sekund. Po chwili nos Wilusia dotknął ziemi. Zwycięstwo wielkiego kundla sąsiada było zdecydowane. Rozwarł paszczę, a z rozprutego ucha Wilusia tryskała krew. Wiluś, tym razem wolno, potrząsając głową, zgnębiony i zwyciężony zbliżał się do naszego podwórka. Raz tylko odwrócił głowę w stronę swojego zwycięzcy i po chwili zniknął w budzie. Wyszedł z niej milczący i cierpiący dopiero następnego dnia.

Zdażało się, że w następnych miesiącach jesieni, w zimie i gdzieś do połowy wiosny kolejnego roku nieraz zwycięski jak na razie kundel biegał w pobliżu szkoły za wozem swojego gospodarza. Nie dawał jednak odczuć Wilusiowi swojej przewagi. Nie zachowywał się zaczepnie, ani prowokująco. Być może, że w psich zwyczajach i kontaktach taka nonszalancja ze strony kundla wobec Wilusia była dla tego ostatniego czymś uwłaczającym jego godności. Dało się zauważyć, że Wiluś z klęską nie chce, czy nie może się pogodzić. Przez tych ostatnich kilka miesięcy, Wiluś jak gdyby więcej zjadał, nie tylko smaczniejszych, ale i mniej smacznych pokarmów. Im bliżej wiosny tym szerszy stawał się Wiluś w krzyżu.

Nadszedł koniec kwietnia, czy początek maja. Na polu klęski z poprzedniego roku znów zjawił się gospodarz z wozem obornika, a obok kundel. Nagle Wiluś wyskoczył z budy. Wzrok skierował w stronę kundla, nastroszył uszy jak indor pióra, wykonał kilka kroków

wokół budy, wskoczył na nią i wydawało się, że stał się jeszcze ^bgrubszy i potężniejszy. Po chwili z gębi piersi i gardła Wilusia wydobył się dudniący ciężko grzmot. Wydawało się, łańcuch naprężony do granic wytrzymałości już pęka. Buda zaczęła drgać i trzeszczeć. W tym momencie podbiegłem i zwolniłem go z uwięzi. W okamgnieniu stanął w bliskiej odległości od kundla. Ten ani drgnął. Oparł się na swych potężnych łapach i czekał. Nie trwało to długo. Znow, jak w poprzednim roku rzucili się na siebie. Wydawało się, że wzajemnie się zagryzą. Lecz tym razem Wiluś w pewnym momencie ^{encie}błyskawicznie powtórzył ubiegłoroczny manewr swego przeciwnika. W zębach Wilusia znalazło się ucho kundla.

Ten nawet nie usiłował się wyzwolić. Obydwoj, tak jak poprzednio znieruchomieli. Wiluś nie rozpruł ucha kundla. Też rozwarł paszczę, a z ran pociekła krew. Kundel schylił głowę i bolące miejsce przyłożył do pęczka wilgotnej słomy zsuniętej z wozu. Tym razem kundel uznał się za pokonanego. Wiluś nie demonstrując zbytnio swojego zwycięstwa, początkowo truchcikiem, a im bliżej budy tym wolniejszym krokiem, dyskretnie spoglądając do tyłu, legł obok budy, pod obórką.

Ileokroć później Wiluś i Kundel przebywali w różnych sytuacjach nawet stosunkowo blisko siebie, już nigdy między nimi nie dochodziło do walki. Wzajemnie mieli respekt dla siebie, a remisowy wynik meczu jeden do jednego najwyraźniej satysfakcjonował obydwie strony.

Któreś z nas zauważyło, że jeśli Wiluś jest już tak silny, że pokonał wielkiego kundla, to napewno pociągnie z nami drewniany, niewielki wózek, sporządzony przez Michasia Gajewskiego. Od obroży przeciągnęliśmy i przywiązaliśmy do wózka dwa mocniejsze sznurki i zachęcaliśmy Wilusia, aby szedł do przodu. Nie miał chęci, wywijkał się na lewo, lub prawo. Wreszcie na końcu długiego kija,

wystającego przed łeb Wilusia przywiązaliśmy kawałek kiełbasy. Łakomy Wiluś rzeczywiście usiłował chwycić kiełbasę, szarpnął wózek i pociągnął nas kilka kroków do przodu. Radości było sporo, ale kielbasa się skończyła i zabawa też.

W latach trzydziestych było nas już ośmioro dzieciaków: dwoje w wieku przedszkolnym /Zyⁿzio i Lucia/, troje w wieku wczesnoszkolnym / Jadzia, Irena i Basia/ i w tej grupie najczęściej na różne przypadłości chorowała Basia, w wieku zdecydowanie szkolnym też było nas troje /Henio, Gienek i Krysia Zofia/. Z taką to gromadką przeważnie ojciec wychodził w ciepłe i pogodne dni do lasu na jagody i grzyby. Szliśmy w kierunku północnym, za Melonek, około 2 km. Po 1,5 lub 2 godzinach, szczególnie my nieco starsi, mieliśmy wypełnione koszyki czarnymi jagodami, z domieszką czerwonych. Część zbieranych jagód po powrocie do domu zjadaliśmy najczęściej z mlekiem, posypując cukrem. Pozostałą część mama nastawiała na sok, oczywiście dokupując nieco od miejscowych zbieraczek. Podobnie było na schyłku wakacji z grzybami. Mama zwykle dusiła je w tłuszczu na patelni. Bardzo nam smakowały.

Henio do klasy VI wyjechał do Dziurkowa, koło Solca nad Wisłą gdzieś około 1935 r. Zamieszkał u wujostwa Pękałów. Z tych bowiem okolic, ze Słuszczyzna pochodziła nasza mama Elżbieta z d Kalinowska. Tu pozostały jej siostry i bracia, stąd zaledwie kilka kilometrów w Solcu nad Wisłą znajdowało się gimnazjum ogólnokształcące / a od drugiej połowy XIX wieku do początków lat dwudziestych XX wieku seminarium nauczycielskie, do którego uczęszczał też nasz ojciec/, do którego następnie Henio wstąpił, a w ślad za nim, nieco później, kolejno prawie cała nasza ^{reszta} rodzina.

W latach 1935/1936 i 1936/1937 Henio dojeżdżał do Rudy w wakacje i ferie zimowe i wiosenne, już w granatowym mundurku z niebieskimi wypustkami w spodniach i na rękawach. Na jedną z zim rodzice kupili

mu prawdziwe łyżwy, co było wielką atrakcją i wzbudzało zachwyt tak w naszych oczach, jak i u dzieciaków z ^{sąsiednich wiosek} sąsiedztwa.

Lekcje w szkole w Rudzie z nami pozostałymi prowadził nadal ojciec, lub nauczycielka Bronisława Jurzanka, z którą mama bardzo się zaprzyjaźniła. Podawała ona do chrztu świętego naszą siostrę Lucynę. W domu umiejętność czytania doskonaliliśmy na książeczce pt "O Franusiu z Pogwizdowa", a rachunki najczęściej na patyczkach, kasztanach lub żołądźkach. Jak przez mgłę pamiętam jeszcze małe liczydełka z kolorowymi paciorkami. Innych pomocy naukowych, ani literatury dziecięcej z tamtego okresu nie pamiętam.

Raz tylko przeleciał po mnie lekki dreszczyk gdy dojechał do nas w wakacje wujek Józio, brat mamy, młody nauczyciel. Czy aby nie będzie nas odpytywał "z lekcji"? Ale on wszedł na krzesło, pełną garścią wyjmował z kieszeni laskowe orzechy i po podniesieniu ręki sypał je na podłogę. Każde z nas starało się nazbierać ich jak najwięcej. Następnego dnia wynajętą furmanką dojechaliśmy do Słupi Nowej, a stąd pieszo weszliśmy na Łysicę. Trafiliśmy na odpust w klasztorze. Po drodze z zainteresowaniem obejrzelśmy wykuty w kamieniu niewielki posąg, chyba jakiego "Światowida". Mówiło się, że zmierza on z szybkością ziarnka maku na rok w kierunku klasztoru na Świętym krzyżu. Gdy dojdzie będzie koniec świata. Pamiętam, jak po wejściu na szczyt mama odczytała znacznych rozmiarów napis nad bramą klasztoru: "Święty Krzyż", więzienie ciężkie". Obleciał nas strach, gdy niebawem policjant wyprowadził z bramy dwóch mężczyzn w więziennych uniformach, luźno skutych, jak się wydawało nie ciężkim łańcuchem. Tuż za bramą przystąpili oni do rąbania drzewa. Po powrocie my dzieciaki zjedliśmy resztę cukierków z odpustu, zabawialiśmy się piszczakami, grzechotkami, pukawkami, jakimiś kupionymi kolorowymi koralikami. Wujek natomiast czytał "Gazetę Świąteczną" i "Rycerza Niepokalanej" i przygotowywał się do odjazdu w nas-

tępnym dniu.

Egzaminu z czytania i rachunków nie było. Odbyła się natomiast jakoś w krótkim czasie wizytacja szkoły dokonana przez inspektora szkolnego z Opatowa - dr Zygmunta Plebańczyka. Pamiętam, że ojciec był nieco poddenerwowany, pani nauczycielka - wydaje mi się, że nieco mniej. Byłem chyba już wtedy w czwartej klasie. Pani na zmianę coś nam wyjaśniała, odpytywała, coś pisaliśmy, niektórzy czytali, a pan inspektor usiadł na krześle obok stolika naszej pani i przeglądał dziennik lekcyjny.

Nie wiem co działo się na lekcjach u ojca. Być może, że repertuar piosenek wyuczonych przez ojca, a zaprezentowanych przez uczniów wydał się panu inspektorowi za ubogi. Bo jak pamiętam, to śpiewaliśmy w szkole ^{o jesieni} najwięcej "Jesienią, jesienią, sady się rumienia, czerwone jabłuszka pomiędzy zielenią" i t.d. Ojciec nie miał zwyczaju wykorzystywania na lekcji śpiewu skrzypiec, aczkolwiek dobrze na nich grał i miał dobry słuch muzyczny. Był też dobrym matematykiem. Znał oczywiście dobrze język rosyjski i pamiętam, że przychodzili do ojca mieszkańcy z sąsiednich wiosek z prośbą o napisanie listu do pozostałych w ZSRR członków rodziny. Jedna z mieszkanek podpowiadała, aby ojciec napisał, że powodzi jej się stosunkowo nieźle, gdyż obrabia około 1,5 morgi ziemi, ma jedną krowę i kilka kur. Prosiła kogoś z rodziny przebywającego w Związku Radzieckim, aby ten ktoś odpisał jej co tam u nich za granicą się dzieje, gdyż ten pisany list jest już którymś z kolei i nie ma dotychczas żadnej odpowiedzi.

Ciekawszym, przyjemniejszym i ważniejszym wydarzeniem w tamtym ~~mniejszym~~ więcej czasie było przemieszczanie się w upalny, letni dzień, obok naszej szkoły kawaleryjskich oddziałów wojska polskiego. Szczególnie mama, ale także pani nauczycielka Bronisława Jurzanka chciały serdecznie żołnierzy ugościć. Było ich jednak jak na

nasze możliwości zbyt wielu. Tylko nieliczni ugasili pragnienie mlekiem, reszta poprzestała na wodzie podawanej im różnymi naczyniami. W ramach manewrów pozorowali atak nieprzyjaciela. Pamiętam, że dość długo przy pomocy lornetek obserwowali przedpole, tymczasem my dzieciaki z zachwytem przyglądaliśmy się oficerom, żołnierzom, mundurom, koniom, uprzęży i taborom. W pewnym momencie^{em} obserwatorzy stwierdzili, że obserwowany obiekt, to tylko miejscowa kobieta i oddziały ruszyły dalej.

Sporo kłopotu sprawiły^a nam jesienne deszcze. Mieszkaliśmy, bo szkoła tak była usytuowana, mniej więcej pośrodku w jakimś^{sensie} ścisłym promieniście odchodzących od szkoły kilku drózek, prowadzących do sześciu wiosek. Utwardzonej nawierzchni nie posiadała żadna dróżka. Błoto było^{a szerególnie} niesamowite (ja te dróżki przemierzałem dość często. Dochodziłem więc najczęściej do małego sklepiku spożywczego w Rudzie, jakieś 800 m od szkoły. Tu kupowałem na polecenie mamy za niewielką gotówkę^ę lub na kredyt - chleb, rzadko bułeczki, cukier, sól, mąkę, jakąś kaszę, zapalki, naftę i chyba niewiele więcej. Zaciągnięty dług z racji udzielonego kredytu regulowało się po pierwszym następnego miesiąca. Z Marmą / u Henia jest "z mamą" - źle/ właścicielką sklepu mieszkała młoda, lecz raczej już dorosła córka Ryfka oraz dwóch synów: około siedemnastoletni Berek i ze dwa lata młodszy Mosiek. Berek już próbował handlować na własną rękę, czym się dało, był spokojnym, statecznym młodzieńcem. Natomiast młodszy Mosiek miał nieco zawadiackie usposobienie. Z przychozącymi do sklepu nawet od niego nieco starszymi klientami lubił się siłować, próbować, mocować. Raz pamiętam na drodze przed sklepem zniecka podbiegł i uderzył Henia w głowę pędzlem ze słomy prośnianki, zdjętym z kija. Oczywiście^m Marmą^m gdy się o tym dowiedziała mocno Mośka skrzyczała.

Czasem pozostawała w sklepie przez pewien czas grupka osób, już

po dokonaniu minizakupów, gdy prace polowe lub inne zajęcia domowe na to pozwalały i komentowała zaszłe w ostatnich dniach wydarzenia i ciekawe przypadki. Raz mężczyźni zastanawiali się, kto też w Hiszpanii zwycięży? Komuniści, czy narodowcy? Innym razem, po burzy ^z wyładowaniach ^{mi} atmosferycznych ^{mi} sklepowa Marma usiłowała poinformować swoich klientów, że w Ameryce zakłada się urządzenia chroniące przed uderzeniami piorunu w dom. Nikt jednak z zebranych nie umiał powiedzieć, że to chodzi o piorunochron.

Inna dróżka prowadziła ze szkoły w kierunku Gęsic. Po jakimś pół kilometrze drogi, na początku wsi, też był mały sklepik, prowadzony przez Czernika. Był on jednocześnie szewcem. Też tu kupowałem nieco artykułów żywnościowych i nieco przemysłowych. Raz poszliśmy do Gęsic razem z mamą. Szewc-sklepiarz wziął miarę i przez kilka tygodni robił mi buty skórkowe z cholewami. Okazało się, że są za niskie w podbiciu. Z wielkim trudem je wprost wbijałem na nogę, ale po pewnym czasie jakoś się rozchodziły. Kosztowały kilkanaście złotych.

Nieco w głębi wsi Gęcice, po lewej stronie, na zboczu góry, naprzeciwko domów, które znajdowały się po prawej stronie drogi rosły drzewa owocowe, najwięcej śliwek węgierek. Po żniwach, gdy już było wiadomo ile będzie owoców, sady te wydzierżawiali przeważnie Żydzi. ^mKonstruowali prymitywne piecyki i wysmażali powidła, lub suszyli śliwki, a dym rozchodził się po okolicy. Żydzi nocowali tu i przebywali przez cały okres zbioru owoców, aż do pierwszych mrozów. Przed deszczem i zimnem chronili się w skleconych szałasach, przykrytych dachem ze słomy.

Najpóźniej, bo gdzieś w połowie lat trzydziestych, w końcu wsi Melonek w kierunku Iwanisk zjawił się jeszcze jeden sklepik. Otworzył go Wincenty Gajewski, syn Edwarda /Michała?/ młynarza. Nie wiem, czy później sklepik się powiększył i rozwinął, ale w czasie

opisywanym niestety najmniej tu można było kupić. Oprócz zapalek, machorki, bibułki, soli, nafty i czasem chleba, raczej nic tu więcej nie było.

Większych, poważniejszych zakupów dokonywała mama w miasteczku Łagowie, oddalonym od Rudy o jakieś 6 km. Najczęściej dowoził tam mamę jednokonną furmanką Wojciech Masternak z Melonka, lub Andrzej Masternak z Kozłówka. Wioząc mamę, a często i niektóre z nas dzieciaków, opowiadał pan Masternak, jak to on, służąc w wojsku na Polesiu, woził też pana majora, szczególnie w zimie, saniami, po olbrzymich poleskich lodowych przestrzeniach. Spóźniony pan major, bo niemal do rana zabawiał się w miłym towarzystwie, teraz ponaglał rekruta i doradzał jazdę "prosto na cel", lekceważąc pewniejsze, lecz dłuższe dróżki. Wymijając przeto wysepki zmarzniętej, suchej, twardej trawy, tataraku, lub wiechy sterczącej z ładu trzciny, meandrując między nimi a oparzeliskami, pan Jędrak zawsze wyszukał gładką lodową dróżkę, po której podcinany batem koń, umiejętnie ukierunkowany lejcami, prowadzone z wielkim kunsztem sanie, mknąc niesamowicie szybko, "ino, ino, ino - ino, ino, ino, a jednak nie wyróciły się i pan major na czas zdążył do jednostki.

Takie wyjazdy do Łagowa odbywały się mniej więcej dwa razy w miesiącu, zwykle w dni targowe, w czwartki. Tu mama kupowała odzież, obuwie, bieliznę pościelową, drobniejszy sprzęt do wyposażenia mieszkania, środki piorące, artykuły piśmienne dla nas i inne, ale także artykuły żywnościowe, a więc nieco wędliny, mięso, masło, cukier, smalec, margarynę, także coś ze słodczy, czasem chałwę, szprotki i tp.

Raz przed świętami Bożego Narodzenia mama kupiła chyba kilka pudełek czekoladek w różnokolorowych papierkach. Czekoladki miały różną formę, np motylki, rybki, żabki, ptaszki, zajęczki i inne zwierzątka. Od miejscowego gajowego w tym roku ojciec zakupił wyjątkowo

kowo udaną świerkową choinkę, na której te czekoladki w wigilię zawisły. Gdy pozawieszaliśmy jeszcze sporo łańcuchów, zabawek z kolorowego papieru, świeczek, zimnych ogni, gwiazdek i innych cuda-czności, choinka miała imponujący wygląd.

I właśnie, po Bożym Narodzeniu, zwykle z Nowym Rokiem w górach Świętokrzyskich przybywało śniegu coraz więcej, a mróz był z każdym dniem ^{coraz} większy. Lecz nawet niskie temperatury i głębokie śniegi nie odstraszały nas od wychodzenia na ^obliskie górki i zjeżdżania w dół sankami i sporządzonymi własnym przemysłem nartami. Sanki przeznaczane były raczej dla sióstr. Narty robiliśmy z ^dębowych rozeschniętych i ^dzkompletowanych klepek z beczek. W miejscu stopy zamocowywaliśmy w poprzek mocniejszy skórzany pasek, do rąk braliśmy jałowcowe lub ^bękowe kijki i to wystarczało, aby uciechy i radości było wiele.

Gdy na górkach, w kotlinkach i na wszystkich polach śniegu przybywało, coraz biedniejsze stawały się kuropatwy. Chłopcy z sąsiednich wiosek mieli różne sposoby na ich schwytywanie i sprzedawanie. Najczęściej sporządzali sieci. Połączone dwa końce dłuższego i elastycznego kija tworzyły koło. Wewnątrz od dowolnego do najodleglejszego leżącego na przeciw punktu były poprzeciągane cienkie druty lub żyłki baranie. Czasem łączono tymi drutami lub żyłkami dwa dowolne punkty koła i nawet ta nieregularna plątana drutów i żyłek tworzyła kanwę, do której przywiązywano łatwo zaciskające się oczka z grzywy lub końskiego ogona. Takie koło kładziono w wybranym na śniegu miejscu, przysypywano plewami lub sieczką z odrobiną ziarna, najczęściej owsa i czekano. Gdy głodne kuropatwy w poszukiwaniu pożywienia natrafiły na taką pułapkę wbiegały na sieć i szukając ziarenek w plewach i sieczce zaplątywały się wózkami lub szyjkami w oczka sieci. Im bardziej chciały uciec, tym bardziej oczka się zaciskały. Zaczajeni w pewnej odległości chłopcy podbiegali w to

miejsce, odplątywali kuropatwy i najczęściej wkładali je za pazuchę i zmierzali do wsi.

Czasem podchodzili przeważnie wieczorem do naszych drzwi i namawiali ojca, by kupił kilka kuropatw, w cenie mniej więcej po 50 groszy za sztukę. Z reguły ojciec się buntował, że wten sposób niszczyć i męczyć ptaków nie wolno. Gdy jednak pokazali kuropatwę z wyłamaną nóżką lub skrzydełkiem, a ponadto widząc zmarzniętych, głodnych i najczęściej ubogo przyodzianych chłopców, bywało, że ojciec przestawał protestować i od czasu do czasu kupił kilka sztuk takich kuropatw. Chłopcy widząc, że ojciec czyni to z dużymi oporami, rzadko przychodzili do nas z w ^{tem} sposób schwytanymi kuropatwami. Im opady śniegu były większe, tym kuropatwy stawały się bardziej bezradne. Wypatrzone stadko nieletni kłusownicy napędzali na druty linii telefonicznej. Niektóre w locie trafiając w nie - padały silnie okaleczone lub martwe na śnieg. Ojciec jak mógł usiłował odciągać chłopców od uprawiania takiego procederu.

Starsi chłopcy lepiej znający las, kłusowali na wiewiórki. Polowali na nie z prymitywnymi, przez siebie sporządzonymi strzelbami. Wiewiórki sprzedawali Żydom z Łagowa, a ci przerabiali je na futerka. Raz tylko, ale to jeszcze późniejszą jesienią jakiś kłusownik postrzelił zająca. Ten, ranny, uciekając wpadł w koleiny dróżki naszego pola i zniknął kłusownikowi z oczu. Nasza służąca Józia prowadząc krowy z pastwiska zauważyła leżącego, już martwego zająca i przyniosła go do domu. Zdjęliśmy z niego skórkę i po oprawieniu i upieczeniu mieliśmy smaczny obiad.

A jeśli chodzi o wcześniej wspomniane chwytnia kuropatw w sidła, to najczęściej dokonywali tego chłopcy z Melonka. Była to biedna wioska za rzeczką, ciągnąca się równolegle do oddalonego o niepełny kilometr od niej lasu. Rozpostarła się na piaszczystych - żwirowatych wzgórkach. Nędznie żyli jej mieszkańcy. W rodzinie u Woj-

ciecha Masternaka, według opinii gospodyni, jej mąż rzekomo na jedną zimę niewystarczająco ocieplił kopiec ziemniaków. Znaczna ich część przemarzła. Przynieszone pod wiosną ziemniaki z kopca do domu były miękkie, a więc zgniłe i cuchnące. Gospodyni postanowiła ukarać niedbałego gospodarza. Sobie i dzieciom gotowała ocalałe, zdrowe ziemniaki, natomiast gospodarz musiał oddzielnie gotować dla siebie przemarznięte, a więc nadgniłe i zgniłe i to od wiosny do nowych zbiorów.

W tym mniej więcej czasie, docierały do moich uszu fragmenty rozmów, prowadzonych pomiędzy mamą a paną Jurzanką na temat procesu sądowego, toczącego się we Lwowie przeciw J. Gorgonowej, podejrzanej o zabójstwo swej pasierbicy Lusi Zarębianki. Prawie, że nie rozumiałem o co chodzi, ale domyślałem się, że stało się coś strasznego, na co wskazywały też bardzo zasmucone twarze rozmówczyń.

Faktu zwycięstwa Stanisława Wigury i Franciszka Żwirki nie bardzo pamiętam. Za to wbiła mi się w pamięć ich śmierć w 1932 r. pod Cierlickiem w Czechosłowacji. W domu znów było wielkie przygnębienie.

W latach trzydziestych ludzie chwyтали się różnych sposobów zarobienia na życie. Jak zapamiętałem, ścieżką nieco od szkoły oddaloną, ale widoczną, zwykle przed godziną ósmą rano, wędrował z Łagowa, przez Duraczów i Rudę w kierunku Gęsic Żyd. Na plecach miał niewielki worek, a w nim nieco igieł, agrafek i innych drobiazgów, które po drodze sprzedawał. Wracając miewał worek bardziej wypełniony, a to kupionymi skórkami króliczymi, jajkami czasem drobiem i tp.

Chyba mieszkaniec z okolic Rakowa rozpoczął obwożenie po naszej gminie pieczywa, a szczególnie bułek, obwarzanków i rogalików. Cały dzień sprzedawał w sąsiednich wioskach, a przed wieczorem mając już niewiele towaru na wozie i to przeważnie czerstwego zjeżdżał

z trasy przed naszą szkołą, dokarmił konia i sam odpoczywał. My dzieciaki zawsze uprosiliśmy u rodziców kilkadziesiąt groszy i wykupowaliśmy resztę, najczęściej obwarzanków, już mocno sčerstwiałych. Nam jednak one smakowały.

Ktoś inny, nieco zamożniejszy rozpoczął skupowanie mleka od miejscowych gospodarzy. Dłuższy wóz, ciągnięty przez dwa dobrze utrzymane konie wypełniony bańkami z mlekiem, codziennie podążał do mleczarni w Łagowie. Docierały do nas wiadomości, zresztą i sami to dostrzegaliśmy, że wiele osób z sąsiedztwa dotkniętych było tak zwaną kurzą ślepotą. Potocznie to zjawisko nazywane było "Kurzepatry". Wraz z zachodem słońca ludzie przestawali widzieć.

W czwartek w Łagowie odbywały się jarmarki. Już od wczesnego ranka, z Iwanisk, obok naszej szkoły, ciągnęły drózką, kierując się na Rudę i Duraczów tłumy handlarzy. Przeważnie Żydzi z długimi brodami, w chałatach i charakterystycznych jarmużkach na głowie. Wychudzone szkapy ciągnęły biedne wozy, pełne Żydów-handlarzy. Obok, lub za wozami biegły przywiązane sznurkami konie, przeznaczone na handel. W pewnej odległości za nimi inna grupka osób prowadziła krowy. Za chwilę pojedynczy Żyd okrakiem na cielęciu, jałowce lub byczku. Jędną ręką trzymał za obrożę na karku, a drugą wyciągniętą do tyłu pociągał bydłatko za ogon zmuszając je w ten sposób do przyspieszenia kroku. Wielu handlarzy szło pojedynczo lub po kilku, pieszo, już bez zwierząt.

W każdy taki słoneczny i ciepły jarmarczny czwartek, wczesnym przedpołudniem, na terenie obok szkoły skubały trawę nasze krowy, Granicha i Buręcha i córka Granichy udana dwuletnia jałowka. Była dobrze utrzymana, tłusta, lśniąca, czysta i wyrosnięta. Przejeżdżający i przechodzący obok handlarze zainteresowali się nią. Pech chciał, że oprócz Henia i mnie na pasące się krowy spoglądał stojący przy drodze ojciec. Nagle z grupki chałaciarzy jeden wyskoczył

w kierunku ojca i wskazując ręką na jałówkę zapytał: "sprzeda pan?" Ojciec nieopacznie powiedział "sprzedam". ^{em} Momentalnie jeden chwycił ojca za ramię, drugi niżej za rękę i usiłuje otworzyć ojcu dłoń, pytając: "ile?" Ojciec odpowiedział: "Trzysta złotych". Na moment zaniemówili. Podana kwota stanowiła równ^oważnik dobrej miesięcznej pensji nauczyciela z dłuższym stażem. Wnet jednak ochłonęli i rozpoczął się niesamowity tumult. Krzyczeli, wynajdywali wady jałówki, usiłowali zmusić ojca do obniżenia ceny. Gdy ojciec twardo nie ustępował jeden z kupców zaczął wymachiwyć ojcu pięścią przed nosem. I w tym momencie ojciec krzyknął: " Odejdź, ty iwański łyku." Uciszyło się. Dość szybko powskakiwali na wóz i odⁱjechali do Łagowa. Dumni byliśmy z ojca, że tak energicznie i dzielnie przeciwstawił się napastⁱkiwym handlarzom.

W 1934 r. zmarła matka ojca, a nasza babcia Katarzyna. Ojciec jakąś furmanką dojechał bliżej Sandomierza i od szosy Opatowsko-sandomierskiej doszedł pieszo do Strohcic polami na pogrzeb.

W jakiś kolejny ciepły dzień targowy mnie też zabrała mama z sobą. Pojechaliśmy furmanką z którymś z Masternaków. Siedziałem właśnie na wozie, na rynku w pobliżu ratusza i pilnowałem poczynionych zakupów. W pewnej chwili wśród wielu wozów i osób dostrzegłem zbliżającą się mamę. Wydała mi się jakaś smutna. Gdy podeszła blisko mnie, zmienionym, smutnym głosem powiedziała: "Tadzia koń zabił". Serce mi na chwilę zamarło. "Jak to?" - spytałem. Mama mi podała podjęty przed chwilą, na poczcie list z Sandomierza. Ktoś z rodziny ojca donosił, że Tadzio wyjechał z Sandomierza na kilka dni do dziadka w Strohcicach. Zapragnął zjechać z pola wierzchem na koniu kilkaset metrów na podwórko. Młody koń zląkł się czegoś, zaczął galopować. Nogi Tadzia zaplątały się w nie zdjęte z konia postronki. stracił równowagę z sunął się z grzbietu głową w kierunku ziemi, zaciśnięte postronki trzymały nogi na grzbiecie, a głowa uderzała

o nierówności polnej ^{drożki} drogi. W dodatku spłoszony i rozpędzony koń wpadł z Tadzkiem do stajni i prawdopodobnie silne uderzenie głową w próg przypieczętowało śmierć.

Tadzio to nasz stryjeczny brat, w wieku Henia. Jego ojciec, a nasz stryjek był maszynistą kolejowym w Sandomierzu. Stryjenka nie pracowała. Mieli dwoje dzieci: Tadzia i nieco młodszą Natalię. Tadzio w poprzednim roku był u nas w Rudzie kilka tygodni w wakacje. Stryjenka była bardzo uradowana, że Tadzio przytył i wydorósł. O rozpaczy rodziców oraz bliższej i dalszej rodziny trudno pisać. W rok po opisanym wypadku z Tadzkiem dochodzi w tej rodzinie do drugiej tragedii. Też w wakacje Natałka kąpiąc się z koleżankami w Wiśle utonęła. Ciało wyłowili rybacy w Zawichoście. Stryjenka niemal dosłownie zamknęła się w kościele. Nie ma siły, aby to wszystko roztrząsać.

W połowie lat trzydziestych władze oświatowe zachęcały wiejskich nauczycieli do podnoszenia tężyzny fizycznej młodzieży. Jakiś okulnik w tej sprawie otrzymał również ojciec. Ponieważ miał jeszcze z czasów carskich okrągły zegarek z sekundnikiem postanowił urządzić w jedną niedzielę na piaszczystej dróżce krótkodystansowe biegi dla młodzieży starszej już nie uczącej się /Prawdopodobnie w ramach namiastki koła sportowego "Strzeles" wg Henia/. Do startu na 60 m stanęło chyba 6 zawodników. Przybyli jak to przy święcie w garniturach, w koszulach ze sztywnymi kołnierzykami i przeważnie w pantoflach używanych najwyżej kilka razy w roku. Wśród przybyłych był chyba 17 letni Stefan syn młynarza. Ojciec, chyba przez szczególną sympatię, jaką go darzył, nazywał go "Stefek" "Baciara". Na dany przez ojca znak - ruszyli. Po przebiegnięciu kilkunastu metrów Stefan wypadł z kolumny, przykucnął na boku, podniósł rękę do góry i krzyknął: " Panie niech pan wyłączy zegarek, bo but mi spadł z nogi". "Nie przejmuj się" - odpowiedział ojciec - "zakładaj i biegnij da-

lej, ja ci ten stracony czas odliczę". Na mecie radości było sporo, wszystkich ojciec pochwalił za dzielną, sportową postawę i za wykazaną chęć walki o zwycięstwo. Prawdopodobnie wkrótce ojciec przesłał do inspektora szkolnego w Opatowie sprawozdanie z przeprowadzanej imprezy, ale jak to władze oceniły, to trudno mi powiedzieć.

Najważniejszym jednak wydarzeniem z tamtego okresu była wiadomość o śmierci Józefa Piłsudskiego w maju 1935 r. zwycięskiego marszałka Polski.

Ojciec, ^{gdm} był wypoczęty i miał lepsze samopoczucie, jeszcze wcześniej opowiadał nam, jak to w 1920 r. Józef Piłsudski, uderzeniem z nad Wieprza obronił naszą niepodległość i zmusił wojska rosyjskie do wycofania się z Polski. Już nie pamiętam, czy w tym smutnym dniu mama i ojciec mieli łzy w oczach, ale ja w jakiejś sprawie szedłem chyba do Zbilutki i w drodze płakałem. "Kto nas teraz będzie bronił? - stawiałem sobie pytanie". Przebieg uroczystości pogrzebowych z pogrzebu Marszałka wychwytywali głównie rodzice i pani nauczycielka Jurzanka z radia kryształkowego, jakie od niedawna mieliśmy. Antenę na wysokich tyczkach, uziemienie i sam aparat radiowy pomógł nam założyć pan nauczyciel Zygmunt Gromek ze Zbilutki.

Ponadto linią kolejową z Warszawy przez Radom, Kielce i dalej na południe do Krakowa specjalnym pociągiem, w metalowej trumnie było przewożone ciało Marszałka. Samoloty, które z góry eskortowały konwój były z Rudy widoczne, jako małe punkciki. Wpatrywaliśmy się w nie z zaciekawieniem.

Z radia, oczywiście w innym terminie i o innej porze korzystała też Ryfka, córka Marmy ze sklepiku w Rudzie. Zakochała się w Michaśiu Gajewskim, kolejnym synem wspomnianego Edwarda młynarza. Michaś też pragnął się z nią ożenić i uzgodnili, że ona przyjmie chrzest. Pamiętam, jak Ryfka w naszej obecności czasem mówiła do

mamy: Muszę posłuchać w radiu mszy świętej z Wilna, bo co te nasze zabobowniki wyczyniają, to pojęcie przechodzi". Zakładała więc w niedzielę słuchawki na uszy i tak nieruchomo pozostawiała odpowiedni czas.

W roku szkolnym 1936/1937 w naszej szkole w Rudzie nie było zorganizowanej V klasy. Przerabiałem ją więc prywatnie pod kierunkiem pani nauczycielki Bronisławy Jury, przeważnie w jej mieszkaniu. Do nauki wiele się nie przykładałem. Owszem chodziłem na lekcje, ale myślami w większym stopniu byłem nad strumykami, na polach, górkach lub we młynie u mojego rówieśnika Stasia Gajewskiego. Rok zleciał, ale wiadomości programowych nie utrwaliłem. Rodzice zdawali sobie z tego sprawę i aby zmusić mnie, do większego wysiłku oddali mnie od września 1937 r. do klasy VI w Łagowie. Przez wrzesień i październik dochodziłem około 5 km pieszo do szkoły, z domu wychodziłem przed 7 godziną rano, zawsze po śniadaniu, lecz zanim przeszedłem przez Duraczów zdążyłem ^kłamieniami strącić kilka jabłek z rachitycznych jabłonek, które zostały pozostawione na drzewie przez nieuwagę gospodarzy. Czasem zamiast drugiego śniadania mama wręczała mi 50 groszy, abym sobie kupił coś do zjedzenia. Najczęściej już po lekcjach w masarni u Dziurmagi kupowałem kilka deko wędliny, a w piekarni u Koseli przeważnie dwie niewielkie bułeczki, co zjadałem w powrotnej drodze.

W pierwszych tygodniach nauki - nauczyciele jako nowemu dawali mi spokój. Później zaczęli odpytywać. Moje odpowiedzi były różnie oceniane, czasami w granicach średnich, czasami poniżej. Raz tylko pani nauczycielka od matematyki głośno mnie pochwaliła. Miała do nadania na pocztę prawdopodobnie pilny list. Poczta pracowała od 8 do 12 godziny, następnie było 3 godziny przerwy i znów poczta była otwarta od 15 do 18. Ja te godziny jako jedyny wyrecytowałem bezbłędnie. Stąd ta pochwała pod moim adresem.

W ławce przede mną siedział syn rabina. Cichy potulny kolega. Nigdy nie mieliśmy do siebie żadnych pretensji. Wyhodował jednak długie pejsy. Skręcał je sobie na kształt spirali /sprężyny/ i zakładał za ucho. Podczas przerw, gdy biegał szybko po korytarzu - zauważyłem, że czasem pejsy te /obydwa lub jeden/ gwałtownie wyskakiwały mu z za uszu, szybko się rozprostowywały i znów gwałtownie skręcały się na spiralę i chowały się za ucho. Wyglądało to bardzo pocieszenie. Na matematyce bywało przeważnie cicho. Pani nauczycielka sformułowała jakieś pytanie i zanim wezwała któregoś z nas do odpowiedzi - przez kilka sekund wnikliwie nas obserwowała. W tym momencie dyskretnie wyciągnąłem rękę do przodu, napiąłem jeden palec i wyszedł z tego dość silny pstryczek w pejs kandydata na rabina. Skręcone na sprężyne włosy wyskoczyły do przodu, wprost w kierunku pani nauczycielki i momentalnie schowały się na swoje miejsce. Klasa gruchnęła śmiechem, a ja oberwałem po karku kilka kłapsów.

Śpiewu uczył pan Maroszani. Mówiono, że z pochodzenia Węgier. Pamiętam refren piosenki, jakiej nas nauczył: "Chociaż to życie idzie po grudzie, jak mi Bóg miły, nieźli są ludzie. Ta, ten temu brat, ta ten temu swat, a już dobremu to każdy rad". Podobno chorował na gruźlicę.

Biologu uczył nas pan Polak. Opowiadano, że był to zdolny, zapobiegliwy nauczyciel. Po kilku latach pracy w Łagowie pobudował dostatni, z czerwonej cegły dom mieszkalny, z obok dużą, przeszkloną werandą wykorzystywaną między innymi do robienia zdjęć fotograficznych dla miejscowej i przyjezdnej klienteli. Kilka pomieszczeń dla inweterza żywego, usytuowanych amfiladowo i niewielką stodołkę. Państwo Polakowie mieli tylko jednego syna, nieco starszego ode mnie a Pani Polakowa pochodziła z Litwy. Tu przez grudzień rodzice, umieścili mnie na stacji. Z wyżywienia najbardziej pamiętam śnia-

dania; każdego dnia były identyczne. Czerwony barszcz z ziemniakami okraszonymi słoniną i na dodatkowe życzenie herbata z miodem /zamiast cukru/ i nieco pieczywa. Wszystkim nam to bardzo smakowało. Z biologii odpowiadałem tylko raz. Po kilku przeze mnie wypowiedzianych słowach pan Polak widocznie się zorientował, że zmierziałem nie we właściwym kierunku, przejął inicjatywę i nie oddał jej już do dzwonka na przerwę.

Pamiętam też lekcje z gimnastyki. Przy słonecznej pogodzie odbywały się one na boisku ~~obok~~ szkoły. Najczęściej graliśmy w ~~sz~~ siatkówkę. Bywało ciasno, gdyż nasz zespół klasowy liczył około 40 uczniów. Prowadzący nauczyciel dzielił nas na dwie części, więc po jednej stronie była przeważnie 20 uczniów. Czasem udało się piłkę odbić.

Dziurków i Słuszczyń

Budynek szkolny był nowy, z bieżącą wodą i skanalizowany. Na czele stał młody kierownik, po wyższych studiach pedagogicznych.

W Łagowie uczyłem się tylko przez pierwsze półrocze w klasie VI, gdyż gdzieś na przełomie stycznia i lutego rodzice przenieśli mnie do szkoły - w ślad za starszym bratem - bliżej rodzinnych stron mamy. Tu bowiem i ja, po wakacjach 1937 r. miałem podjąć naukę w gimnazjum ogólnokształcącym w Solcu nad Wisłą. Z tego też głównie względu po feriach świątecznych Bożego Narodzenia, w styczniu 1937r. dojechałem z mamą do wujostwa Pękałów w Dziurkowie koło Solca nad Wisłą, byłego powiatu iłżeckiego i tu zamieszkałem. Stąd w drugim półroczu roku szkolnego 1936/1937 do czerwca 1937 r. dochodziłem ~~ok~~ około jednego kilometra do klasy VI, do szkoły w Przedmieściu Dalszym, gdzie wujek Franciszek Pękała był kierownikiem tejże szkoły.

Dni, tygodnie i miesiące upływały szybko i przyjemnie. Najstarszym synem u wujostwa był Henryk Pękała później, już po II wojnie

światowej ukończył w Warszawie weterynarię, w wojsku został pułkownikiem. Zmarł 26 marca 1992 r. w wieku 71 lat życia w Warszawie, pochowany w Solcu nad Wisłą. Ale wtedy przebywał w internacie w Solcu nad Wisłą i zbliżał się do otrzymania tzw małej matury.

♠ dwa lata młodsza była Krysia, zaliczała II klasę gimnazjum ogólnokształcącego, też w Solcu i też przebywała w internacie. Byli oni dla mnie autorytetami naukowymi, zaawansowanymi w nauce szkolnej. Pozostałe dzieci wujostwa, a moi cioteczni kuzyni, to Dziunia i Resia, uczennice niższych klas szkoły podstawowej ode mnie, a najmłodszym był Jurek Pękala, który chyba dopiero przymierzał się do pójścia do szkoły.

Raz na podwórku na oczach cioci Pękaliny wziąłem go na rower i usadziłem na ramie, chcąc go przewieść. Po przejechaniu kilku metrów Jurek zsunął się z ramy i wpadł do stojącego obok blaszanego wiadra. Potłuczenie było niewielkie, ale ja się nieco zawstydzilem, że tak nieudolnie go wozilem. Żyliśmy na ogół zgodnie, nie przypominam sobie, abyśmy kiedykolwiek się kłócili.

Gdzieś w kwietniu na rzece Krępiance, oddzielającej Dziurków od Przedmieścia pojawiła się kra niewielka, bo i rzeczka była niewielka. Przez rzeczkę przerzucony był niski, drewniany mostek, przez który codziennie przechodziliśmy w drodze do i ze szkoły. Któryś z kolegów krzyknął, że można by już spróbować wykąpać się. Nie namyślałem się długo i tak jak stałem w ubraniu wskoczyłem do rzeczki. Kilka minut meandrowałem między krami, a gdy wyszedłem, woda lała się ze mnie. W krzakach wyżałem nieco wody z ubrania, ale gdy je na siebie naciągnąłem zrobiło mi się raczej zimno. Postanowiłem przyspieszyć wysychanie ubrania. Szybko wdrapałem się na czubek stojącego przy szosie słupa tegrificznego, wsparłem się na fajkach i tak gdzieś przez godzinę wystawiałem plecy w kierunku kwietniowego słońca. Po obiedzie, gdy przy stole się podniosłem, ciocia ręką

dotknęła krzesła i kręciła głową. Prawdopodobnie podejrzewała mnie o jakąś wstydliwą przygodę. Ja się nie przyznałem, tylko wkrótce zacząłem kasłać, spluwałem flegmą i na ciele, w różnych miejscach ~~miejscach~~ zaczęły się ukazywać niewielkie bombelki z ropą.

Postanowiłem pozbyć się tego wszystkiego. Właśnie zbliżyła się druga połowa maja, słońce na bezchmurnym niebie mocno przypiekało i z rana w jedną niedzielę oświadczyłem cioci, że muszę pójść na niezbyt odległe zbocze dość stromej góry, aby mi nikt nie przeszkadzał, bo muszę przygotować się do egzaminu wstępnego do gimnazjum. Gdzieś około godziny dziesiątej przed południem twardo wystawiłem plecy na słońce, w rękach trzymałem jakąś książkę i w takiej pozycji, raczej nieruchomo, pozostawałem gdzieś do godziny siedemnastej po południu. No, bo przecież skutki nieżycziwej kwietniowej wody należało usunąć przy pomocy przyjacielskiego, majowego słońca. Po kolacji, dość skwapliwie zacząłem przymierzać się do snu. Cioci to się wydało podejrzane. Gdy zdjąłem koszulę, ciocia tej wiosny po raz drugi kręciła głową, a nawet krzyknęła: "Plecy nasz jak ugotowany rak". Szybko przywarłem plecami do chłodnego prześcieradła, co ciocia uznała, chyba za zbyt mało skuteczny zabieg, gdyż poleciła mi, abym ułożył się do prześcieradła piersiami. Na czerwone i gorące plecy nakładała mi zsiadłe mleko. To łagodziło ból, ale oparzelina tkwiła w skórze przez całą noc i jeszcze znacznie dłużej. Dopiero po kilku dniach zaczęły ze skóry opadać płatki naskórka, ustawało swędzenie i plecy wróciły do normy. Ale kasłanie, spluwanie flegmą i bombelki z ropą zniknęły dopiero gdzieś pod koniec wakacji.

Zbliżył się wreszcie czerwcowy dzień 1937 r., w którym w Solcu usiadłem do egzaminu pisemnego z języka polskiego, a nieco później z matematyki, jako kandydat na sztubaka gimnazjum ogólnokształcącego. Po tych dwóch podejściach nie było wokół mojej osoby sensacji,

Nikt mnie nie chwalił, nikt nie czynił wymówek, ani nie komentował. Za kilka dni wezwano mnie jednak na egzamin ustny, tym razem z historii. Pytania stawiał mi profesor Jan Wnuk. Było ich sporo. Pociłem się i plątałem, a egzaminator ciągle pytał. Wydawało mi się, że to trwało bardzo długo. W końcu nie wiedziałem kto z kim walczył pod Dunkierką, a kto z kim pod Raszynem i jaki był wynik tych obydwóch zmagañ. Profesor nie był zadowolony. Ale który z nas mógł wtedy przewidzieć, że "Stanie się tylko to, co niemożliwe"^{4/}. W wyniku interwencji i próśb cioci Pękaliny do gimnazjum zostałem przyjęty. Profesora Jana Wnuka i dwóch jego dorosłych synów w dniu 1 kwietnia 1942 r. aresztowało gestapo radomskie i wszystkich zamordowało, a ja w 1949 r. zostałem pośmiertnym zięciem Jana Wnuka. Ale to było później.

Tymczasem, po pomyślnie przeprowadzonej w czerwcu 1937 r. batalii głównie przez ciocię Pękalinę o niebieskie lampasy naszyte wzdłuż zewnętrznego szwu spodni, zostałem przyjęty do ~~PI~~ klasy czteroletniego gimnazjum ogólnokształcącego w Solcu nad Wisłą.

Zbliżyły się wakacje. Henio otrzymał promocję do III klasy gimnazjum i po kilku dniach obydwaj znaleźliśmy się u babci Marianny Kalinowskiej w odległym o około 7 km od Solca Słuszczyńie. Babcia częstowała nas pełnotłustym mlekiem, jajecznicą i jajkami na twardo. Tych ostatnich za jednym posiedzeniem mogliśmy zjeść chyba kilkanaście.

W początkach lipca brat mamy, wujek Fonek odwiózł nas żelaznym parokonnym wozem do Rudy. Jechaliśmy prawie cały dzień, odległość była znaczna około 70 km. Były to ostatnie dni wakacji w Rudzie. Ojciec był zajęty załatwianiem formalności związanych z przejściem na nieco wcześniejszą emeryturę. Już od roku dojeżdżał do Krakowa na komisję lekarskie.

Ojciec jawił nam się zwykle jako światły, odcytany i znający

świat człowiek. Ale pamiętam, jak chyba po pierwszym powrocie z Krakowa opowiadał mamie o przeżytym w pewnym se^Wszoku na widok ślniących łazienek i czystych fajansowych misek klozetowych. Czegoś takiego nie było ani w Rudzie, ani w innych miejscowościach, w których wcześniej pracował. My z Heniem składaliśmy pożegnalne wizyty naszym kolegom: Stasiowi Gajewskiemu synowi młynarza, Mańkowi Masternakowi z Gór, Jankowi Kucharskiemu synowi wójta i jeszcze kilku innym.

W lipcu 1937 r. dojechały ze Słuszczyzna do Rudy trzy parokonne, żelazne wozy. Bracia mamy! Antoni i Alfons Kalinowscy i dalszy kuzyn Franciszek Szewczyk. Rozpoczęło się załadowywanie naszego ruchomego majątku, a nasz pobyt w Górach Świętokrzyskich dobiegał końca. Mebli, różnego rodzaju sprzętu, odzieży i innych ruchomości chyba nie było w nadmiarze, gdyż wszystko to na te trzy niewielkie wozy bez problemu zostało załadowane. Zmieściliśmy się i my, ósmioro dzieci i dwoje rodziców. Jedynie Wiluś został przywiązany na łańcuchu do jednego z wozów. Zakładało się, że bądź co bądź wyładowane wozy, ciągnię^gone przynajmniej przez pierwsze około 10 km do Iwanisk po wyboistej i piaszczystej drodze polnej będą się przemieszczały "noga za nogą". Wiluś miał się nauczyć i przyzwycząć do powolnego marszu za wozem. Niestety, nie wzięliśmy wówczas pod uwagę tego faktu, że dotychczas Wiluś nigdy nie był prowadzony ani na smyczy, ani na żadnym łańcuchu. Był duży, ciężki - utuczony. Dla niego był to szok, zaskoczenie. Nie chciał ani iść, ani biec. Początkowo opierał się o ziemię wszystkimi czterema łapami. Za Iwaniskami była już droga utwardzona, szosa. Wydawało się, że Wiluś już się przystosował. Niestety, za Opatowem Wiluś padł. Wszyscy bardzo go żałowaliśmy. Jechaliśmy cały dzień i w Słuszczyźnie stanęliśmy późnym wieczorem. Rozpoczął się nowy etap w naszym życiu. Krowy, Bur^ochę i Granicę z Rudy do Słuszczyzna przyprowa-

dził dopiero drugiego dnia przed wieczorem Stefan Łyjak. Po drodze doły je gospodynie mijanych wiosek. Część mleka wypijał Łyjak, a pozostałą większą część zabierały gospodynie.

Zamieszkaliśmy w drewnianym, starym, krytym strzechą domu babci Marianny Kalinowskiej. Babcia zajmowała jedno pomieszczenie od strony wschodniej, jak mówiliśmy "od podwórza". Wewnątrz miała kuchnię z cegły do gotowania, a do niej przylegał piec do ogrzewania, też z cegły. Idąc do babci właśnie od strony podwórza wchodziło się najpierw do dość obszernej sieni, a stąd, na lewo do babci. Natomiast idąc kilka kroków prosto dochodziło się do otworu, w którym były kamienne, kilkunastopniowe schody prowadzące w dół, do dwuczęściowej piwnicy. Na prawo była piwnica nasza, a na lewo babci. W mieszkaniu babci były drugie drzwi, którymi wychodziło się do drugiej sieni oddzielającej właśnie mieszkanie babci od mieszkania wujka Fonka, brata naszej mamy, a jednego z synów babci. Wujostwo Fonkowe mieli w tym czasie dwoje dzieci, kilkuletniego Janka i nieco młodszą Jadzię. Pomieszczenie przez nich zajmowane było powierzchniowo takie same jak u babci. Z sieni w kierunku północnym były drzwi do maleńkiej kuchenki, ale o tym za chwilę. Bowiem były jeszcze czwarte drzwi w kierunku południowym. Były to drzwi frontowe, główne, wejściowe. Przed nimi sporo lat wcześniej ułożono grube deski, na powierzchni około 16 metrów kwadratowych, w tym celu, aby do sieni nie wchodzić po błocie. My zastaliśmy już resztki tych desek, większa część zgniła.

Tak więc w sumie mieszkanie babci, wujostwa Fonków i dwie sionki zajmowały około trzy czwarte powierzchni całego domu. Pozostała, północno-zachodnia część rozciągała się od pierwszej ściany sieni nad piwnicą i biegła w kierunku zachodnim, równoległe do pokoju wujka Fonka, o kształcie wąskiej kieszki. Szerokość około 4 kroków, długości mniej więcej 7 kroków. Część ta składała się z maleńkiej

kuchenki o jakiej nieco wcześniej wspominałem, z drzwiami do tej drugiej frontowej sieni, o jednym maleńkim oknie od strony północnej i nieco większego pokoiku, nazywanego przez babcię alkierzem.

Na takiej to powierzchni zamieszkaliśmy my, po przeprowadzeniu się z Rudy. Ponadto, w tej drugiej sieni "frontowej" były drewniane schody prowadzące na strych. Tu, z wujkiem Fonkiem, każdy na swojej części, przechowywaliśmy wymi^ocone zboże. Krowy mieściły się w wydzielonej nam części obory, a wkrótce klacz i kilka świnek. Otrzymaliśmy też od babci wolnostojącą starą stodołę, usytuowaną kilkanaście metrów z tyłu poza wsią, ale na naszym polu.

Po kilku wolnych dniach w te pierwsze w Słuszczyńskie wakacje włączyliśmy się z bratem do zwózki części przynależnego nam w tym roku zboża z pola. Części, jako, że przecież to wujkowie: Alfons i Antoś to zboże zasiali. Obydwaj byli przecież wcześniej zorientowani, że my w Słuszczyńskie osiadziemy. Starszy wujek Antoś, który część naszego pola dotychczas uprawiał - wynawoził i przygotował je tak samo, jak własne. Stąd zbiory były pomyślne. Nie przestrzegaliśmy skrupulatnie umownej zasady dotyczącej częściowego zebrania przez nas plonów. Z niektórych kawałków pola zebraliśmy je w całości. Natomiast młodszy wujek Fonek, uprawiający dotychczas drugą część naszego pola, słabiej je wynawoził, plony były słabsze i zwieźliśmy ich mniej. Stąd też z bratem wiele nie napracowaliśmy się przy zwózce. Żniwa były słoneczne, ubieraliśmy się tylko w spodenki i koszulki gimnastyczne, więc opaliliśmy się nieźle.

Zwózkę zboża z pola do stodoły zakończono też u wujostwa Heleny i Jana Główków w Ciszycy. W tym więc czasie zaprosili nas do siebie na kilka dni. Już nie pamiętam, kto jeszcze z mojego rodzeństwa oprócz mnie tam dojechał i czym, ale jeżeli tak to chyba jakąś okazją - przygodną furmanką. Po dwóch, najwyżej trzech dniach liczba innych gości u wujka się zwiększyła i jakoś tak z niedzieli na

poniedziałek wypadło mi spać na klepisku w stodole. Posłanie tak było przygotowane, że głowę miałem blisko zapola, pełnego świeżego żyta. Położyłem się na prawym boku, lecz nie odrazu mogłem usnąć. Gdzieś około godziny 11⁰⁰ w nocy coś z wysoka spadło i stuknęło mnie prosto w ucho. To "coś" zaczęło się szybko kręcić i zanim ręką zdążyłem strzepnąć, już weszło dość głęboko w przewód słuchowy, tak, że ledwo to "coś" lekko dotknąłem końcem palca. Początkowo bardzo się kręciło i powodowało silny ból. Chyba zacząłem płakać, ból nie ustępował.

Po pewnym czasie przyszedłem do mieszkania i opowiedziałem cioci i wujkowi o przygodzie. Powoli wiercenie i kręcenie się w uchu ustało, ból stał się mniej ostry i przeszedł w stan raczej otępiąły. Zacząłem odczuwać lekki ból głowy i wydawało mi się, że na to ucho lekko niedosłyszę. Wujostwo uradzili, że rano, jak najwcześniej przeprowimy się łódką na drugą stronę Wisły, do felczera w Józefowie. Do maleńkiej łódki wsiadło nas około 18 osób, przewoźnik apelował o spokój, abyśmy się nie poruszali i powoli szczęśliwie dobiliśmy do drugiego brzegu. Wkrótce byliśmy w miasteczku, u pana felczera. Ten gruszką gumową zaczerpnął letniej wody i silnym strumieniem wprowadził ją do środka ucha. Za drugim razem coś ciemnego zaczęło spływać z wodą i po kilku chwilach felczer wyjął z ucha dużą szczypawkę. Ucho nie zostało uszkodzone, ból ustał. Ciocia była bardzo uradowana ze szczęśliwie przeprowadzonego zabiegu i jakoś wkrótce wróciłem do Słuszczyzna. Felczer pobrał wynagrodzenie w wysokości dwóch złotych.

Solec

Wakacje dobiegły końca. Od początku września 1937 r. rozpocząłem naukę w klasie IB, 4 letniego gimnazjum ogólnokształcącego koedukacyjnego w Solcu nad Wisłą. W ostatnich latach przed II wojną świa-

ową nadbudowę gimnazjum stanowiło 3-letnie liceum pedagogiczne. W roku szkolnym 1937/1938 na czele całej instytucji stał dyrektor Jacek Jedliński. Zamieszkałem, tak, jak od 2 lat Henio, w internacie. Odpłatność za pobyt w nim, a więc za wyżywienie, miejsce w sypialni, korzystanie z sal lekcyjnych, światło, wodę, środki czystościowe, obsługę i tp wynosiła od nas dwóch 90 zł miesięcznie. Było to około 6 kwintali żyta. W tej materii ulgi w odpłatności w stosunku do nas raczej nie były stosowane. Chociaż, gdy byłem już w II klasie, to wydaje mi się, że rodzice płacili za nas kilka złotych mniej. Natomiast dwaj nasi koledzy: Z S i T P, pochodzący z bardzo biednych rodzin wiejskich i wyróżniający się bardzo dobrymi i dobrymi wynikami w nauce otrzymali ^{MW} stypendia i korzystali ze znacznych zniżek w opłatach.

Wszystkimi sprawami gospodarczymi, zaopatrzeniowymi związanymi z internatem zarządzali Ukraińcy: Wicedyrektor, świetny matematyk prof. Michał Wynnyk i biolog prof. Antoni Zaplitny. Z pozycji ucznia wydawało mi się, że i oni czuli się dobrze i nam z nimi było dobrze. Do internatu należało też kilka mórg ziemi. Wicedyrektor Michał Wynnyk lubił mieć dla potrzeb służbowych ładne pociągowe konie. Było też kilka, a może kilkanaście krów. Prowadzona też była hodowla tuczników.

Istniała też odpłatność za naukę, tzw "taksa", w wysokości 200zł rocznie od jednego ucznia. Płaciło się w dwóch ratach: 100 zł w pierwszym półroczu i drugie 100 zł w drugim półroczu. Mnie i bratu, jako synom funkcjonariusza państwowego przysługiwała zniżka do 50%. Pod warunkiem jednak, że nie miało się ocen niedostatecznych. Rodzice, szczególnie mama, o tym przypominali i dopingowali nas do pracy. Staraliśmy się z bratem, aby dyrektor miał podstawę do przyznania nam tej zniżki.

Wyżywienie mieliśmy smaczne i w wystarczającej ilości, a więc

śniadanie, drugie śniadanie, zwykle trzydaniowy obiad, skromniejszy podwieczorek i kolację.

Dzień pracy rozpoczynaliśmy przed godziną 8 wspólną modlitwą na korytarzu budynku gimnazjalnego. Z reguły śpiewaliśmy pieśń "Kiedy ranne wstają zorze...". Czasem któryś z nauczycieli lub dyrektor podawał jakieś komunikaty i wchodziliśmy do klas. Tu żartów, śmiechu, zabawy, pobjażania nie było.

Mieliśmy ~~sz~~resztą fantastycznych nauczycieli. Byli bardzo dobrze przygotowani pod względem merytorycznym, rzeczowym i metodycznym. Wszystkich ich doskonale pamiętam. Na lekcjach była idealna cisza. Nie było mowy o rozglądaniu się na prawo czy lewo. Na przykład u p profesorki Juli Greszczuk uczącej nas łaciny musieliśmy mieć grubszy zeszyt, podzielony na części. Oddzielnie notowaliśmy sprawy związane z morfologią, oddzielnie składnia, słówka i tp. Musieliśmy znać dokładnie odmianę rzeczowników przez przypadki, wszystkie deklinacje, czasy itp.

Dzwonka na przerwę oczekiwało się jak wybawienia. Własnych zegarków raczej nie mieliśmy. Podobnie było na każdym poziomie nauczania. Drzwi wejściowe z korytarza do klas od dołu do połowy były pełne, drewniane, a od połowy w górę ze szkła. Pamiętam, jak kolega z wyższej klasy na przerwie przed lekcją historii, która u nich w tym dniu wypadła na 5 czy 6 godzinie lekcyjnej, a dowiedział się, że ja wtedy już po 4 czy 5 lekcji byłem wolny zobowiązał mnie do pokazywania mu przez szybę na kartce papieru ile jeszcze minut pozostało do końca lekcji.

Po obiedzie, gdzieś od godziny 14 do 16 mieliśmy czas wolny. Wtedy często z kolegami udawaliśmy się na nieodległe przechadzki, spacerować lub na boisko szkolne. Należało pamiętać, że punktualnie o godzinie 16 rozpoczynało się obowiązkowe odrabianie lekcji. Nie można było się spóźnić. Obecność kontrolowali dyżurujący nauczycie-

le. Bałem się ich. Odrabianie trwało do godziny 18. Później pół godziny pozostawało na uporządkowanie zeszytów i książek na następny dzień i o godz. 18³⁰ szliśmy na kolację, o czym sygnalizował dzwonek. Około godziny 19, ci, którzy chcieli wracać do izb lekcyjnych, kończyli odrabianie lekcji, lub poprostu prowadzili towarzyskie rozmowy. Inni udawali się do internatu. Przeglądali garderobę, reperowali, czyścili obuwie i tp. Niektórzy grali w ping-ponga, umuzykalnieni ćwiczili na różnych instrumentach muzycznych, stęsknieni za domem rodzinnym pisali listy. Jeśli ktoś z nas zorientował się, że na jutro jest mu potrzebny biały sztywny kołnierzyk, wychodził do miasta. W sklepiku u Żyda jeszcze o tej porze można było dokonać zakupu, byleby to nie była sobota. O godz. 22 obowiązywała cisza nocna. Dyżurny nauczyciel sprawdzał, czy ten wymóg regulaminu jest przestrzegany, ponaglał maruderów nierzadko przy myciu się w łazience i powoli zasypialiśmy. Rano o godz. 6³⁰ budził nas przeważnie woźny, przy pomocy dzwonka. Szybko myliśmy się, ubierali i zbieraliśmy się w sąsiedztwie jadalni. Uczniowie dyżurni wietrzyli sypialnie, zamiatali, porządkowali jakieś pozostawione w nieładzie przedmioty i starali się wejść na śniadanie razem ze wszystkimi.

Moja adaptacja do nowego środowiska, regulaminu nie przebiegała łatwo. Tęskniłem za domem. Co drugą sobotę dochodziłem do Słuszczyzna. Szczególnie w pierwszych miesiącach, w klasie I musiałem się dużo uczyć. We wrześniu i październiku największe trudności sprawiał mi język niemiecki. Uczył go nas profesor Władysław *Cudzych* Cudzych. Był wychowawcą naszej klasy. Jednym z jego sposobów, "chwytów" w dopingowaniu nas do nauki były stosowane w odpowiednim momencie mencie jego wypowiedzi, z których wynikało, że równoległa klasa I"A" lepiej się uczy. Podciągaliśmy się więc i my, na zasadzie wywalizacji.

Za pierwszy okres, który kończył się na Wszystkich Świętych z tego przedmiotu otrzymałem dwójkę, Czułem jednak, że jestem w stanie zrozumieć i opanować tę sztukę. Słęczałem nad gramatyką, słówkami, tekstami, różnymi zwrotami, zeszyty przepisywałem jeśli popełniłem błąd lub jakąś niedokładność i stosunkowo w krótkim czasie język ten stawał się dla mnie coraz bardziej zrozumiały. Już przed Bożym Narodzeniem zacząłem się zgłaszać do odpowiedzi i dyskretnie podpowiadać kolegom. Na półrocze nie tylko, że wypłynąłem bez dwój, ale nawet jako jeden z lepszych.

Każdy kontakt z księdzem prefektem Oską, z profesorem Ignacym Zarębskim - historykiem, Wiktorem Zychem - geografem i Kazimierzem Kawą - matematykiem wzbudzał we mnie lęk. Siedzący obok mnie w ławce Maniek Tomankiewicz, starszy ode mnie chyba o 2 lata, wyższy i silniejszy, z niesamowicie krzaczastymi brwiami, ze sztywnymi i skołtunionymi włosami na głowie, wymyślił "lekarstwo" na profesora Kawę. Otóż, tłumaczył mi, że nie my profesora, lecz profesor musi nas się bać i wtedy nie będzie nas wzywał do odpowiedzi. Maniek był świadom swych walorów. W ławce siedział spokojnie, poprawnie, głowę nieco pochylał, policzki cofał, zęby zaciskał, marszczył krzaczaste brwi i spod czoła uparcie wpatrywał się w profesora. Ja na tle przechodzącego się po klasie profesora i siedzącego obok mnie groźnego Mańka byłem bardzo małeńki, jeszcze celowo dodatkowo kurczyłem się, drżałem, głowę chowałem między ramiona i w każdej chwili spodziewałem się jakiegoś wybuchu.

Niebawem profesor zatrzymał się obok tego stolika, a że miał około 180 cm wzrostu, wyprostowany wydał mi się jeszcze potężniejszy. W klasie zaległa cisza. Profesor rzekł: "Dwóch w tej klasie się na mnie gniewa. Jeden patrzy na mnie jak zbój / tzn Maniek/, a drugi jak na zbója / tzn ja/". To sytuację w klasie rozładowało. Uczniowie odreagowali śmiechem. Ja tak jakoś lawirowałem na lek-

cjach i przy odpowiedziach, że dwój u tych czterech profesorów nie obrywałem. Swobodniej czułem się w kontaktach z profesorami: Zaplitnym - biologiem, Bujakiem - od śpiewu i muzyki, Janem Wnukiem - od zajęć praktyczno-technicznych i Januszem Gołębiowskim - od wychowania fizycznego /gimnastyki/. Ten ostatni nawet mnie docenił i wyróżnił, "mianując" mnie drużynowym. Do mnie należało organizowanie zbiórek chłopców na sali gimnastycznej lub na boisku, ustawianie kolegów w jednym lub dwuszeregu, odliczanie "do dwóch", lub "kolejno" itp. Mimo tego, że należałem do niższych uczniów w klasie, jakąś dozę "posłuchu" miałem. Następcą prof. Gołębiowskiego, gdy byłem już w II klasie gimnazjum był młody, wysportowany, prof. Jerzy Fidała. W przyszłości został zamordowany w Katyniu.

Nad naszym zdrowiem czuwał dochodzący z miasteczka ^(Starobielsk) lekarz. Dla potrzeb mieszkańców internatu funkcjonowała własna piekarnia. Przewodził ją pan Edward Wąsik, nazywany raczej przez sympatię, a nie ze złośliwości "bułkotechnikiem".

Ważnym elementem w naszym wychowaniu był obowiązek posiadania książeczki oszczędnościowej. Co miesiąc należało dokonać odpowiednio wysokiej wpłaty, aby uzbierane oszczędności na koniec roku wystarczyły na opłacenie wycieczki, i tak: w klasie I do Sandomierza, w klasie II do Krakowa, w klasie III do Wilna lub Lwowa, a w klasie IV na wybrzeże do Gdańska i Gdyni. Przebieg wpłat kontrolował nauczyciel-wychowawca poszczególnej klasy.

Tymczasem w marcu 1938 r. rozeszła się wieść, że Niemcy dokonały Anschlussu Austrii. Nie miałem wtedy nawet 14 lat życia, gdzieś usłyszało się interpretację, że to "jeden obszar językowy", nie orientowałem się, nie byliśmy przecież upolityczniani, nie przewidywałem tego, co zapowiada zagarnięcie Austrii.

Też w marcu 1938 r. dowiedzieliśmy się, że z 10/11 marca /1938r. Litewska straż graniczna zastrzeliła na linii demarkacyjnej między

Polską i Litwą żołnierza KOP Stanisława Serafina.

Przejeliśmy się i zmartwili tym wydarzeniem bardzo. Docierały do nas wiadomości o demonstracjach ulicznych w Warszawie, o oburzeniu ludności, o hasłach "Wodzu prowadź nas na Kowno" itp. wkrótce nasz wychowawca profesor Władysław Cudzych zakomunikował nam, że w każdej chwili spodziewa się karty mobilizacyjnej do wojska. Byliśmy przygnębieni. Tym bardziej, że wieść niosła, że marszałek Edward Rydz Smigły przybył do Wilna. Nieco uspokoiłiśmy się gdy dowiedzieliśmy się, że 19 marca 1938 r. Litwini przyjęli żądania polskie w sprawie nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską. Zaczęliśmy w opisywanym czasie śpiewać głównie przy okazji różnych zbiórek i marszów taką oto piosenkę:

"Marszałek Smigły Rydz
nasz drogi dzielny wódz,
gdy każe pójdziem z nim
najeźdźców tłuc.
Nikt nam nie zrobi nic,
nikt nam nie weźmie nic,
bo z nami Smigły,
z nami Smigły Rydz."

W czerwcu 1938 r. my, pierwszoklasiści popłynęliśmy statkiem i Wisłą do Sandomierza. Wkrótce, ~~po powrocie~~ po powrocie nastąpiło zakończenie roku szkolnego 1937/1938, ja otrzymałem promocję do klasy II gimnazjum, a na dzień 1 września 1938 r. desygnowany został nowy dyrektor Mieczysław Gawęcki, dobry polonista.

Wczesną jeszcze jesienią 1937 r. ojciec kupił od wujka Antoniego Kalinowskiego dużą, gniadą klacz. Równych jej ~~do~~ do wielkości i siły koni we wsi chyba nie było, a jeśli tak, to bardzo niewiele. "Gniada" przyjęła się u nas bardzo dobrze. Nie była "grymaśna", zjadała wszystko, co jej się do żłobu włożyło. Stąd też była tłusta

gładka, sierść miała lśniąca i była silna, chociaż powolna. Ojciec w lot ^opsiadł sztukę orania, bronowania, siania i innych czynności koniecznych w gospodarstwie.

Dziadkowie w linii ojca, Antoni i Katarzyna Nurowscy mieszkali w zasadzie na przedmieściu ówczesnego Sandomierza w Strochcicach. Uprawiali zaledwie kilku morgowe gospodarstwo rolne. Mizerne dochody z tego gospodarstwa dziadek zasiliał innymi zarobkami. ¹Naprzykład pracował też w charakterze furmana. Wiem, że dowoził popa z Sandomierza do seminarium nauczycielskiego w Solcu, gdzie pop pełnił obowiązek prefekta. Dowoził też innych notabli do Zawichostu, bądź przez most na drugą stronę Wisły do stacji kolejowej, lub do Koprzywnicy i dół innych miejscowości. Przewidujący dziadek Antoni nie widział przyszłości dla swych dzieci w gospodarstwie w Strochcicach. Stąd też najstarszego syna Mariana ukierunkował do pracy w kolejnictwie, ojca oddał do seminarium nauczycielskiego w Solcu, a pięciu córkom: Stanisławie, Helenie, Barbarze, Wandzie i Leokadii też doradził aby szukały kawałka chleba w nauczycielstwie. Ojciec nasz nie miał więc w dzieciństwie, ani w wieku młodzięcym wiele okazji, ani możliwości zaprawienia się do rolnictwa. Jednak to - głównie podpatrzone minimum, jakie wyniósł z domu rodzinnego potrafił już na emeryturze wykorzystać i uczynić z niego podstawę, okresami ^{prawił}prawił, że głodowej, chwilami nawet tragicznej - ale egzystencji, umożliwiającej nam wszystkim przetrwanie zbliżającego się koszmarnego okresu hitlerowskiej okupacji.

Jak już wcześniej wspomniałem w Słuszczyne nasza mama obok pozostałych sióstr i braci - otrzymała w spadku po swoich rodzicach 10 mórg ziemi. Gdy ojciec jeszcze pracował oszczędzali i w ten sposób dokupili dalszych około 6 mórg. Mama była córką Jana Kalinowskiego, urzędnika na rosyjskiej posiadzie, bodajże w leśnictwie, z okresu sprzed pierwszej wojny światowej.

Dziadek Jan urodził się w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku. Po śmierci swej pierwszej żony, z którą wiem, że miał m.in. syna Franciszka, księdza, ożenił się z dużo młodszą od siebie panną, Marianną Jaroszoną z Sadkowic. Poznał ją, gdy zgłosiła się do niego do pielienia pola. Podobno zaimponowała mu pracowitością. Zmarł w 82 roku życia. Żadne z nas, z rodzeństwa nigdy oczywiście dziadka Jana nie widziało. Wszyscy rodziliśmy się już po jego śmierci. Znaliśmy go tylko gdyż był przeciwny fotografowaniu z jedyne go portretu jaki wisiał u babci w mieszkaniu do 1944 r. W sumie z obydwo ma żonami dziadek miał 22 dzieci, lecz nie wszystkie dożyły wieku dojrzałego.

Zaraz po ślubie razem z babcią i dziadkiem zamieszkała w Słuszczyźnie bardzo z babcią żyła samotna, nieco starsza od babci, pochodząca z Sadkowic, Burkowa. Pomagała w gospodarstwie, traktowana tak jak członek rodziny. Często siadała ^{na} przyzbie pod ścianą i cichutko obserwowała to, co się wokół niej dzieje. Szczególnie w wakacje z Heniem lubiliśmy na podwórku pokopać kilka minut piłkę. Oczywiście robiliśmy to delikatnie raczej i ostrożnie, bo okno było blisko. Gdy piłka szybowała w kierunku Burkowej, ta, wystraszo na wyciągała w górę łaskę, usiłując się ochronić przed piłką. Takie zachowanie Burkowej bawiło nas. Twierdziliśmy, że piłką Burkowej krzywdy nie zrobimy. To jeszcze jeden dowód, że młody starego nie zrozumie, dotąd, aż sam stanie się starym. Burkowa zmarła przed wrześniem 1939 r. i została pochowana na cmentarzu w Pawłowicach.

Tak więc mama, jak już wspomniałem pochodziła ze sporego gospodarstwa rolnego. Miała więc ogólne rozeznanie w pracy na roli, ale zajęć bardziej męskich, związanych z utrzymywaniem i wykorzystywaniem naprzykład koni, raczej nie znała. Pamiętała naprzykład, że u jej rodziców było kilka koni, ale nimi zajmowali się głównie "wozacy" i jej bracia, Antoni i Fonek. A jeśli chodzi o krowy,

świnie, owce, czy drób, to było tego wszystkiego sporo. Mama pamiętała, że u babci mięsa, mleka i różnych przetworów mleczno-nabiałowych było dużo, bez ograniczeń. Stąd też rozpoczynając z ojcem prowadzenie gospodarstwa rolnego w Słuszczyńcu przywiązywała największą wagę do należytego utrzymania przynajmniej dwóch, trzech mlecznych krów, kilka tuczników, owiec i kur. Z wyhodowaniem tuczników było trudniej, należało czekać na nie kilka miesięcy, a czasem nawet i rok. Natomiast mleko od krów mama oczekiwała trzy, a w gorszym przypadku przynajmniej dwa razy dziennie. Było nas przecież ośmioro dzieci, a w grudniu 1939 gromadka jeszcze wzrosła o syna Mariana Romualda. Mleko, nabiał mama traktowała jako podstawę egzystencji całej naszej rodziny.

Ojciec otrzymał około 190 zł miesięcznie emerytury. Był to poważny zastrzyk do naszego gospodarstwa. Kupując gniadą co nieco targował się z wujkiem Antosiem, który wycenił klacz na 100 zł. Wujek utrzymywał, że gdyby on do swojego gospodarstwa miał mniej aniżeli ojciec emerytury, na przykład z jakiegoś źródła dajmy na to 100 zł miesięcznie, to czułby się jak dziedzic. Wydawać więc by się mogło, że powinniśmy mieć zapewnioną w miarę pomyślną egzystencję w Słuszczyńcu. Rzeczywistość była jednak inna. Z miejsca należało kupić cały sprzęt stosowany w gospodarstwie. Oprócz wozu konnego z uprzężą, to jeszcze sieczkarnię, pług, brony, sprzężonówkę, nawet widły i grabie. Niczego przecież dotychczas z tych rzeczy nie mieliśmy. Uiszczanie opłat za naukę w szkole średniej i za pobyt nas dwóch w internacie też poważnie uszczuplało budżet domowy. Należało przecież jeszcze wyżywić, ubrać, zaopatrzyć w obuwie sześcioro młodszego naszego rodzeństwa. Oni też kontynuowali lub rozpoczynali naukę. Na razie w szkole powszechnej, niektórzy z nich w miejscu w Słuszczyńcu, ale do wyższych klas szkoły powszechnej, np. Kryśka i Jadzia musiały przez większą część

roku dochodzić do Przedmieścia Dalszego, jakieś 4 do 5 km. W Słuszczyźnie były tylko klasy od I do IV, co nie powodowało takich kosztów jak na przykład w Solcu, tym niemniej dodatkowe wydatki były.

Rodzice musieli tu i ówdzie zaciągać mniejsze lub większe, krótsze lub dłuższe pożyczki. Pierwszy jednak rok w Słuszczyźnie upłynął bez większych kłopotów i trosk. Jakichś nowych inwestycji ojciec na razie nie prowadził, za wyjątkiem wykonania dodatkowych drzwi wejściowych do naszej kuchenki od strony północnej / tj od strony sąsiada Bronisława Pałki / i dobudowania w tym miejscu niewielkiej sionki. Drugie więc wakacje w Słuszczyźnie były już pełne. Coraz bardziej wdrażaliśmy się do prac w gospodarstwie. Najwięcej pomagaliśmy w żniwa przy zwózce zboża z pól do stodoły, zagrabialiśmy pola z kłosów, a zwiezione "zgraby" usiłowaliśmy młócić cepami. Do poważniejszej młocki, pod kątem przygotowania ziarna do jesiennych zasiewów chyba tych wakacji nie doszło. Nastąpiło to później, we wrześniu, gdy my z Heniem już byliśmy w internacie, w Solcu. A przebiegało to w ten sposób, że przy pomocy przetransportowywało się kierat od jednego z wójków pod naszą stodołę, doprowadzało się też młockarnię tzw "szerokomłotną" i zapewniało się pomoc dodatkowych koni. Najlepiej, jeżeli były dwie pary koni przy kieracie. Werbowano się też przynajmniej 6, 7 dodatkowych osób i można było młockę rozpocząć.

W roku szkolnym 1938/1939 w II klasie gimnazjum czułem się już pewniej. Znałem już nauczycieli, wymagania, budynki, kolegów, regulamin i zwyczaje. Rzadko wprawdzie, ale zdarzały się przypadki, że otrzymywałem i dobre oceny z niektórych odpowiedzi. Utrwaliłem się jednak jako pewny dostateczny uczeń. Zniżki w taksie za naukę były raczej zapewnione. Nasze życie, ale niestety tylko w gimnazjum w Solcu i w Słuszczyźnie w pewnym ^{em} ~~ś~~ się jak gdyby się stabilizowało.

Tymczasem, na wiosnę 1939 r. znów wiadomość. Oto ks Józef Tiso utworzył państwo słowackie. Wkrótce, w marcu 1939 r. Niemcy zajęli Czechosłowację /Czechy i Morawy/. Też wiosną 1939 r. Niemcy zajęli Kłajpedę, niebawem Włosi zajęli Albanię. Niepokój się spotęgował, gdy 21 marca 1939 r. Joachim von Ribentrop zażądał przyłączenia wolnego miasta Gdańska, przeprowadzenia eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej z Niemiec przez polskie Pomorze do Prus Wschodnich. Też przystąpienia Polski do Paktu Antykominternowskiego. Polska nie zgodziła się.

W rozmowach prowadzonych z kolegami podnosiliśmy znaczenie dla naszej obronności dobrowolnych ofiar na utworzony w 1933 r. Fundusz Obrony Morskiej /FOM/ i w 1936 r. Fundusz Obrony Narodowej /FON/. Przywiązywaliśmy wielką wagę do "gwarancji brytyjskich" z dnia 31 marca 1939 r., to jest zapewnienia nam pomocy w wypadku ataku ze strony Niemiec.

Zbliżał się koniec maja 1939 r. i w moim mniemaniu stawałem się już starszym gimnazjalistą. Przewidywałem, że po wakacjach rozpoczną naukę już jako trzecioklasista. Kilka razy z kolegami udawaliśmy się w kierunku Kłudzia nad Wisłą, od gimnazjum 2 - 3 km. Tu na zboczu wysokiej skarpy stał obity deseczkami drewniany, niewielki baraczek. Zarządzał nim profesor J. Wnuk. Obok profesjonalnie prowadzonych zajęć praktyczno-technicznych i rysunków, o czym wcześniej wspominałem, umiłował sport, a jego hobby stanowiły sporty wodne. Między innymi zgromadził, konserwował i właśnie we wspomnianym baraczkach przechowywał kilka kajaków. Można z nich było korzystać tylko za jego zgodą, lub upoważnionego ucznia z wyższej klasy. Kilka razy udało mi się popływać po Wiśle, w pobliżu ujścia Krępianki do Wisły. I to była jedna z nielicznych moich przyjemności i przeżyć sportowych w gimnazjum w Solcu przed wojną. Nie licząc kąpiele w Wiśle bez kajaka, zajęć na sali lub na spor-

towym boisku gimnazjalnym. To wspomnienie "kilka razy" pływanie po Wiśle kajakiem zdążyłem bardzo polubić. Zacząłem wtedy marzyć i przemyślać o jakże przyjemnym spędzenia całych wakacji, po klasie III na wodach polskich rzek, od Wisły aż do Prypeci, do Pińska. Dzielnie mi w tych marzeniach sekundował Marian Tomankiewicz, kolega z gimnazjum. Był synem pracownika ochrony i konserwacji Wisły na pewnym odcinku. Mieszkali nad samą Wisłą. Marian wspaniale posługiwał się kajakiem i łódką "psychówką".

Właśnie w II klasie, przed wakacjami wszedł do naszej klasy na jedną z lekcji dyrektora liceum, Mieczysław Gawęcki. Zapytał, kto z nas po wakacjach, gdy już będziemy w klasie III, chciałby uczyć się dodatkowo, obok łaciny i niemieckiego, również języka rosyjskiego. Ja zapewniłem dyrektora, że owszem, chętnie będę się rosyjskiego uczył. Byłem zorientowany, że na Polesiu obok ludności rdzennie polskiej spotkamy z Marianem ludzi posługujących się językiem białoruskim, ruskim, rosyjskim. Trzeba będzie się z nimi porozumieć. Niestety, nigdy w moim życiu nie doszło do tego, abym miał okazję uczyć się języka rosyjskiego w szkole.

W takim to oto podnieceniu, niepokoju, niepewności, oczekiwaniach, a nawet i lęku zbliżył się koniec roku szkolnego 1938/1939. Jeszcze zdążyliśmy jako klasy II, zgodnie ze wcześniejszym zaplanowaniem, pojechać na wycieczkę przez Tarnów do Krakowa. A dlatego tą drogą, że wtedy, jak to się mówiło "liczył się każdy grosz". Najpierw z Solca znów dopłynęliśmy statkiem do Sandomierza, bo to było najtaniej. Następnie wszyscy z wychowawcami doszliśmy pieszo przez most do stacji kolejowej po drugiej stronie Wisły i stąd, jak już wspomniałem, do Tarnowa. Pamiętam, że towarzyszący nam profesor Kazimierz Kawa spojrział na zegarek i stwierdził, że przyjechaliliśmy co do minuty. Po krótkim postoju ruszyliśmy do Krakowa. Nocowaliśmy w jakiejś szkole i o ile dobrze pamiętam zwiedzanie trwało

niedu krócej, aniżeli tydzień.

Niebawem rozpocząłem spędzanie wakacji - trzecich - w Słuszczy-
nie, ostatnich w miarę w ^{AS} tej większej części spokojnych przed wy-
buchem drugiej wojny światowej. Najwięcej, tak jak w poprzednim
roku pomagaliśmy przy żniwach. Pocziwa gniada ścigała najwięcej
wozów załadowanych wysoko żytem, owsem, nieco później jęczmieniem
i pszenicą. Chyba jeszcze zwieźliśmy koniczynę, a zwózka seradeli
przypadła już niestety na wrzesień. Pole mieliśmy rozkawałkowane
w kilku miejscach. I tak, tuż za stodołą największy kawałek aż do
dróżki "tryby" to tak zwane "dwunastki", nieco dalej w kierunku
wsi Głina to pole tzw "piątki" i jeszcze dalej "półkwiertek od Da-
niela". Dalej na wschód w kierunku Sadkowic to było "Sadkowskie
pole" babci, które tylko obrabialiśmy. Z kolei w przeciwnym kierun-
ku, na zachód, za naszą wiejską drogą i za lasem mieliśmy około
czterech mórg pola, tzw "lisiny".

W te wakacje my z bratem wiele nie kosiliśmy, dopiero uczyliśmy
się tej sztuki. Kosili kosiarze wynajęci z sąsiedztwa, np Jan Poł-
ka lub któryś z jego synów, a więc Henryk lub Józef /był jeszcze
Stefan i Janek/, a także Wyroda zięć Antoniego Pałki. Ja przeważ-
nie w niedzielę przeglądałem podręczniki gromadzone do klasy III,
a w atlasie geograficznym śledziłem bieg rzek między Wisłą, a Pry-
pecią.

Mniejwięcej w połowie sierpnia 1939 r. Henio gdzieś wyszperał
wiadomość, że w Radomiu można kupić na raty rower. Pojechali tam
z ojcem i rzeczywiście tego samego dnia przed wieczorem Henio pa-
radował po wsi nowo zakupionym, trzy czwarte "balonem", o różowych
oponach, firmy "Świątecki". W tym mniejwięcej czasie mama zdążyła
kupić Heniowi i mnie pulowerki, które, jak się wkrótce okazało,
długo nam musiały służyć, nawet gdy się już zniszczyły i powyras-
taliśmy z nich.

Zagrożenie

Ostatnie dni sierpnia 1939 r. wydawały się jakieś takie coraz mniej spokojne. To sąsiad z za płotu coś wspomniał o wojnie, to ten i ów z gospodarzy zakupił większą ilość cukru, mąki, nawet soki lub nafty. Kupowano więcej świec, zapalek, lub tp. Innym razem w "Gazecie Świątecznej", którą głównie z przypomnieniem mamy prenumerowaliśmy, przeczytaliśmy, że oto czołgi polskie suną ku zachodniej granicy, a to że samoloty polskie przepędziły z pogranicza samoloty niemieckie, lub, że gdzieś schwytano szpiega niemieckiego i inne podane wiadomości.

I raptem stało się. A było to gdzieś około 27 sierpnia 1939 r.. Dzień był ciepły, słoneczny, pora przedpołudniowa. Zjawił się w pobliżu naszego domu Józef Foder, sołtys naszej wsi, w towarzystwie bodajże dwóch synów, chyba Mieczysława, studenta Uniwersytetu Warszawskiego i Tadeusza. Sołtys wręczył^a karty mobilizacyjne do wojska. Wtedy otrzymali je: wujek Fonek jako artylerzysta rezerwy 10 PAC we Lwowie /artyleria konna/, Bronisław Pałka i jeszcze kilka dalszych sąsiadów. Przygnębienie we wsi było bardzo widoczne. Żony zmobilizowanych płakały. Chyba jeszcze tego samego dnia podwodą konną zapewnioną przez sołtysa zmobilizowani mężczyźni odjechali do Ostrowca Świętokrzyskiego, do Pociągu.

W rozmowach przeprowadzanych z rodzicami i sąsiadami w ostatnich dniach sierpnia 1939 r. jawił się wątek nadziei, że być może do wojny nie dojdzie. W takim nastroju późniejszym wieczorem 31 sierpnia 1939 r. udaliśmy się z Heniem do drwalki, obok domu, gdzie na siennikach ułożyliśmy się do snu.

Wojna

1 września 1939 r. obudził nas dotychczas niespotykany warkot samolotów. Szybko wyszliśmy przed ~~drwal~~kę. Dzień był ciepły, piękny, słoneczny. Było dzieś około 7 godziny rano. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Widoczność wspaniała. Podnieśliśmy głowy. Wysoko nad niebie przesuwaly się na wschód eskadry maleńkich, srebrnych od słońca samolotów. Byliśmy z Heniem zgodni co do tego, że mogą to być samoloty angielskie. Sledziliśmy ich wzrokiem do momentu aż zniknęły za Wisłą. Jedne eskadry sunęły z zachodu na wschód, inne ze wschodu na zachód. Wydawało nam się, że upłynęło zaledwie kilka minut, gdy usłyszeliśmy pierwsze, nieco odległe, ale silne wybuchy, detonacje. Zaczęliśmy się zastanawiać, co też to może oznaczać. Z przerwami powtarzały się detonacje. Ażeby wypowiedzieć to, o czym obydwaj pomyśleliśmy, należało najpierw zgodzić się z tym, że te eskadry to niemieckie, że już zdążyły dolecieć do odległych celów i wracają na zachód, do swoich lotnisk. Wydawało się nam to nieprawdopodobne. Gdzież wobec tego nasze samoloty myśliwskie? Gdzie nasza artyleria przeciwlotnicza? Niestety, po pewnym czasie musieliśmy zgodzić się z tym, że te wybuchy pochodzą z pierwszych, niemieckich bomb zrzuconych na polskie cele za Wisłą.

Tak, to już rozpoczęła się wojna. Samoloty niemieckie, latały w kierunku wschodnim z przerwami cały dzień. Drugiego i następnych dniach września latały jak gdyby nieco niżej. Pogoda nadal wspaniała.

Henio przywdział mundur przysposobienia wojskowego, gdyż taki kurs w czwartej klasie gimnazjum przeszedł. Pożegnał się z nami i pomaszerował bronić mostu na Wiśle w Solcu nad Wisłą. Jakiś czas tam przebywał. Był świadkiem wypadu dokonanego przez oddział czołgów polskich, który z Niezdowa i Janiszowa w lekkich tankietkach

udali się przez most w Solcu w kierunku Lipska. Tu byli już Niemcy. Skręcili więc w lewo, jakieś 2 km przed Lipskiem i dojechali za cmentarzem do szosy biegnącej z Tarłowa do Lipska. Stąd czołgami nasi wjechali na rynek w Lipsku i doszło do wymiany ognia ze zmotoryzowanymi Niemcami. Kilku naszych żołnierzy zostało rannych, a tankietki zostały uszkodzone. Zdołali się jednak wycofać przez Dziurków za Wisłę.

Około 4 września wybraliśmy się z ojcem w kierunku Solca na sadkowskie pole babci po seradelę. Zanim nałożyliśmy pełny wóz kilka samolotów niemieckich, nawrotami, z niskiego pułapu, natarczywie nadlatywało nad most w Solcu, ale nie bombardowały go. Widać było, że kule naszej artylerii przeciwlotniczej rozrywały się w krótkiej lub dalszej od nich odległości, nie uszkadzając jednak samolotów.

Gdy już ułożyliśmy pełny wóz seradeli, ojciec ruszył. Po ujechaniu kilku kroków wóz przechylił się i ułożył na boku, seradela wypadła. Rozpoczęliśmy załadowywanie od początku. Do domu dojechaliliśmy o ciemnej porze.

Przez cały następny dzień od rana samoloty niemieckie, bądź to nadlatywały nad most i wracały, bądź też leciały dalej na wschód. Po południu, z Romkiem Polakiem, kolegą z Łagowa, wybraliśmy się jednym naszym rowerem, jadąc na zmianę, do Dziurkowa. Romek ze swoim ojcem, nauczycielem z Łagowa, motorem uciekali też na wschód. Ale gdzieś w okolicach Annopola, gdzie był kolejny most na Wiśle, postanowili się rozdzielić. Pan Polak pojechał dalej, a Romek dotarł do nas, około 30 km. Przebywał u nas z tydzień. Gdy więc przybyliśmy do szosy w Dziurkowie postanowiliśmy zatrzymać się też u wujostwa Pękałów. Ten kilkuset metrowy odcinek szosy zapełniony był uciekinierami z zachodnich terenów Polski. Szli pieszo, sami lub z dziećmi, z teczkami, tobołkami na plecach, wózkami, zmęczeni i

wystraszeni. Od czasu do czasu wyładowany ludźmi i rzeczami wóz konny, grupka pieszych żołnierzy, lub kawalerzystów. Ci ostatni jadąc w trójkę bok w bok do gwałtownie rozstępującymi^{ch} się przed nimi pieszych uciekinierów, usiłowali przemawiać uspakajająco, "nie bójcie się", ale akcentem wydawało mi się wówczas, że ukraińskim. Następnego dnia od wujostwa w Dziurkowie znów wróciliśmy do Słuszczyzna.

14 września rozeszła się wieść, że odstępujący od obrony żołnierze polscy wysadzili w powietrze most na Wiśle w Solcu. Henio w mundurze PW pomaszzerował dalej na wschód. Ale, gdy gdzieś w okolicach Kraśnika okazało się, że dalsza droga została przecięta przez Niemców, postanowił wrócić się w stronę domu. Dotarł do Opoła Lubelskiego. Tu, u naszego wujka Józefa Kalinowskiego, kierownika szkoły powszechnej w Opolu, pozostawił mundur i przywdział ubranie cywilne. Po krótkim odpoczynku znów szedł w kierunku Solca. Po przejściu kilku^{kilo} metrów natknął się wraz z innymi powracającymi uciekinierami, na wojsko niemieckie. Szybko doprowadzono ich na rynek w Solcu, a z tam do Lipska. Tu, chyba jedną noc trzymano ich w kościele, a następnego dnia zajrzał do kościoła w jakimś celu wyższy oficer niemiecki. Zebranych tu jeńców pytał między innymi o miejsce ich pochodzenia. Henio powiedział, że mieszka blisko od Lipska. Oficer jadący samochodem w kierunku Solca zabrał Henia i wysadził w Solcu. Stąd Henio doszedł do Słuszczyzna. Tu i wokoło zapanował stan smutku, przygnębienia, ale nie beznadziejności. Każdy, z kimkolwiek się rozmawiało nawiązywał do wypowiedzenia wojny Niemcom, 3 września 1939 r. przez Wielką Brytanię i Francję. Tym wówczas żyliśmy, w tych dniach krzepieni jeszcze byliśmy wiadomościami o obronie Warszawy, Helu, o oporze nad Narwią, nad Bzurą i w innych miejscach.

Zaczęły się jednak dziać straszne rzeczy. Oto w pobliskim Sol-

cu Niemcy wymordowali kilkunastu Żydów. Ktoś poinformował o rozstrzelaniu wziętych do niewoli jeńców polskich, a w sąsiedniej wiosce, w Lesie Gliniańskim w nocy, żołnierze niemieccy zastrzelili Stanisława Kalinowskiego "Stanka", powszechnie cenionego gospodarza. Powiało grozą.

Jednego dnia, po południu, trzech polskich żołnierzy, z jakiegoś rozbitego oddziału znalazło się u nas na podwórzu. Tak trafili, że w tym momencie nasza spora już jałówka łapczywie połknęła sporego kartofla. Utkwił jej w przełyku, dusiła się. Natychmiast przystąpili do ratowania jej. Przewrócili ją na bok, kartofla wymacali, pod szyję podłożyli kawałek deski, drugą krótką deskę położyli na skórze w miejscu gdzie był kartofel i czymś twardym ostrożnie uderzali w deskę. Po którymś tam uderzeniu kartofla zgnięli, jałówka wstała, bez trudności połknęła już małe kawałki. Wyrosła na dojrzałą krowę.

Tymczasem zrobił się zmrok i żołnierze udali się do stodoły. Poczęstowani przez nas chlebem i mlekiem pozostali tu przez noc. Rano zjedli kartofli z barszczem i ledwo zdążyli przejść przez błonie do lasu zjawili się na wsi Niemcy. W czołówce, kilku szło pieszo i prowadzili właściciela majątku Raj w charakterze tłumacza. Zrozumeliśmy, że Niemcy wzywają do zachowania spokoju, aby wszyscy zajęli się swoimi czynnościami, aby mieszkańcy niepotrzebnie nie kręcili się, gdyż jest wojna i prawa wojenne są bezlitosne.

Po kilku godzinach na nasze podwórko weszło 3 lub 4 żołnierzy niemieckich. Jeden z nich wskazał ręką na kręcące się po podwórku kury i powiedział aby mama mu jedną sprzedała. Mamie udało się kurę schwytać i wręczyła mu ją. Żołnierz zapytał ile za nią ma zapłacić. Mama odrzekła, że ponieważ jest wojna, czasy nienormalne, więc mama nie chce pieniędzy. Ten odrzekł, że tak, to on się nie zgadza, bo "my Niemcy bierzemy i płacimy" /"Wir nehmen und

bezahlen"/ i wręczył mamie chyba 2 zł polskie, czy jedną markę, już dokładnie nie pamiętam. Ja stałem obok, w pewnym momencie zrozumiałem w czym rzecz. Pomyślałem sobie: zabraliście już kawał Polski i jak to będzie z tym "nehmen und bezahlen"?

Za kilka dni, już po powrocie Henia z za Wisły wjechali do Słuszy-
na kawalerzyści. Było ich może ze trzydziestu. Każdy miał 2 konie.
na jednym siedział, a drugi odpowiednio przywiązany biegł obok. Kil-
ku z nich zatrzymało się na przeciwko naszego domu. Byliśmy wtedy
z Heniem na drodze i mieliśmy na sobie nasze gimnazjalne ubrania
/mundurki/. Jeden z kawalerzystów zainteresował się niebieskimi
lam pasami w dolnej części rękawów i podłużnymi na bokach spodni.
Wyjaśniliśmy, że tak wygląda strój ucznia gimnazjalisty i więcej
się nie pytał. Wkrótce Niemcy ze wsi odjechali.

Zbliżała się połowa września 1939 r. Mniej więcej w tym czasie
rozeszła się wieść, że Niemcy, chyba gdzieś za Wisłą schwytali około
20 letniego Henryka Pałkę, bliskiego naszego sąsiada. Razem z inny-
mi wieźli go samochodem na zachód. Kilka kilometrów przed Iłżą He-
niek chciał uciec, wyskoczył z samochodu i w tym momencie padł śmiertelny
strzał. Wszyscy żałowali Henka, tego zdolnego i dobrego mło-
dzieńca.

Wiedzieliśmy, że Warszawa broni się, że prezydent Warszawy Ste-
fan Starzyński apelował do mieszkańców stolicy o wykazanie woli zwy-
cięstwa. Mieliśmy nadzieję, że na wschodzie kraju zbierze się i
okrzepnie armia polska i losy wojny przechylą się na naszą stronę.
Docierały do nas skąpe wiadomości o walkach na południu i wschodzie,
np w rejonie Tomaszowa Lubelskiego, a także o obronie Lwowa.

Niestety, kolejną tragedię przeżyliśmy w drugiej połowie wrześ-
nia 1939 r. Dowiedzieliśmy się, że 17 września rano, wojska radziec-
kie weszły na ziemie wschodnie naszego kraju, na całej linii od rze-
ki Dźwiny do Dniestru. Wkrótce jakoś kilku żołnierzy i oficerów

niemieckich, z przemieszczających się na wschód oddziałów weszło do naszego mieszkania. Byliśmy tu obydwaj z Heniem. Do dzisiejszego dnia brzmia mi w uszach złowieszcze ich słowa: "Polen ist schon geteilt zwischen Deutschland und Russland / RuBland/".

Po kilku dniach jechałem dróżką przez las do lisin orać pole. Na wóz wskoczył mi jakiś człowiek. Spod cywilnej marynarki wyglądała bluza żołnierska. Zdążył mi opowiedzieć, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności, po wystrzeleniu kilku naboju, jakie miał przy sobie, udało mu się odskoczyć od wojsk radzieckich, przejść lub przejechać okazyjnie pomiędzy wojskami niemieckimi i właśnie podąża do swych rodzinnych stron w zachodniej części Polski. W tym dniu zacząłem rozumieć, że chyba ani kajakiem, ani łódką "pychówką" z Marianem Tomankiem na Polesie nie popłyniemy. Marian już po wojnie zginął w wypadku samochodowym na Węgrzech ^{5/}. Dopiero 42 lata po wojnie, w roku 1987 Halina Auderska, w książce pt "Ptasi gościniec", "Babie lato" w literacki sposób przedstawiła rozczarowanie Poleszuków stosunkiem władz sowieckich do mieszkańców tamtejszych terenów. Najpierw zmobilizowany, a następnie wracający z wojny polsko-niemieckiej Szymon Drozd nie może zrozumieć, jak to mogło się tak stać, że Rosjanie, od których raczej oczekiwaliśmy pomocy - wystąpili przeciwko Polsce, po stronie niemieckiej, biorą polskich żołnierzy do niewoli, aresztują, szykują wywózkę na wschód, lub już wywożą ^{6/}.

W tym też mniej więcej czasie ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o kapitulacji Warszawy w dniu 28 września 1939 r., o ustaniu walk na półwyspie Helu i o kapitulacji wojsk generała Franciszka Kleeberga w początkach października w rejonie Kocka. Pewnym dla nas stał się fakt przejścia Rządu Rzeczypospolitej Polskiej w dniu 17 września 1939 r. do Rumunii, a także przejścia tam Naczelnego Wodza

marszałka Rydza Smigłego. Docierały też wiadomości, że różne oddziały polskie znajdujące się na południowym wschodzie kraju też przekraczały granicę Rumunii i Węgier w nadziei przedostania się dalej do Francji, aby przy jej boku kontynuować walkę. Gdzieś na przełomie września i października 1939 r. już wiedzieliśmy, że generał Władysław Sikorski utworzył w Paryżu rząd polski, objął też stanowisko naczelnego wodza i przystąpił do tworzenia armii polskiej. Tymi wszystkimi sprawami też żyliśmy w Słuszczyńcu i było nam lżej.

Zmobilizowani do wojska w końcu sierpnia 1939 r. nasi sąsiedzi wracali w różnych terminach. Bronisław Pałka, przedwojenny żołnierz KOP zjawił się z powrotem chyba po kilku dniach. Jednostka, do której miał być wcielony została rozbita w wyniku bombardowań samolotów niemieckich. Natomiast wujek Fonek powrócił z wojaczki w październiku, oczywiście w mundurze kawaleryjskim. Do niewoli niemieckiej dostał się na południu Polski. W obozie na życzenie nadzorującego oficera niemieckiego często musieli śpiewać polskie piosenki, jak "Rano, rano, raniusieńko, rano po rosie...". Padł na wszystkich strach, gdy z terenów polskich Niemcy zamierzali przemieścić Polaków w Głęb Niemiec. Wujowi udało się jakoś od tej marszruty wykręcić.

Ojciec stawał się z każdym dniem, tygodniem i miesiącem coraz bardziej przygnębiony. Emerytura szybko traciła na wartości. We wrześniu 1939 r. kwintal ziemniaków kosztował mniej więcej 16 - 20 zł, a już w grudniu 1939 r. za 25 kg ziemniaków należało zapłacić około 100 zł.

Gospodarka w czasie okupacji

Przyciągniętą od któregoś z wujków młockarnią wymłóciliśmy część żyta i chyba co nieco pszenicy, bo tej wogóle siało się bardzo mało i chyba część owsa na paszę dla świń i dla konia i przygotowaliśmy pole do zasiewów. Te kawałki pola, na których tuż po żniwach była dokonana podorywka łatwiej dało się głębiej zaorać pod zasiew i na

zimę. Lecz gdy pojechałem na konie "dwunastek" i rozpocząłem zaorywanie koniczyniska, to sprawa nie była łatwa. Wrzesień był słoneczny i bez opadów. Ziemia skamieniała. Gniada z wielkim trudem ciągnęła pług, przystanki były częste, przy przewracaniu skib unosiły się tumany kurzu. Połże zaoraliśmy dopiero po kilku dojazdach. Podobnie trudno było zaorywać pole zebrany na nasienie łubin. kładło się na takie pole obornik i po przyoraniu zasiewało się pszenicę. Udawała się lepsza aniżeli na owsisku z obornikiem. Wcześniej, w końcu czerwca, lub początkach lipca na niektórych kawałkach stojącego, nie skoszonego żyta, ojciec "wsiał" dodatkowo łubin, najlepiej żółty. Siejąc łubin należało chodzić w życie, uważając, aby go mocno nie podeptać. Skoszone żyto wiązało się w małe snopeczki i szybko, nie zwlekając, ustawiało się te snopeczki w mendle /kopki, najlepiej w jednym szeregu, wzdłuż całego pola. gleba w stojącym jeszcze życie była wystarczająco wilgotna, gdyż była chroniona przed wyparowaniem i wyschnięciem przez jeszcze nie skoszone żyto. Stąd też należało tak utrafić ze wsiewaniem łubinu w żyto, aby zdążył on zakiełkować na dwa trzy dni przed koszeniem żyta. Żyto należało kosić nieco wyżej, a nie "golić" po samej ziemi, aby nie ściąć wystającej tu i ówdzie roślinki łubinu. Budująco wyglądał na ogół szybko rąsnący łubin. Oczywiście pod "mendlami" łubin wyginał. Dlatego też w pierwszej kolejności w żniwa zwoziło się do stodoły te wspomniane "Mendelki" żyta. Puste placyki obsiewało się ponownie łubinem i zwykle szybko wschodził, doganiając tą nie zniszczoną część pierwotnie zasianego łubinu. Tam, gdzie jeszcze w pierwszej połowie lipca rosło żyto - już w drugiej połowie września zjawiał się wspaniały łan żółtego łubinu. Czasem wyrósł gęsty, wysoki, prosto stojący. W takiej sytuacji przed przyoraniem go kładło się na takim polu zwykle dwie brony do góry zębami. Dopóki była silna gniada nie miała kłopotu z ^{ci}ciężeniem bron po polu z ~~w~~ lu-

binem, raz koło razu, tam i z powrotem. Po pewnym czasie łubin leżał. Wtedy dopiero wkraczało się z pługiem i łubin się przyorywało i prawie, że nie było śladu, że rósł tu łubin. W ten sposób zasilone łubinem pole odpoczywało do bardzo wczesnej wiosny. Jeszcze na polu było mokro, zdarzały się nawet niewielkie kałuże, a na początku okupacji ojciec, a w następnych latach ja "sprężynowaliśmy" takie pole, byle koń nie ulgnał. Im wcześniej, tym lepiej w myśl powiedzenia ojca, że "kto sieje owies w błoto, ten zbiera złoto".

Nie wyprzedzając jednak wydarzeń dokończyliśmy wyorywania pól, na których były wykonane podorywki / płytka orka tuż po zbiorze, np owsa/ z myślą o zasianiu tu żyta i zaoraliśmy seradelisko, też pod żyto. Niemal równocześnie przystąpiliśmy do zasiewów ozimin i do wykopywania kartofli. Ojciec siał żyto lub pszenicę "z płachty" i ręką, a ja bronowałem. Mama jeśli miała czas i siostry, po trochu kopały kartofle i tymczasem zsypywały je na polu, w kopki, przykrywając nacią kartoflaną, aby nie zieleniały. Gdy zasiewy miały się ku końcowi, wszyscy przystępowaliśmy do "wykopków", oczywiście motykami. Tej pierwszej wojennej jesieni pomagały nam cioteczne siostry z Dziurkowa, Krysia i Dziunia Pękalanki, a także kilka wynajętych osób ze Słuszczyzna. W polu sporo było mysz, trafiały się ponadgryzane przez nie ziemniaki, ale nie było czym ich niszczyć. Znaczną część ziemniaków zwieźliśmy do piwnicy pod domem, a część umieściliśmy w kopcu na zewnątrz, odpowiednio go ocieplając słomą i ziemią. Na szczycie takiego kopca robiło się otwór, gdzieś 20 na 20 cm, wkładało się w niego niewielki kominek zбитy z desek, aby kartofle mogły wyparowywać. Późną jesienią, przed samą zimą kominek się zatykało słomą, zabezpieczając kartofle przed przemarzeniem.

Po wykopaniu i zwiezieniu do piwnicy i do kopców wszystkich

ziemniaków najpierw kartoflisko się bronowało. Bronami ściągano się przede wszystkim zeschłą już nać ziemniaczaną, a także perz i inne chwasty. To wszystko widłami i grabiami układało się w kopki. Część tych kopek spalaliśmy na polu, aczęść zwoziliśmy na podwórze. Było tu spore zagłębienie i zbierało się tu dużo wody- gnojówki. Po zrzuceniu w gnojówkę naci łatwiej było poruszać się w podwórzu. Z czasem nać - wprawdzie dużo wolniej aniżeli przy innej podściółce, ale też po kilku tygodniach podobiała się do obornika i taki nawóz też ~~też~~ wywoziliśmy na pole.

Gdy wkońcu kartoflisko zostało w jakimś stopniu oczyszczone z naci, perzu i innych chwastów bronowało się go już swobodnie. Odkrywało się wtedy jeszcze sporo pozostawionych na polu kartofli. Najczęściej siostry zbierały je do kilku worków. Dopiero teraz przystępowało się do zaorania kartofliska. Ale też ktoś musiał chodzić brzdami za pługiem, by wybierać resztę ukrytych dotąd w ziemi ziemniaków. Dopiero na wiosnę sialiśmy tu najczęściej jęczmień.

Mieliśmy już jako tako zakończone jesienne prace w polu i gdzieś w drugiej połowie października przyjechał do nas wujek Jan Główka z Ciszycy nad Wisłą, odległej o jakieś 10 do 12 km od Słuszczyzna. Był mężem siostry naszego ojca Heleny, nauczycielem, uczył chyba w Ostrowcu, ale w Ciszycy przed wojną otrzymał po swoim ojcu spore gospodarstwo rolne. Dojeżdżając, dopilnowywał gospodarstwa i na znacznej części zasadził sad owocowy. Przed samą wojną zaprowadził szkółkę drzewek owocowych. Zaproponował nam około 120 drzewek jabłoni i gruszek w zamian za niewielkiego tuczniaka. Rodzice zgodzili się i dowieźliśmy mu chyba najmniej wydarzonego świniaka, wagi nieco poniżej 100 kg. Gniada dociągnęła wujka, ojca, Henia i mnie do Ciszycy, tuczniaka wujek zabrał do jakiegoś pomieszczenia, a my przystąpiliśmy do wykopywania, sortowania, układania i załadowywania drzewek owocowych na wóz.

Już wcześniej było uzgodnione, że drzewka zasadzimy za stodołami, na "dwunastkach", w kierunku Gliny i Sadkowie, a także "na błoni", tj pomiędzy wsią, a lasem. Sąsiad Franciszek Żuchowski pomagał przywieść z lasu chyba ze dwa wozy tyczek. Okorowaliśmy je i wykonaliśmy z nich ponad 100 palików do przywiązywania drzewek porwósejkami ze słomy. Przystąpiliśmy z Heniem do zasadzania drzewek. Jeden z nas drzewko przytrzymywał, a drugi wykopywał szpadlem dołek, w który wsadzało się drzewko otupując je nogą dla umocnienia. Robota poszła nam dość sprawnie i szybko. Obwiązaliśmy też drzewka słomą zabezpieczając je w ten sposób przed obgryzaniem ich przez zające w zimie, gdy spadnie śnieg. Dość imponująco wyglądały długie szeregi drzewek, szczególnie na "dwunastkach". Wstąpił w nas jak gdyby mocniejszy, świeży duch, zaczęliśmy stawiać na poprawę naszego losu w niezbyt odległej przyszłości, mieliśmy nadzieję, że przynajmniej jabłek i gruszek będzie w bród.

W tej pierwszej wojennej jesieni na razie mieliśmy co jeść. Były przecież kartofle, kapusta, nieco innych warzyw z pola, nieco tłuszczu, a we młynie w Dziurkowie lub w Zembąrzynie mełło się zboże na mąkę. Chleb wypiekała mamma z żytniej mąki "razówki", a pytel na kluski to raczej sporadycznie robiło się z pszenicy, bo tej było mało. Pytlowało się mieszankę żyta z pszenicą, lub żyta z jęczmieniem.

W końcu października 1939 r. dotarła do nas wiadomość, że od 1 listopada 1939 r. Niemcy zgodzili się na otwarcie gimnazjum w Solcu. Postanowiłem i ja wznowić przerwana naukę, tym razem już w klasie III. Zgłosiło się dużo młodzieży. Oddziały od klasy I do IV były zapełnione. Ci, którzy przychodzili z dalszych miejscowości i stan materialny im pozwalał lokowali się na prywatnych stancjach w miasteczku. Ja przez listopad i grudzień dojeżdżałem rowerem, zwykle polną drogą, przez ~~Kalinów~~^{Kalinówek}. Natomiast gdy popadało i na

drodze było głębokie błoto, jechałem polną dróżką jakieś 3 km do Dziurkowa, a stąd około 4 do 5 km szosą do Solca. Przyjeżdżałem do domu już o zmroku. Coś zjadłem, najczęściej jakąś resztkę zupy z obiadu, lub chleba z mlekiem i rozglądałem się za jakimś pustym miejscem w mieszkaniu, aby przygotować się do lekcji w dniu następnym. Nie było to łatwe, tym bardziej, że w połowie grudnia 1939 r. urodziło się w naszej rodzinie dziewiąte dziecko, braciszek Marian Romuald. Wzięły go pod swoją opiekę głównie starsze siostry.

Najwięcej utrudzeń pochodziło stąd, że brakowało nafty do małej lampy. Czasem udało się zdobyć kilka świec, ale szybko się wypalały. Zaczęliśmy się zaopatrywać w prymitywne lampki karbidówki. Palący, a właściwie tłący się acetylen wytwarzany przez działanie wody na karbid wydzielał niezbyt przyjemny zapach. Zapasu opału też nie mieliśmy przygotowanego. Spadły duże śniegi, mróz stawał się coraz większy i w naszym starym i nieszczelnym mieszkaniu było zimno.

Tymczasem co^ś zaczęto^{się} pocichu szeptać o jakiejś konspiracyjnej działalności w terenie. Dopiero ukończyłem 15 lat i byłem za młody, aby ktokolwiek mnie w te sprawy wtajemniczał. Z tego okresu sączyły do mnie tajemnicze informacje, urywkowe, fragmentaryczne gdzieś do późnej wiosny 1944 r. Szczegóły poznałem dopiero po wojnie, np. ~~wspomnienie~~ ^{skwarka} ~~Stefana Skowronka~~ 7/. W każdym razie jak dzisiaj wiemy, 10 listopada ^{1939 r.} w Lipsku nad Wisłą, na posiedzeniu w aptece, z udziałem przedwojennych oficerów Wojska Polskiego, których losy związały się w jakimś stopniu, w dużej mierze, a nawet głównie ze Słuszczyńskimi, takich, jak np: por. Wiktor Łukasik, ppor. Władysław Lasota /mąż naszej ciotecznej siostry Marysi Krupianki/, jego brat Franciszek, ppor. Bolesław Jakubowski z Pawłowic. Utworzono na wspomnianym posiedzeniu podobwód Związek Walki Zbrojnej "Powiśle". W końcu lutego 1940 r. utworzono sztab obwodu, a jego dowódcą został mjr.

Opracowanie

Adam Bielawski "Adam".

Gdy nastąpiła zdecydowana wiosna 1940 r. utworzono stab podobwo-
du ZWZ AK "Powiśle" z siedzibą w Słuszczynie. Zastępcą komendanta
został por. Wiktor Łukasik ze Słuszczyna, ppor. Władysław Lasota
został kierownikiem referatu I /organizacyjnego/, por. Henryk Mie-
dzowski z Solca - kierownikiem referatu III /wyszkolenia bojowego/,
ppor. Jan Wnuk z Solca - kierownikiem referatu łączności. Jednak
z dniem 6 czerwca 1940 r. komendantem podobwo-
du został wspomniany
por. Wiktor Łukasik "Sosna".

"Sosna" zorganizował w maju 1941 r. kurs szkoły pódchorążych.
Szkolenie prowadzono m in w gajówce Boiska koło Solca. Wykładowca-
mi byli: por. Wiktor Łukasik "Sosna", por. Henryk Miedzowski "Gra-
nica", por. Władysław Lasota "Rawicz", ppor. Franciszek Łukasik
"Oracz" - przed 1939 r. był lewicującym nauczycielem i został wyrzu-
cony z posady, pracował w gospodarstwie rolnym u rodziców w Słusz-
czynie,

Dowództwo podobwo-
du dysponowało własnym odbiornikiem radiowym,
ukrytym w spichrzu braci Władysława i Franciszka Lasotów we wsi
Las Gliniański. Za antenę służył zwykły drut, do którego przywiza-
ny był pies. Radiem opiekował się Franciszek Lasota oraz Antoni
Michalec 8/.

W tym mniej więcej czasie /grudzień 1939 r./ zjawił się na ryn-
ku w Solcu wieczorem, na koniu , w mundurze polski żołnierz. Mówio-
no, że z oddział^m Hubala, od Opoczna z Kielecczyny. Trud^m dociec
w jakim celu przyjechał do Solca i czy z powrotem dotarł do swego
oddziału. Zanim ja następnego dnia dojechałem, już go w Solcu nie
było.

Przy okazji tak w Solcu, jak i w Słuszczynie komentowaliśmy z
kolegami i w domu przebieg wojny radziecko-Fińskiej. Nawet byliśmy
zdecydowani przedrzeć się na pomoc Finom. Wojna ta rozpoczęła się

30 listopada 1939 r. Miała się zakończyć dopiero w marcu 1940 r.

Tymczasem, gdzieś blisko Bożego Narodzenia 1939 r. spotkałem w gmachu gimnazjum w Solcu Kundka Braulińskiego, przed wakacjami ucznia klasy III gimnazjum wychowanka dyrektora Mieczysława Gawęckiego. Przypomniał mi się mały epizodzik sprzed mniej więcej roku. Staliśmy w kilku na podwórzu gimnazjalnym przy drzwiach wyjściowych z gmachu. Wśród nas był Kundek z czapką na głowie, było chłodno. Nagle Kundek dostrzegł schodzącego po schodach dyrektora. Momentalnie schował czapkę do kieszeni. Przechodzący obok dyrektor zapytał Kundka, dlaczego stoi z gołą głową? "Bo mi czapkę ukradli", odrzekł Kundek dyrektorowi. Po chwili namysłu, dyrektor wyjął z portfela dwa zł. i wręczył Kundkowi, mówiąc: "Kup sobie więc nową czapkę".

Kundka intrygowało zakryte płytą z ^apiśkowca wejście do lochu przed wielkim ołtarzem w klasztorze przy gimnazjum. Pewnego dnia, a była to już wiosna 1939 r., zaproponował kilku nam zbadanie tego lochu. Zaopatrzyliśmy się w świeczkę i w zapałki, udało nam się płytę odsunąć i po kilku schodkach, gęsiego, zeszliśmy na dno wąskiego korytarzyka. Po przejściu mniej więcej 6, 7 metrów korytarzyk zwęził się jeszcze bardziej i z trudem, w słabym świetle świeczki ujrzeliśmy następne stopnie wąskich schodów, prowadzących jeszcze niżej, do niższego korytarzyka. Przynajmniej niektórych z nas obleciał strach, ^abyło nas chyba czterech. Wycofaliśmy się, też "gęsiego". Może z wrażenia, trochę w pośpiechu, zaczęliśmy zasuwac ciężką płytę nad otwór włazowy. W pewnym momencie wypadła nam z rąk, uderzyła w cementową posadzkę i pękła w poprzek. Szybko tymi dwoma częściami właz zakryliśmy i pośpiesznie wyszliśmy z klasztoru.

Po kilku dniach wszystkich nas, żądnych przygód, dyrektor poprosił do swego gabinetu. Pytał, który z nas zainicjował wejście do

lochu i który z nas rozbił płytę. Zapadło kłopotliwe milczenie. Nagle donośnym głosem odezwał się Kundek: "No, mówcie tak, jak było. Przecież wszyscy razem krzyknęliśmy, że chcemy wejść do lochu, razem zwiedzaliśmy go i po wyjściu z wszystkich naszych rąk płyta wypadła i rozbiła się"! Zgodnie przytaknęliśmy tej wersji, a dyrektor raczej udając groźnego kazał nam wyjść z gabinetu. Kundek był wysokiego wzrostu, gdzieś może do 2 m i napewno ważył ponad 100 kg. Amatorsko uprawiał boks i nieźle mu to wychodziło.

Tego wojennego, mroźnego i zaśnieżonego dnia grudniowego ubrany był po sportowemu, na nogach miał solidne wysokie buty ze skóry, grube ciepłe spodnie, bluzę z dużymi kieszeniami, rękawice, a na głowie wełnianą cyklistówkę. Zwisaly z niego wypełnione dwa plecaki i jakaś dodatkowa pełna torba. Gdy spotkaliśmy się na schodach, jakoś dziwnie się uśmiechnął, otworzył na moment torbę i spostrzegłem, że napełniona była pachnącymi papierosami "Mewa" w metalowych okrągłych pudełkach. Pod pachami, a może też na plecach miał narty z kijkami. Powiedział mi tylko "cześć" i udał się do wyjścia. Może był to kwiecień 1940 r. gdy dowiedziałem się, że Kundek przysłał do swoich byłych opiekunów w Solcu dwa listy: jeden z Włoch, a drugi podobno ze szpitala w Portugalii. Już po wojnie dowiedziałem się najpierw od Stasia Czajki, naszego gimnazjalnego kolegi, a później z książki pt "Zielony talizman", że Kundek Brauliński dotarł do Anglii, wstąpił do wojska polskiego i zginął jako komandos w maju 1944 r. pod Monte Cassino 9/.

Święta Bożego Narodzenia minęły w smutnym nastroju, ale myśleliśmy o wiosnie, że wtedy się wszystko zmieni i poprawi. Po feriach kontakt z soleckim gimnazjum utrzymywałem nadal. Ze względu na leżące obficie śniegi nie było mowy o jeździe rowerem. Próbowalem posługiwać się nartami wypożyczonymi w gimnazjum. Wiele było takich dni, że nie było żadnego śladu do Solca. W miejscu drogi były

olbrzymie zaspy śnieżne. Ale trafić ze Słuszczyzna do Solca było stosunkowo łatwo. Solec wraz z gimnazjum usytuowany jest na znacznej wyniosłości. Wczesnym rankiem za stodołą zakładałem narty na nogi i wypatrywałem tłącego się z reguły w gimnazjum świątełka. wtedy uⁱkerunkowywałem się na nie i popychając się kijkami, mniej więcej po godzinie byłem w Solcu.

Jednak gdzieś na przełomie stycznia i lutego 1940 r. dyrekcja gimnazjum była zorientowana, że żywot naszej szkoły dobiega końca. Postanowiła wycofać wszystkie sprzęt znajdujący się dotychczas w użytkowaniu uczniów. Narty więc oddałem. Śniegu niestety nic nie ubyło. Leżał w tamtym roku gdzieś do połowy kwietnia. W tej sytuacji wybierając się pieszo do Solca zabrałem z sobą nieco chleba i kawałek słoniny.

Po lekcjach zatrzymywałem się w pokoiku jakiegoś mieszkania blisko gimnazjum. Mieszkało tu już wcześniej kilku moich kolegów. Po tygodniu, kiedy moje zapasy żywnościowe się skończyły znów chodziłem pieszo ze Słuszczyzna do Solca i z powrotem. Wkrótce wiedzieliśmy, że będziemy się uczyć tylko do końca lutego 1940 r. W końcu miesiąca mróz znacznie zelżał. Przez kilka ostatnich dni dotychczas twarda zewnętrzna pokrywa śniegu załamywała się pod ciężarem ciała i wpadałem w miękki śnieg, mniej więcej do pasa. Po przejściu tych 7, 8 km z Solca do Słuszczyzna miałem mokre od potu plecy, a nogi do pasa zimne, tkwiły bowiem bez przerwy w głębokim śniegu. Tak też wyglądał mój ostatni dzień nauki w klasie III soleckiego gimnazjum, w ostatnim dniu lutego 1940 r. Miałem jednak nadzieję, że w nowym roku szkolnym, już w wolnej Polsce znów rozpoczniemy naukę w gimnazjum w Solcu.

Wieczorami, a także podczas dnia w niedzielę usiłowałem w Słuszczyźnie przyswajać do końca materiał programowy zawarty w podręczniku klasy III, by od września 1940 r. znaleźć się w klasie IV

gimnazjum.

Tymczasem należało też odrabiać zaległości w stodole. W marcu młóciliśmy cepami we trzech. Henio, Antoś Mazur z Lasu Gliniańskiego w charakterze pomocnika i ja. Jeśli chodzi o Antosia Mazura to był on w owym czasie/może miał ⁴⁰20-kilka lat/ samotnym mężczyzną. Mieszkał u swojej siostry mężatki i tu pomagał w gospodarstwie. Fizycznie był szczupły, zato sprawny, szybki, a w rozmowie o jakiejś dziwnej, może naiwno-wesołej elokwencji. Dbał o swój wygląd zewnętrzny. Najczęściej pomagał wujkowi Fonkowi przy młócce, wiążąc i odnosząc od młockarni słomę. Czasem posługiwał się powiedzeniem, że "jeśli chodzi o ścisłość, to..." i wtedy wujek Fonek mu odpowiadał: "Tak, tak zaraz będziesz ścisłał snopki". Pomagał też przy wywożeniu obornika na pole.

W długie, jesienne i zimowe wieczory u wujka przebywał niemal ciągle. To było za cienką ścianą. Z reguły wiedzieliśmy, że pan Antoni już tam jest, gdyż nastawiał stary gramofon i słychać było przeważnie jedną i tą samą melodię, której refren brzmiał:

"... O czym marzy dziewczyna,
gdy dorastać zaczyna ...

Odrobinę szczęścia w miłości,
odrobinę szczęścia czyjegoś,
jedną małą chwilę radości,
przy boku ukochanego.

Stanąc z nim na ślubnym kobiercu,
oraz łzami zalać się,
stanąć sercem przy sercu
i usłyszeć kocham cię".

Tak trwało ze trzy lata. Nagle dowiedzieliśmy się, że nad ranem /w 1943 r./ Niemcy w pobliżu domu zabili Antosia. Otoczyli dom,

prawdopodobnie zapytali o nazwisko i padł śmiertelny strzał. Wszyscy byliśmy zbulwersowani.

Według innej wersji, posiadającej wiele cech prawdopodobieństwa, Niemcy przyjechali schwytać i zabić komunizującego brata Władysława Mazura, mieszkającego w oddzielnym budynku. Nie zastali go w domu i do pomocy w poszukiwaniu w najbliższym otoczeniu posłużyli się Antosiem Mazurem. Mimo wszystko Władysława nie znaleźli i z dalszych poszukiwań zrezygnowali. Antoś prawdopodobnie nawet już się oddalił kilka kroków od Niemców i w tym momencie posłyszał ich rozmowę: " To już idziemy". Zdezorientowany Antoś zapytał: "Czy mam iść z wami?" Niemcy zdenerwowani dotychczasowym niepowodzeniem odrzekli: "No, to chodź z nami". Posadzili go na wozie i zrobili "pożegnalną" rundę przez Las Gliniański, Słuszczyn i z powrotem na koniec Lasu Gliniańskiego, w pobliże domu siostry Antosia, u której dotychczas mieszkał. Stąd przeprowadzili go kilkadziesiąt kroków na koniec lasu, koło krzyża, przy drodze na Walentynów. Tu, na małej polance zabili Antosia. Tego dnia, leżącego, martwego, z przerażeniem oglądały dzieci wracające ze szkoły w Długowoli, a wśród nich nasza siostra Barbara.

Po kilku, czy kilkunastu dniach, a może w końcu marca 1940 r. zaczęły mi się ukazywać na ciele, najpierw na wyższych częściach nóg, początkowo stosunkowo niewielkie wrzodzianki. Trochę to bolało i przeszkadzało w chodzeniu i nachylaniu się, np przy młocce. Najpierw zjawiała się zaczerwieniona krostka, później gdzieś na drugi czy trzeci dzień jej czubek jaśniał, zbierała się materia. Podobne to było do dawniejszych bombelków z ropą, jakie pojawiały mi się na ciele, po kwietniowej kąpieli w Krępiance, gdy byłem uczniem kalsy VI, o czym wcześniej wspominałem, ale te obecne były bardziej dokuczliwe, chwilami sprawiały ból. Może po 2, 3 tygodniach wyrastały duże wrzodzianki, ktoś je nazwał czyrakami, były wielkości

dorodnego laskowego orzecha, bolały i tylko rozum dyktował, że trzeba je zwyciężać chodzeniem, nie było wówczas innego ratunku, nie było rady. Przez kilka tygodni sadowiły mi się na pośladkach. Wtedy zaciskałem zęby i gwałtownie siadałem. Te bardziej dojrzałe pękały, wypływała ropa, wyszukiwałem wtedy jakieś stare szmatki i wycierałem. Chwilowo ulżyło, ale nie na długo, do następnego czyraka, a czasem do następnych czyraków. Bo bywało i tak, że naraz zjawiały się 2, albo 3 takie czyraki, ale nie poddawałem się, znów brałem cepy do ręki i nadal nimi wywijałem. Pękały też właśnie w czasie młocki, ale pracy nie przerywałem. Tak mnie trapiły, aż do lata.

Żyliśmy nadzieją. Już od lutego, marca, powtarzaliśmy, że "Im słońce wyżej, tym Sikorski bliżej". Trudno sobie wyobrazić nasze oburzenie ^{9dy} (wiosną 1940 r. dostała się do naszych rąk książka hitlerowskiego sprawozdawcy wojennego o przebiegu kampanii wrześniowej 1939 r. w Polsce. Miała tytuł: "Przeklęty naród polski stworzony przez zagniewanego Boga" 10/. Nie mogliśmy zrozumieć jak hitlerowcy zdołali przez te kilka lat swych rządów tak dalece upodlić własny naród.

Tymczasem, na wiosnę 1940 r. wojska niemieckie nagle zaatakowały Danię i Norwegię. Duńczycy poddali się szybko, Natomiast Norwegowie bronili się dzielnie. W lot byliśmy zorientowani, że do pomocy Norwegom, obok oddziałów angielskich i francuskich, przybyły też oddziały polskie i walczyły z Niemcami pod Narwikiem pod dowództwem generała Zygmunta Szyszki-Bohuna. Cieszyliśmy się, byliśmy podbudowani.

Kolejnym jednak zaskoczeniem były wiadomości o ataku Niemców na Francję, Belgię i Holandię w maju 1940 r. Jednak Holandia szybko się poddała, a w końcu maja skapitulowała też Belgia. Wierzyliśmy jednak we Francję i w Anglię. To potęgi, utrzymywaliśmy z

Heniem i tego samego zdania byli nasi sąsiedzi w wiosce. Oni powstrzymają Niemców.

Coraz częściej napływały niepokojące wieści. Alianci ewakuują się do Anglii przez port Dunkierkę. Na domiar złego Włochy wypowiedziały 10 czerwca 1940 r. wojnę Francji i Anglii. Wojska niemieckie wkroczyły do Paryża, a 22 czerwca 1940 r. Francja podpisała układ o zawieszeniu broni. Płakaliśmy z Heniem.

Iskierka nadziei zajaśniała wtedy, gdy okazało się, że od sierpnia do października 1940 r. Niemcom nie udało się wygrać powietrznej bitwy o Anglię. Tam przecież walczyły też eskadry i dywizjony polskich myśliwców i wielu polskich pilotów. W Anglii Sikorski na nowo tworzył armię polską.

W tych koszmarnych dniach, tygodniach i miesiącach Niemcy w sposób niezamierzony przyczynili się do umocnienia w nas przekonania, że Polska mimo wszystko się odrodzi. Otóż w jednym z numerów gazety pt "Völkischer Beobachter" zamieścili zdjęcie przemaszerywującego generała Władysława Sikorskiego w towarzystwie premiera angielskiego Winstona Churchilla i wyższych oficerów polskich i angielskich przed frontem wspinał się prezentujących polskich żołnierzy. Pod zdjęciem Niemcy zamieścili drwiący podpis, że oto widzimy operetkowego generała Sikorskiego, szefa państwa bez państwa. W tej myśli, jaką zamierzeli Niemcy, ich komentarz nie miał dla nas najmniejszego znaczenia. Dla nas najważniejszym było potwierdzenie przez samych Niemców faktu, że w Anglii nadal funkcjonuje rząd polski, że tworzy się armia polska, która we właściwym czasie, jako armia zwycięska powróci do kraju. Późniejszą jesienią 1940 r. byliśmy zorientowani, że Grecy dzielnie przeciwstawiają się Włochom.

W Słuszczyńcu życie z każdym dniem stawało się trudniejsze, niełatwo było utrzymywać rodzicom dziewięcioro dzieci. Coraz

widoczniejsze stawało się niebezpieczeństwo ze strony gestapo. Przewidywaliśmy, że nie tylko żyć, ale w ogóle przeżyć okupację będzie bardzo trudno.

W takim to nastroju spotkałem się z Frankiem Józwikiem, kolegą ze szkoły powszechnej i gimnazjum. Szybko postanowiliśmy, że powinniśmy pójść śladem Kundka Braulińskiego, na południe Europy. Może uda się nam dotrzeć do dzielnych Greków. Bez przygotowania, bez pieniędzy, w mocno zniszczonych trzewikach i takim samym lekkim ubraniu, bez jakichkolwiek dokumentów ruszyliśmy pieszo w drogę. Po dniu marszu, unikając spotkania z Niemcami doszliśmy do Zawichostu. Tu, w ustronnym miejscu, nad samą Wisłą zaczęliśmy się zastanawiać nad naszym położeniem. Mieliśmy na uwadze dojście do Sandomierza, a stąd szybkie przemieszczenie się w pobliże gór. Do tego najbardziej przydało by się wykorzystanie pociągu, ale nie mieliśmy pieniędzy. W przypadku kontroli biletów obawialiśmy się wpadki już na początku podróży.

Postanowiliśmy wrócić. Może była północ, gdy bardziej na wyczuć, aniżeli z udziałem świadomości doszliśmy w dość dużym lesie do wioski /Tużników?/. Obudzony gospodarz wpuścił nas do mieszkania i poczęstował chlebem z mlekiem. Po krótkim odpoczynku szliśmy dalej, w kierunku Tarłowa. Tu odnaleźliśmy mieszkającą samotnie ciocię Barbarę Gawrońską, nauczycielkę, siostrę ojca, co nieco zdrzemneliśmy się i gdy zaczęło się rozwidniać ruszyliśmy w kierunku Słuszczyzna. Gdy wszedłem do mieszkania zgarbiona mama trzymała w ręce różaniec i modliła się. Powiedziała mi tylko: "czułam, że wrócisz".

W domu panowało wielkie przygnębienie, niemal smutek. Znów zabrałem się do młó^ćski. Tej jesieni jakoś rodzicom udało się uszyć ojcu u krawca Józefa Sulimy w Walentynowie ubranie. Bo już nie miał na sobie prawie nic, same strzępki. Zresztą wszystkim nam

kończyło się ubranie, bielizna i buty. Szczególnie siostry przy wychodzeniu z mieszkania na zewnątrz pożyczwały sobie wzajemnie jakieś bardziej całe kalosze, jakieś okrycia na plecy i tp . A zapowiadała się druga wojenna sroga zima. Temperatura spadała do minus 30 stopni, a czasami i niżej. Śniegu spadło dużo, był głęboki. Nadal często brakowało opału. W krytycznych momentach jechał z nami do lasu sąsiad Franciszek Żuchowski. Udawaliśmy się bądź to do naszego, niewielkiego, mocno przerzedzonego, ale zato wysokopienego lasu w lisinach, w dołach, na końcu naszego pola, lub do drugiego podobnego nieco, w kierunku wsi Tomaszówki. Jeśli sąsiad nie miał czasu, to jechał ojciec, Henio i ja do lasu młodszego, z cieńszymi, a więc i lżejszymi sosnami, będącego własnością naszej babci. Taki transport drzewa wystarczał mniej więcej na 2 tygodnie. Trzeba było je dość często powtarzać. W ten sposób przywożone, to było świeże drzewo. Nie bardzo chciało się palić, a i ciepła dużo nie dawało. Jeżeli przywieźliśmy grubą i starą sosnę, która miała dużo suchego rdzenia, to i mniej się jej spalało, płomień był lepszy, większy, a i w mieszkaniu było cieplej. W trzecim, a może w czwartym roku okupacji wpadliśmy na pomysł obłamywania suchych gałęzi ze starych sosen. Ponieważ były one dość wysoko na drzewie, więc porobiliśmy długie, cienkie i lekkie tyczki na końcu których przymocowywaliśmy zakrzywione, metalowe haki. Za stosunkowo lekkim pociągnięciem sucha gałąź pękała i spadała na ziemię. Jak się tak poobłamywało od rana do południa, to przed wieczorem przywoziło się do domu pełen wóz, a czasem i dwa wozy suchych gałęzi. Zadowolenie w domu było spore, gdyż szybko w kuchni ogień się rozpałał, szybciej się gotowało, a i łatwiej było je rąbać, co mogły wykonywać również siostry, w miarę potrzeby.

W styczniu lub w lutym 1942 r. przyjechał do Franciszka Szewczyka profesor Jan Wnuk z Solca. O czym znaczną część dnia radzili

- tego nie wiem. W każdym razie była już godzina jakaś 8 lub 9 wieczorem, gdy ktoś dał do nas znać, że ja zostałem wytypowany jako ten, który ma profesora i jeszcze jakąś towarzyszącą mu osobę odwieść samiami i końmi Szewczyka do Solca. Zgłosiłem się do mieszkania Szewczyków, ubrano mnie w jakąś dużą, grubą i ciepłą szubę, na nogi wciągnąłem słomiane chodaki i ruszyliśmy z miejsca dość energicznie. Podejrzewam, że konie, stare wygi szybko zorientowały się, że powozi nimi furman -dyletant. Ale przez pierwsze jakieś półtora kilometra przez wieś były mi w miarę posłuszne. Za wsią, gdy skończyły się domy i wjechaliśmy w wielki śnieg, gdzie dróżki prawie że w ogóle nie było widać, gdy tylko nieco poluźniłem lejce, konie na zmianę, raz lewy, drugi raz prawy, usiłowały gwałtownie skręcić do tyłu i wrócić do swojej stajni. Musiałem teraz mieć się na baczności.

Niniejszej więcej w połowie drogi minęliśmy zagłębienie w terenie, doły, obecnie całkowicie zasypane śniegiem i podjeżdżaliśmy pod dłuższą górkę, konie biegły albo na ślepo, albo kierowane jakimś instynktem, bo żadnej drogi nie było widać. W pewnym momencie lewa klacz gwałtownie skręciła w lewo, pociągnęła za sobą sanki, a te wpadły w jakieś zagłębienie. Momentalnie wszyscy znaleźliśmy się pod sankami, a płozy sterczały w górę. Konie zatrzymały się. Dość szybko ustawiliśmy sanie prawidłowo i zaczęliśmy otrzepywać się ze śniegu. Konie wykorzystały moment mojej nieuwagi, tym razem skutecznie wykręciły do tyłu i truchcikiem ciągnęły puste sanie w kierunku Słuszczyzna. Szybko zdjąłem z nóg grube, słomiane chodaki i popędziłem za nimi. Gdzieś po 300 metrach udało mi się chwycić wlokące się obok koni lejce, wskoczyłem na sanie i ukierunkowałem je na miejsce wywrotki. Lejce trzymałem teraz uważnie, straszyłem konie batem i w lot znaleźliśmy się na rynku w Solcu.

Pasażerowie wysiedli, a konie same, nie kierowane przeze mnie

bezbłędnie i szybko dowiozły mnie z powrotem do Słuszczyzna. Wydaje mi się, że w czasie tej wizyty profesor Jan Wnuk w Słuszczyźnie i u Franciszka Szewczyka omówił m in zorganizowanie w Słuszczyźnie sklepu spożywczego "Społem" "Dobra Myśl".

Już gdzieś od wiosny 1940 r. Henio był zaprzysiężony jako łącznik lokalnej komórki Związku Walki Zbrojnej. Znikał od czasu do czasu z domu na kilka godzin. Gdy się zjawiał miał przy sobie tajną prasę. Stanowiła ona główne źródło informacji o wydarzeniach w świecie. Po przeczytaniu przekazywał ją dalej. Tak więc, pobieranie i dalsze przekazywanie podziemnej prasy i różnych meldunków było jego zadaniem.

A za ścianą u wujka Fonka wieczorami - ~~narazie~~ ^{razem} Antoś Mazur w dalszym ciągu ~~Antoś Mazur w dalszym ciągu~~ nastawiał gramofon, przychodzili też i inni sąsiedzi, grali w karty, przeważnie w "dur-nia" szóstkowego". Początkowo przychodził też sąsiad Bronisław Pałka. To był bardzo pracowity, zaradny, solidny gospodarz. Miał bujną, gęstą, wysoką czuprynę, nie palił papierosów. Solidny był pod każdym względem. Gdy usiadł do kart, koncentrował się głównie na grze. Inni gracze lub kibice sporo palili. Wiedzieli, że Bronisława nie namówią na papierosa. Ale, żeby się do nich upodobnił lub przynajmniej wyraźnie nie odstawał, dyskretnie podchodzili z tyłu do Pałki i wdmuchiwali mu dym z papierosów we włosy. Myślę, że i bez tego po kilkugodzinnej nasiadówce w kłębach dymu, w niewietrzzonej przeważnie izbie od każdego z uczestników zalatywał mocny zapach dymu. Gdy Bronisław ~~W~~chodził późnym wieczorem do swego mieszkania, żona zaczęła go podejrzewać o to, że on sam zaczął palić papierosy. Dochodziło na tym tle do słownych utarczek między nimi. W końcu Bronisław zaprzestał przychodzenia na karty.

W naszej rodzinie dość szybko dochodziło do wyraźnego zubożenia. Niemcy bezwzględnie egzekwowali oddawanie kontygentu zbożowego

i mięsnego, a proceder ten rozpoczęli w 1940 r. lub 1941 r.

Czasem z miejscowego posterunku żandarmerii, w Lipsku przyjeżdżało z nienacka kilku umundurowanych Niemców. i zobowiązywało sołtysa do dokonania natychmiastowej zbiórki na konny wóz, np odpowiedniej ilości kapusty. Raz trafiło to na ojca. Wieczorem, w asyście żandarmów dowiózł kapustę pod budynek żandarmerii w Lipsku. Tu natychmiast dołączyło kilku dodatkowych żandarmów, ustawili się w szeregu od wozu do drzwi jakiejś pakamery i podając główki kapusty z rąk do rąk, szybko wóz opróżnili. Pamiętam, jak po powrocie ojciec mówił, że "organizować to oni się potrafią".

Gdy ktoś z mieszkańców wioski oddał cały nakazany mu kontyngent mógł w naszym przypadku w Lipsku lub Solcu kupić coś, jak wtedy ludzie mówili: "na Bezugsschein", tj na taki kwit, bon, na ubranie, chyba na jakieś trzewiki i na coś jeszcze. Rzadko kiedy to było możliwe. Z reguły istniała niemożliwość całkowitego oddania kontyngentu, gdyż po prostu nie starczało ani zboża, ani żywca, mimo stosowanych przez Niemców represji w tym względzie.

Raz tylko wójt gminy Solec na jakąś przekonywującą prośbę mamy skreślił duże nasze zaległości w tym względzie i ustalił mniejsze. Ale, o ile sobie dobrze przypominam mama opowiadała, że ze wspomnianym wójtem znała się nieco, jeszcze przed wojną, więc ten gest wójta wpływał jak gdyby z dawnej znajomości.

Chyba było to bardzo wczesną wiosną 1941 r. Henio sprowadził z Warszawy nasienie cebuli. Wynawoziliśmy kurzakiem najwyżej 2 ary ziemi pomiędzy wsią, a lasem, na tzw "Błoniu" i wsialiśmy to nasienie. Powschodziło gęsto, pieliliśmy je przez lato, na jesieni urosła nad podziw wspaniała, zdrowa i duża cebula. Posplataliśmy ją w "warkocze". Przez zimę zjedliśmy jej sporo, ale na wiosnę zostało jeszcze z pół tony. Nadwyżkę sprzedaliśmy na targach w Tarłowie lub Lipsku. Jeszcze tylko raz podczas okupacji mieliśmy dobry

^urodzaj na stosunkowo nie ^ewielkim poletku, tym razem na "dwunastkach". Położyliśmy na kilkuletnim ugorze obornik. Nie był najlepszy, część nie zdążyła dobrze przegnić. Gdy przorywałem go, sąsiad Bronisław powątpiewająco kręcił głową. Po zaoraniu rozsialiśmy sól potasową, przywiezioną wcześniej, w zimie z Ostrowca Świętokrzyskiego. Następnie poletko zabronowaliśmy i dopiero wtedy ojciec rozsiał proso. Nastąpiło dość suche lato, a sól zabezpieczała wilgoć. Proso powschodziło wspaniale: gęste, równe, ciemne. Poletko pieliliśmy uparcie. Urosło wspaniałe proso. Po zwiezieniu do stodoły i omłóceniu okazało się, że otrzymaliśmy około 7 kwintali nasienia. Część przeznaczaliśmy na kaszę jaglaną, a część sprzedaliśmy. Uprawialiśmy jeszcze grykę i w wiejskich młynkach też przerabialiśmy ją na kaszę. Trzecią, jaką przynajmniej od czasu do czasu jedliśmy była kasza jęczmienna. Przyprawialiśmy ją olejem wytłaczanym z siemienia lnianego, konopnego lub z maku, w wiejskich olejarniach, wykonanych domowym sposobem.

Pszenicy, żyta, jęczmienia, owsa i gryki zaczęło nam brakować coraz bardziej. Nie udało się kolejny raz powtórzyć udanego zbioru cebuli, ani prosa. Gorzej, Niemcy zabrali ojca do obozu pracy przymusowej w Solcu, jako "opornego" w oddawaniu kontyngentów. Mama wyratowała go wręczając przez kogoś komendantowi jakąś dużą sumę - okup, tak bardzo w domu potrzebną /za Heniem, maszynopis str. 29/. Nędza i głód stawały się coraz bardziej powszechnie widoczne. Mama przypomniała sobie koleżankę z młodych lat, kiedyś zamożniejszą, zamieszkałą w Marianówku nad Wisłą, gdzieś za Wolą Pawłowską. W jedną z niedziel dojechaliśmy tam "dużą gniadą". Na podwórzu spotkaliśmy koleżankę mamy i jej dorosłego syna. Koleżanka witała się z nami i jak gdyby mocno skonfundowana spoglądała na syna. W pewnej chwili rzekła: "A czegoż ty dzisiaj nie założyłeś innej koszuli?" Riposta syna była natychmiastowa i wspaniała:

"Bo ja tą najbardziej lubię". Rzeczywiście, w miejscu kołnierzyka były resztki postrzępionego paska. Bo on innej koszuli, jak wynikało z dalszej rozmowy w ogóle nie miał. O pożyczaniu pieniędzy w ogóle nie było mowy. Wracaliśmy raczej milczący i zasepieni. Z pożyczki finansowej nic nie wyszło.

Zaczynało się dziać coraz gorzej. W kwietniu 1941 r. wojska niemieckie uderzyły na Jugosławię i w ciągu kilkunastu dni pokonały ją. Część żołnierzy schroniła się w góry i pod dowództwem gen. Michajłowicza rozpoczęła walkę partyzancką. Po podboju Jugosławi wojska niemieckie pokonały Grecję oraz wyspę Kretę. Ogarniała nas rozpacz. Wkrótce, bo 22 czerwca 1941 r. armie niemieckie uderzyły na dotychczasowego swojego przyjaciela, sojusznika i współnika przy rozbiorze Polski we wrześniu 1939 r. - ówczesny Związek Radziecki.

Byliśmy z Heniem zgodni co do tego, że obszar Związku Radzieckiego uniemożliwi Niemcom zwycięstwo. Tymczasem to wydarzenie uderzyło w nas. W któryś lipcowy dzień 1941 r. Niemcy zarządzili doprowadzenie koni do Solca, na rynek. Tu, kolejno konie prowadzone przez swoich gospodarzy przemaszerowały przed niemiecką komisją. Już, już ojciec z gniadą niezaczepiani mijali komisję, gdy nagle jeden z jej członków stwierdzi, że gniada kwalifikuje się do marszu w taborach na Wschód. Gdy ojciec po powrocie z Solea opowiedział nam to wydarzenie położyłem się na drwnianej ławce obok domu i zapłakałem. Podtrzymywał mnie na duchu Henio mówiąc, że "to Niemcom nic nie pomoże, i tak wojnę przegrają". Ojciec otrzymał za gniadą coś około 600 zł. Gdzieś rodzice dopożyczyli około 1000 zł i w sumie za 1700 zł. ojciec kupił za kilka dni od furmana Krawczyka w Solcu małego drobnego, chociaż szybkiego i bystrego, też gniadego konika. Do pracy to był wprost fantastyczny konik, ale wymagał, aby go karmić niemal samym czystym owsem. A u nas ziarna

zaczynało coraz bardziej brakować. W najlepszym przypadku gniady jadł tyle ziarna, ile go było w sieczce rżniętej "ze snopka", czasem kraszanej rozgotowanymi ziemniakami lub łupinami ziemniaczanymi. Pracy miał gniady dużo, a siły coraz mniej. Pocił się więc wyjątkowo. Wkrótce pod chomontem zaczęły się pojawiać tzw oparzenia. Aby gniademu pomóc, ojciec sporządzał i przywiązywał do podkładu chomontowego dwie małe poduszeczki, w takiej od siebie odległości, aby ranka - oparzenie znalazła się między nimi. To przez jakiś czas pomagało, ale gniady coraz rzadziej jadł owies. Nie ścierane ziarnem zęby zaczęły szybciej rosnać. Dolne pięły się w kierunku górnej szczęki i raniły ją, a górne w dół, raniąc dolną szczękę. Gniady przestawał w ogóle jeść. Wtedy ojciec prowadził gniadego do lekarza weterynarii w Lipsku. Tu, zamiast owsem ścierało się zębami pilnikiem. I to do niczego dobrego nie doprowadziło. Niedostatek dóbr, nieważne, zawiniony, czy nie zawiniony, doprowadza do stanów irytacji, poddenerwowania i chyba braku krytycyzmu.

Było lato. Za stodołą na "dwunastkach" rósł spory kawałek naszych ziemniaków. Z kilkuset metrowej odległości zauważyłem coś białego wśród naci i grobli ziemniaczanych. Zacząłem głośno krzyczeć. Nagle to "coś" białego podniosło się, spostrzegło mnie i zaczęło gwałtownie uciekać. Poznałem, że to była Antośka, siostra Franciszka Żuchowskiego, razem z nim mieszkająca. Miała bardzo widocznego zęza i opinię osoby w jakimś stopniu upośledzonej umysłowo. W pośpiechu nie zdążyłem sensownie pomyśleć, że kartofle jeszcze są za małe, aby je podbierać. Antośka po prostu wyrywała chwast jaki rósł w kartoflach, pielila nam pole. Chwast donosiła świnkom w gospodarstwie Franciszka. Wprawdzie we wsi ten i ów coś tam szepnął, bąknął, że Franciszek ma wygodę z naszą dziurawą stodołą. Rzeczywiście, w niektórych miejscach między rozsuniętymi balami można było do stodoły wejść, wyrzucić przez otwór kilka snopków

owsa, żyta, pęk koniczyny, czy seradeli i zabrać to do siebie. Takie i podobne wieści powodowały i we mnie podejrzenie w stosunku do Żuchowskiego. Być może, że to było podłożem mojej reakcji na widok kogoś przyczajonego w kartoflach.

Prawdą jest, że Franciszek był pracowitym, silnym i pomysłowym mężczyzną. Dosłownie na plecach i własnych barkach przynosił z lasu, przez błonie, na swoje podwórko ścięte sosny, obrabiał je i budował przeważnie stodoły. Gdy taka stodoła była już na ukończeniu przyjeżdżali kupcy z odległych wiosek, załadowywali na swoje wozy i wywozili do siebie, zapłaciwszy najpierw uzgodnioną cenę. Co było z tym Żuchowskim to było, ale on się nam przydawał. Rodzice nasi doszli do wniosku, że ta nasza stara, dziurawa i powyginana stodoła już długo nie postoi. Ponadto mimo nienajlepszych zbiorów w jednej stodole, z jednym klepiskiem było ciasno i niewygodnie.

Mieliśmy w Lisinach pasek własnego lasu, a babcia Kalinowska też wyraziła zgodę, abyśmy w przypadku poważnej potrzeby wsparli się i jej lasem. W takiej sytuacji wiosną 1944 r., gdy drogi podeschły, nazwoziliśmy z dużą pomocą wspomnianego Żuchowskiego odpowiednią ilość sosen. Złożyliśmy je na placu obok dotychczasowej stodoły. Ojciec dogadał się z miejscowymi majstrami i ci, dość szybko pobudowali nam nową stodołę. Była długa, miała trzy zapola i dwa klepiska. Łaty na dach przywieźliśmy z lasu, też z pomocą Żuchowskiego. Pokrycie dachowe było przewidziane oczywiście ze słomy. W tym celu, w dość zmyślny sposób przygotowaliśmy dużą steretę specjalnych snopeczków, tak zwanych "Kręcyniaków". Też z pomocą Żuchowskiego, dość szybko dach był gotów. Jeszcze tylko dorobiliśmy wrota i nowa stodoła, jak na ówczesne warunki nieźle się prezentowała. Krótka jednak była wykorzystywana zgodnie z przeznaczeniem. Już na jesieni 1944 r. stodoła zniknęła, tzn. po wysied-

leniu nas ze Słuszczyzna. Jedni twierdzili, że rozebrali ją Niemcy do wzmocnienia i ocieplenia ^{bunkrón} budynków, inni utrzymywali, że do Niemców i do Węgrów, którzy w tamtym czasie też stacjonowali w Słuszczyźnie dołączyli mieszkańcy nieco odleglejszych wiosek i za wódkę wykupili sporo bali dla różnych celów, np na opał itp. Po stodole niepozostał ślad.

Jednej wojennej zimy, Franciszek dyskretnie, bo się na razie wstydził, przyprowadził, przyciągnął, a może przywiózł na jakimś wozie niesamowicie zabiedzoną, młodą klacz. Gdyby powiedzieli, że była to tylko skóra i kości, to byłoby za dużo. Bo w miejscach, gdzie powinna być skóra były wielkie ropiejące rany. Klacz przez kilkanaście dni leżała, nie miała siły stać, na własnych, ~~nogach~~, też owrzodzonych i wynędzniałych nogach. Ale była młoda. Wewnątrz jej organizmu nie rozwijała się żadna choroba. Jadła. Franciszek w wiaderku podsuwał jej gotowane kartofle wymieszane z ospą, sporządzoną nie tylko z owsa, żyta, czy jęczmienia, ale podobno i z pszenicy. Z jego ust słyszałem, że "koń najlepiej tuczy się pszenicą". Po kilku tygodniach, gdy klacz już zaczynała się podnosić, Franciszek dodatkowo karmił ją czystym ziarnem i od czasu do czasu mu się wyrwało powiedzenie, że koń staje się najsilniejszy, gdy zjada czyste ziarno pszenicy. Dokarmił ją też koniczyną, sianem i seradellą. Gdzieś w maju, może to był 1943 lub 1944 r., w słoneczny ciepły dzień Franciszek wyprowadził klacz na zewnątrz stajenki. Widziałem przez płot, jak zawzięcie, a zdrugiej strony delikatnie i dokładnie szorował klacz jakimś mocno pieniącym się i o silnym zapachu płynem. Następnie opłukiwał klacz czystą wodą i wycierał ją szmatą. ^oObiegi takie Franciszek powtarzał przez kilka dni. Wkrótce na skórze klaczy - kasztanki nie było śladu owrzodzeń. Przeciwnie, już mocno utuczona klacz zaczęła pokrywać się nową, piękną, lśniąca sierścią. Niebawem Franciszek zaczął zakładać klacz do wozu.

Przejeżdżając przez wieś wzbudzał zazdrość i różne komentarze. Zdarzało się i tak, że w pobliżu naszego domu rozmawiałem z którymś z gospodarzy ze wsi, a drogą przejeżdżał Franciszek trzymając uważnie klaczkę za lejce, gospodarz ów jedynie ruchem głowy wskazywał naszą stodołę i przyciszonym głosem mówił: "tuczy się, tuczy się klacz". A ja sobie czasem myślałem, że co zrobić, widocznie Franciszek sam rekompensuje sobie nie zawsze przez nas płacone mu wynagrodzenie, np. za usługę przy przywożeniu z lasu sosen na opał.

Franciszek Żuchowski pochodził z biednej rodziny. Odziedziczył po ojcu całe, liczące najwyżej 1,5 ha gospodarstwo rolne. Siostra Antosia była przy nim. Młodszego brata - Juliana spłacił, został on piekarzem poza domem. Starszego brata Stanisława też spłacił. I chyba temu najstarszemu bratu, przynajmniej w ostatnich latach przed wojną najlepiej się powodziło. Zamieszkał w Radomiu. Miał chyba ukończoną, którąś niższą klasę ówczesnej "śluszczańskiejszkoły powszechnej. Podjął pracę w fabryce broni. Mieli kilkuletnią dziewczynkę, żona nie pracowała. Gdy zbliżali się Niemcy całą swoją nieliczną rodziną schronili się na kilka dni u Franciszka w Słuszczyńcu. Tu żona raczej odpoczywała, jej mąż Stanisław kosił zboże wspólnie z Franciszkiem i po kilku tygodniach wyjechali do Radomia. Jak wtedy mówiono, Stanisław tuż przed wojną zarabiał do 300 zł. miesięcznie.

U nas w rodzinie pieniędzy prawie, że w ogóle nie było. Ceny szybko rosły a emerytura ojca utrzymywana była w nominalnej wysokości. Wkrótce Niemcy w ogóle zaprzestali jej wypłacać. W tej sytuacji Henio gdzieś w początkach 1941 r. podjął na bardzo małą skalę handel lampami karbidowymi. Sprowadzał je chyba z Krakowa i sprzedawał mieszkańcom wsi. Po pewnym czasie handlował tytoniem. Przyносił w worku na plecach z za Wisły liście tytoniowe, kroił je w metalowej kowalskiej roboty maszynie, mieszał tytoń słabszy z

z silniejszym, aby miał wymaganą moc i sprzedawał miejscowym palaczom. Czasem wywoził rowerem lub wozem ciągnionym ^{przez} jużgniadego poza granice gminy. Na pewno te zarobki Henia pomagały nam w doraźnych sytuacjach, np przy zakupieniu kilograma cukru, od czasu do czasu margaryny, smalcu, świec, nafty itp. Nie rzutowały jednak na ogólną poprawę naszej sytuacji materialnej. Rośliśmy przecież, stawaliśmy się z każdym rokiem starsi. Z przedwojennych ubrań, ~~kt~~ bielizny, grubszej odzieży, czy bucików pozostały jedynie tylko wspomnienia. Być może, że rację miał Henio mówiąc, że na tle międzywojennych niedostatków do września 1939 r. materialna sytuacja naszych rodziców była stosunkowo niezła. I to odczytało nas reguła walki o byt i niestety nie nauczyło niezbędnej zaradności, przewidywania, rzutkości, nie rozwinęło odpowiedniej wyobraźni.

Tkwiło w nas jednak jakieś przekonanie, jakąś myśl, że nie wolno nam się poddać, całkowicie upaść. Wydaje mi się, że wcześniej wspomniana przeze mnie wizyta prof. J. Wnuka w Słuszczyńcu w początkach 1941 r. w konsekwencji bardzo nam pomogła. Profesor w dalszych kontaktach doradzał światłym mieszkańcom Słuszczyzny zorganizowanie jakiegoś sklepu spółdzielczego we wsi. Do 1939 r. istniała w Słuszczyńcu filia Spółdzielni Spożywców "Gwiazda" w Solcu nad Wisłą. Profesor był zdania, by nie reaktywować filii, ale założyć samodzielną, nową Spółdzielnię. Nawiązano kontakt z oddziałem "Spółem" w Starachowicach i powstała nowa Spółdzielnia Spożywców "Dobra Myśl". Henio został zatrudniony z dniem 15 lutego 1942 r. w charakterze sklepowego w Spółdzielni Spożywców "Dobra Myśl" w Słuszczyńcu. Pierwsze jego uposażenie /3% od całego obrotu/ wynosiło za miesiąc 44 złote. 11/

Ojciec coraz bardziej podupadał na zdrowiu. Najbardziej odczuwał owrzodzenie żołądka, czy dwunastnicy, a także nieprawidłowość pracy serca. Młocką cepami całkowicie zająłem się ja. W latach

1942-1944 zaczynałem młócić codziennie od początków listopada i trwało do końca marca. Wymłócone partiami zboże znosiłem w workach na plecach z odległej ponad 100 m stodoły, po schodach na strych. W workach mieściło się od 50 do 120 kg zboża. Gdy zaliczałem najwyższy stopień schodów nogi drżały mocno. Raz, już nie pamiętam w jakim celu odwiedziła mnie w stodole ciocia Pękalina z Dziurkowa. Właśnie nagarniałem rękami już wyczyszczone zboże, najpierw do jakiegoś kilkunastokilogramowego naczynia i przesypywałem do worka. Klepisko w stodole nie miało drewnianej podłogi, była to poprostu ubita glina. Różnego drobnego piachu, kurzu i pyłu co nie-miara. Kilka dni wcześniej czyszcząc z plew zboże młynkiem przez nieuwagę włożyłem środkowy palec u prawej ręki w tryby u młynka. Trysnęła krew. Palec wziąłem do ust, przez dłuższą chwilę wysysa-łem krew i w porze obiadowej mama obwinęła mi go jakąś szmatką. W czasie wizyty cioci, gdy nagarniałem zboże ręką do naczynia, szmatka spadła i zaginęła. Na czubku zgniecionego palca powiewał, ledwo się trzymający, paznokieć. Ciocia krzyknęła: "Gieniu, co ty robisz, przerwij pracę". "Ależ ciociu, to drobiazg, trzeba się hartować" - odrzekłem i pracowałem dalej.

Z każdym miesiącem działo się coraz bardziej ponuro, niebez-
piecznie, tragicznie. Pod koniec marca 1942 r. zjawił się u nas
w Słuszczynie mój kolega gimnazjalny Broniek Stawiarz. Był niewiel-
kiej postury, drobny, w dodatku przyjmował pochyloną postać. Gdy
go po tej mniej więcej dwuletniej przerwie znów ujrzałem wydał mi
się jeszcze bardziej wymizerowany. Już kilka dni wcześniej dotar-
ła do nas wiadomość, że Niemcy w okolicach Ciepłelowa dokonali
wielkiej masakry tamtejszej ludności. Szczelnym pierścieniem oto-
czyli kilka wiosek, wyciągali z mieszkań mężczyzn i rozstrzelali.
Bronka też mieli już w swych rękach, niebawem i on miał nie żyć.
W ostatniej chwili uderzył głową w brzuch prowadzącego go Niemca,

ten się dość silnie zachwiał, Broniek uciekł w zarośla i szczęśliwie dalej. A że to się działo jeszcze przed wschodem słońca, było szaro, widoczność nie najlepsza, więc i te okoliczności sprawiły, że Broniek ocalał. Przebywał u nas około tygodnia. Po latach u Stefana Skwarka czytamy: "18 marca 1942 r. duże siły hitlerowskie okrążyły wsie: Ranachów, Pcin, Pcinolas, Syduł, Ciepiałów, Sycynę, Karolin, Kroców i Kazanów^m. Rozstrzelano wtedy około 100 miejscowych chłopów" 12/.

W tym też mniej więcej czasie kilkudniowe schronienie znaleźli też u nas gimnazjalista Wolszczyk, kolega Henia ze szkolnej ławy w Solcu. Pochodził też gdzieś z okolic Ciepiałowa - Zwolenia. Był zawzięcie ścigany przez Niemców, ciągle zmieniał miejsce pobytu. Na skutek tej ustawicznej poniewierki nieźle się rozpił. Po kilku dniach odjechał.

Nagle stała się straszna rzecz. 2 kwietnia 1942 r. dowiedzieliśmy się, że dnia poprzedniego, tj 1 kwietnia w nocy gestapo radomskie aresztowało w Solcu profesora Jana Wnuka wraz z dwoma jego synami: Jerzym, maturzystą i Juliuszem uczniem IV klasy gimnazjum. Wraz z nimi aresztowano kilku innych młodych mężczyzn, najmłodszy miał 16 lat. Wszystkich wywieźli do Radomia i po kilku dniach zamordowali. Pozostała po śp Janie Wnuku wdowa Jadwiga, oczywiście zrozpaczona i załamana, dzielnie mimo wszystko podjęła trud dalszej opieki i wychowania niespełna wówczas 15-letniej córki Janiny i nieobecnego w domu w dniu aresztowania 20-letniego syna Zbigniewa. Wdowa Jadwiga Wnukowa doczekała końca wojny w Solcu, pracując w latach 1942-1944 w Spółdzielni Spożywców "Gwiazda", a po wojnie, w latach 1945-1949 w charakterze nauczycielki, następnie przeszła na emeryturę i już jako teściowa piszącego te słowa zamieszkała razem z córką i zięciem. Zmarła w Warszawie w 1980 r., w wieku 84 lat życia i została pochowana na cmentarzu Wólka Węglowa.

Dopiero po kilku miesiącach pocieszyliśmy się nieco. Otóż dotarła do nas wiadomość, że 19 sierpnia 1942 r. alianci dokonali próby lądowania pod Dieppe, z naszej strony kanału La Manche. Interpretowaliśmy to wydarzenie w ten sposób, że nasi sojusznicy, gdy tylko będą odpowiednio przygotowani, wylądują na kontynencie w wybranym, najodpowiedniejszym punkcie.

Szybko dowiedzieliśmy się w Słuszczyńcu o aresztowaniu w dniu 30 czerwca 1943 r. gen. Stefana Roweckiego "Grota" w Warszawie, przy ul. Spiskiej 14 m 10, Komendanta Głównego Armii Krajowej. Serię nieszczęść wydłużyła wiadomość o tym, że w nocy z 4 na 5 lipca 1943 r. poniósł śmierć w Gibraltarze Gen. Władysław Sikorski, Premier Państwa Polskiego.

Okupantowi bardzo zależało na tym, aby uzyskać jak najwięcej zboża i mięsa od polskiego rolnika. Należało przecież przede wszystkim wyżywić olbrzymią armię. Stąd też mieszkańcy wsi uciekali się do różnych sposobów, by uzasadnić, że ilościowy stan rodzin jest niezbędny dla wydajnej produkcji rolnej, by dostawy żywności nie zostały zachwiane. Jeśli w rodzinie była niewielka ilość osób, udawało się ochronić je przed wywózką do Niemiec do pracy w przemyśle, a nawet w rolnictwie niemieckim. U nas, w interpretacji administracji niemieckiej proporcje te były zachwiane. Było nas przecież formalnie biorąc dziewięcioro dzieci, z rodzicami jedenaście osób, w tak stosunkowo niewielkim gospodarstwie. Wprawdzie w czasie okupacji dorastaliśmy, ale oprócz Henia i mnie pozostałe rodzeństwo było w wieku od jednego do piętnastego roku życia. Rozchodziły się pogłoski, że sołtys naciskany w sprawie wytypowania osób ze wsi do wyjazdu do Rzeszy na przymusowe roboty, ledwo nas przed taką ewentualnością może obronić, ale jak długo to mu się uda, to niewiadomo. My od sołtysa nigdy nie słyszeliśmy o takiej propozycji. Najprawdopodobniej inni mieszkańcy wsi w ten sposób usiłowali bronić

własne rodziny, wypowiadając się za naszymi plecami, że właśnie od Nurowskich mógłby ktoś wyjechać. Do mnie przynajmniej takie pogłoski docierały. Od tej strony ludzi zaczęła kłuć w oczy nasza liczna rodzina. Przynajmniej ten z nas, kto może, powinien ludziom z oczu zniknąć. Henio już od lutego 1942 r. stawał się społecznie bardzo użyteczny jako, że prowadził we wsi sklep. Krysia, w tym czasie 15, 16-letnia wprawdzie w Niemczech do pracy już by się przydała, ale z drugiej strony, jako dziewczynka stanowiła dla potężnej Rzeszy mniejsze potencjalnie zagrożenie, aniżeli ja, 17-letnichłopiec. Doszedłem do wniosku, że powinienem ze wsi zniknąć, przynajmniej od czasu do czasu, bo "czego oczy nie widzą, to i sercu nie żal".

Zamieszkałem w Warszawie

Ja to czułem. lecz wymyśliłem sobie, że moje znikanie powinno mi się opłacać. Przy spotkaniu, w rozmowie z kolegą Stefanem Grabekskim z Woli Półwskiej, doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli wyjedziemy do Warszawy, zostaniemy uczestnikami kursów samochodowo-motocyklowych i znikniemy w tłumie. Do Warszawy postanowiliśmy dopłynąć statkiem, bo to było najtaniej. Zabrałem z sobą może kilogram surowej fasoli, półtora bochenka chleba, kilkanaście dekagramów słoniny i kilkaset złotych. W umówionym dniu doszliśmy ze Stefanem do Ciszycy nad Wisłą. Tu, w krzakach była półdzika przystań i gdzieś około 8, 9 rano już byliśmy na statku.

Początkowo płynęliśmy spokojnie. Pierwsze podekscytowanie nastąpiło w Puławach. Poszła wieść, że na przystani czatują Niemcy. Mają wejść na pokład i zabierać ^{przewożoną} głównie przez szmuglerów, przemytników żywność. I rzeczywiście, kilku Niemców weszło na statek, bodajże z psem, ale tuż przy mostku spotkali się z obsługą statku. Po krótkiej rozmowie wycofali się. Lepiej zorientowani twierdzili

że tym razem wręczony im haracz wystarczył. Dalej płynęliśmy coraz wolniej.

Lipcowy dość długo trwający upał powodował, że woda w Wiśle dość szybko opadała. Co chwilę statek osiadał na mieliźnie. Spychanie statku trwało godzinami. Na statku mówiono, że załoga porozumiewa się z nadbrzeżnymi informatorami i jeśli uzyskuje wiadomość, że na najbliższej przystani znów czają się Niemcy, to celowo kieruje statek na mieliżnę, by tu Niemców przeczekać. Miało to cechy prawdopodobieństwa, lecz tylko w odniesieniu do tej części handlarzy, będącej w porozumieniu z załogą statku, która to część przewoziła towar nie podlegający zepsuciu. Lecz inna część handlarzy to przemycająca wieprzowinę, kiełbasę i pochodne, była zainteresowana jak najszybszym dopłynięciem do Warszawy, gdyż towar ten, szczególnie nie podczas letnich upałów, podlegał zepsuciu, następowały straty. Dochodziło więc na statku do krzyków, kłótni, wymyślań i innych nieporozumień. W każdym razie ta moja pierwsza podróż trwała tydzień.

Miałem się zatrzymać razem ze Stefanem kątem u jego znajomych, na Targówku w Warszawie. Lecz podczas tych kilku dni na statku poznałem sympatycznego, w moim mniej więcej wieku młodzieńca, z lubelszczyzny, który też płynął na ten sam kurs samochodowy w Warszawie. Ostatecznie uzgodniliśmy, że zamieszkamy w Warszawie razem, przy ulicy Miodowej 14 m 10, tylko we dwóch, w dość obszernym pokoju.

Okazało się, że mój nowo poznany kolega wcześniej ten kurs rozpoczął, już go kończył. Zabrał zaświadczenie i chyba drugiego dnia wyjechał.

Było to mieszkanie, jak się później okazało pani hrabiny Potockiej, wtedy znacznie ponad osiemdziesięcioletniej staruszki. W wąskim gronie utrzymywano, że była żoną przedwojennego ambasadora w USA, hrabiego Jerzego Potockiego ^{13/}, z pochodzenia Niemka. W

okupację nędznie mieszkała przy Miodowej, często głodowała. Jej syn, kapitan, piłsudczyk i legionista dostał się we wrześniu 1939 r. do niewoli niemieckiej i przebywał w jednym z oflagów. Córka, wyjątkowo uzdolniona, rzadkiej urody /tak to wyglądało z opowiadań matki i ze zdjęcia/, w bardzo młodym wieku, tuż przed wojną, jako aktorka wyjechała do USA. Spotkało ją tam oszałamiające powodzenie, była na drodze do zawrotnej kariery i z niewyjaśnionych przyczyn nagle zmarła.

Pani hr. Potocka do spania wskazała mi polówkę, po tym przygodnym znajomym. Pierwszej nocy, gdy tylko się położyłem, coś zaczęło mnie niesamowicie gryść. Przekręcałem się więc z boku na bok, to kładłem się na krzyżu, to na brzuchu, nic nie pomagało. Zapaliłem światło. Jakieś czarne owady. To chyba pluskwy, o których dotychczas tylko słyszałem. Zacząłem je rozgniatać, gniesć. Nie będziecie pić mojej krwi. Po dłuższej walce wydawało mi się, że w dużej mierze zniknęły. Nad ranem na krótko usnąłem. Przez sen czułem, że kąsają, ale mniej. Rano wyniosłem polówkę, wytrzepałem, wyklepałem jakimś kijem, wzbudziłem nieco sensacji, bo ludzie z okien przyglądali się.

Pojechałem w Aleje Jerozolimskie 27 zapisać się na kurs samochodowo-motocyklowy Prylińskiego. Stefan zapisał się u Tuszyńskiego na Nowym Świecie. Drugiej nocy pluskwy mniej kąsały, a w następnych wyraźnie unikały mnie. Na jednej ścianie pokoju był długi regał, z kilkoma pustymi pułkami. Zajrzałem na najwyższą. Pośrodku w gazecie była zawinięta jakaś stara słonina, może z kilogram. Skóra na niej była tak miękka, że przy dotknięciu palcem nie stawiała najmniejszego oporu. Korzyści z niej nie było żadnej. Z kawałeczka położonego na patelni bardzo się dymiło i cuchnęło niesamowicie. Nieco dalej, w rogu leżał zegarek. Obejrzałem, niby kompletny, w kopertach koloru złotego. Przekręcałem, nakręcałem, nie chodził.

Pojechałem z nim na bazar Różyckiego. Podeszło kilku młodych. Orzępki, że te złoto-zółte koperty to tombak, niewiele wart. Wręczyli mi kilkaset złotych, ale i tak się ucieszyłem, bo wystarczyło na chleb, ser i herbatę na kilka dni.

Na kurs ~~uczęszniczyłem~~ ^{wracalem} regularnie, na wykłady, które wtedy pod nieobecność w kraju Prylińskiego prowadził inż. Wilczyński i na tzw. warsztaty-ćwiczenia w Al. Jerozolimskich bodajże nr 64.

Gdy moje zapasy żywności miały się ku końcowi, dojechałem do Słuszczyzna po chleb i raczej tylko po cebulę. Bo jeśli przywiozłem słoniny, to najwyżej kilka dekagramów. W tamtą stronę jechałem z Warszawy do Radomia pociągiem, a dalej jakimś ciężarowym samochodem. Z powrotem znów, tym razem przez pięć dni wracałem statkiem. Oszczędzałem, raz dziennie kromkę chleba popijałem wodą z Wisły. Gdzieś około 9 rano wysiadłem przy moście Kierbedzia i wkrótce znalazłem się na Miodowej. Tu już od kilku dni mieszkał ze mną Stefan Grabski. Zmęczony, zawiąłem rękawy u koszuli, nalałem wody na miskę i miałem zamiar się umyć.

Nagle usłyszeliśmy jakieś silne uderzenia we drzwi, jakby łomot, ale w drzwi na sąsiedniej klatce. Za chwilę podobny łomot lecz już w bliższe drzwi, a za moment silne szarpnięcie za klamkę i dwóch gestapowców weszło do naszego pokoju. Nakazali nam szybko się ubierać i wychodzić. Drżący, zeszliśmy po kilku schodkach i znaleźliśmy się na naszym, kwadratowym podwórku, tzw. "studni". Tu już z rękami założonymi na kark za głowę stało kilkunastu mężczyzn. Mniej więcej pośrodku placu podwórkowego stał na nóżkach karabin maszynowy, przykryty nieco szarym płótnem. W momencie dołączania przez nas do szeregu już stojących, jeden z pośród kilku gestapowców, prawie, że położył się przed karabinem i zaczął ściągać z lufy wymierzonej w nas - płótno. "No", pomyślałem sobie, "na ten asfalt przyjdzie upaść". W tym momencie, ze schodków naszego miesz-

kania zaczęła schodzić pani hr. Potocka. Zbliżyła się do gestapowca stojącego obok nas i zaczęła mu wyjaśniać, że my, tzw. Józef, bo za takiego u niej uchodziłem i Stefan od dość dawna u niej mieszkają, ona nas dobrze zna, jesteśmy spokojni, uczymy się na kursach i na życie zarabiamy pracą przy wyładowywaniu z wagonów węgla na dworcu. Prosiła, aby nas puścili wolno. Niemiec, początkowo ostro, później nieco łagodniej, miał ^{en} pretensje do pani Potockiej o to, że wstawia się za nami. Ponadto z Niemcami nie współpracuje. Pani Potocka odpowiedziała, że ona jest już za stara. Po chwili Niemiec pchnął nas w kierunku drzwi naszego mieszkania. Kilka godzin po tym wydarzeniu chyba ktoś z rodziny dozorczy domu dyskretnie wspominał, że wtedy w sąsiednich klatkach schodowych Niemcy zabili kilka osób, a kilkanaście zabrali do samochodu - "budy" stojącego na ulicy Miodowej.

W dniach mojego pobytu w Skuszczyńcu, mianowicie 12 sierpnia 1943 r., przed południem, specjalny oddział Kedywu dokonał napadu na transport pieniędzy w Warszawie na ul. Senatorskiej, przy placu Zamkowym. Uzyskano około 106 milionów złotych, nieco marek i broń. Wtargnięcie Niemców do naszego mieszkania prawdopodobnie wiązało się z akcją regularnego przeszukiwania domów w tych klatkach w toku blokad.

Kurs ukończyłem, lecz zamiast ^z oryginalnego "prawa jazdy", do wyrobienia którego chyba było wymagane - o ile sobie dobrze przypominam, zaświadczenie lekarskie o stanie zdrowia, a takiego nie posiadałem - otrzymałem zaświadczenie tymczasowe, o czym wspominałem w dalszej części niniejszego opracowania.

Po prawie 50 latach rozmawiałem na ten temat ze Stefanem. Przypomniał, że gdy Niemcy wyprowadzili nas na podwórko, ja bardzo mocno się modliłem. Okazuje się, że modlitwą można wszystko uzyskać, nawet obronić życie. A to właśnie jest wszystko.

Po tym wydarzeniu mieszkaliśmy tu może jeszcze z 10 dni. Raz czy dwa razy przyniosłem Pani Potockiej na jej prośbę ze sklepu na rogu ul. Książęcej i Nowego Świata, w jakiejś torebce nieco wiktuałów. Zapamiętałem, że było tam może pół kg kaszy jęczmiennej, bo zauważyłem jak ekspedientka ważyła. Co się składało na drugie pół kilograma nie wiem, bo do torby nie zaglądałem. /

Dłużej w Słuszczyźnie

W początkach jesieni 1942 r. wzorowy gospodarz Franciszek Szewczyk z koloni Las Gliniański, wsi bezpośrednio przylegającej do Słuszczyzny powziął myśl umieszczenia swojego syna Mariana, mniej więcej w moim wieku, w szkole rolniczej w Chwałowicach koło Iłży. Po uzgodnieniach i ja wsiadłem na ich parokonnny wóz i dojechaliśmy Chwałowic. Szkoła miała internat i dobrych nauczycieli. Mogłem tu nawet poszerzyć i pogłębić swoje wiadomości wyniesione z gimnazjum. Jak sobie przypominam szczególnie rzetelnie prowadzone były zajęcia z chemii i bodajże z fizyki, biologii, języka niemieckiego i inne. Uczniowie dyżurni wtawali wcześnie. O godzinie 6 rano należało zjawić się w oborze, stajni lub chlewie i włączyć się do rannego tak zwanego obrządku. Od 8 chyba do 13 trwały lekcje przedmiotów ogólnokształcących, później obiad i po południu znów zajęcia zawodowe. Chyba w szkole tej mógł nieźle się czuć młody człowiek ukierunkowujący się na przeczekanie okupacji. Mnie natomiast pociągało uczestnictwo w niemal z dnia na dzień zmieniającej się rzeczywistości.

Trafiały do nas wiadomości o partyzantach w Górach Świętokrzyskich, o ich aktywnym udziale w odzyskiwaniu niepodległości, o narastającym w kraju oporze przeciwko terrorowi niemieckiemu. Chyba w listopadzie 1942 r. ktoś powiadomił nas o przygotowywa-

nych planach zlikwidowania rozrastającego się obozu w Oświęcimiu. Już wcześniej byliśmy zorientowani o charakterze tego obozu. Kilka miesięcy wstecz Maria Jasińska przyniosła do nas kartę pocztową z nadrukiem obozu napisaną po niemiecku z prośbą o przetłumaczenie. Przebywający w Oświęcimiu jej syn Józef Borek napisał: "Ich bin ges~~und~~ und ^{fühle} mich gut" - to stereotyp, jakiego mogli używać przebywający w obozie.

"Tak, to miejsce - mordowania przede wszystkim dla Polaków" - skomentował wówczas Henio.

Tak więc, jednego pochmurnego, listopadowego dnia z kolegą ze szkoły w Chwałowicach Kazimierzem Kielochem 17/, zamieszkałym w Glinie wymaszerowaliśmy w kierunku Woli Soleckiej, gdzie mieliśmy chwycić kontakt na rzekomo planowaną koncentrację ochotników pragnących zniszczyć obóz. Po pełnym dniu marszu doszliśmy do Mieczysława Lasoty. Ten zorientował nas, że owszem, myśli się o czymś takim, jak atak na Oświęcim, ale na razie jeszcze za wcześnie. Wróciliśmy, lecz nie do Chwałowic, tylko do swoich domów. Józef Borek z Oświęcimia już nie wyszedł 18/.

Terror, niewolnicze traktowanie narodu polskiego, obliczone na doprowadzenie do całkowitego unicestwienia naszej tożsamości, przekreślenie jakiegokolwiek, najmniejszej nawet myśli o zmianie spowodowanej przez hitlerowców sytuacji, usiłowali Niemcy udowodnić i realizować do końca.

Nie tylko, że odnosiło się wrażenie, ale to Niemcy potwierdz^ali czynami na co dzień, na każdym kroku, że zabicie Polaka w każdej sytuacji, czy to na ulicy, czy w domu, czy gdziekolwiek indziej, to spełnienie przez nich najwyższego, "najgenialniejszego" nakazu Führera. My to po prostu czuliśmy. Nic też dziwnego, że na widok Niemca, reakcje Polaków, aczkolwiek generalnie biorąc były też jedno^{znacznie} wrogie, to w konkretnych przypadkach były najróż-

niejsze, być może, że czasem nawet nie adekwatne do chwilowo zaistniałej rzeczywistości. Doświadczeni, mieliśmy w każdej chwili prawo spodziewać się ze strony Niemców wszystkiego, co najstraszniejsze, nawet śmierci. Być może, te w konsekwencji różne nasze zachowania zależały, jak to często się przedstawia od tej bio-psycho społecznej struktury każdego z nas.

Tu, za Autorem chciałbym wskazać na konieczność "ocalenia", ile się da ^z owej przeszłości", zasygnalizowania wydarzenia "Sytuacji" i dokonać ~~zasygnalizowania~~ ^{rejestrowania} jeszcze jednego przykładu "tragicznej złożoności losów ludzkich" /Wł. Bartoszewski 1984/.

Gozdur, kuzyn Sliwczyny ze Słuszczyzna, pewnego dnia ⁱ wóz z zakupionej w Radomiu nieco cyny. Na przystanku w Iłży żandarmi polecieli pdróżnym wyjść z autobusu. Od grupy oddzielili część ludzi wraz z Gozderą, ^{mem} odprowadzili na bok i zastrzelili.

Według innej wersji Gozder ^u sam oddalił się od grupy i usiłował zbiec. Żandarmi zauważyli go i zastrzelili. Odnalezienie świadków wydarzeń po 50 latach jest trudne.

W lipcu 1943 roku Niemcy Zabili w Słuszczyźnie Stanisława Łukasika. Był to stateczny, kulturalny, dobry gospodarz. Niemcy usiłowali pochwycić jego syna Franciszka, nauczyciela, przewojennego oficera rezerwy. Lecz Franciszkowi udało się zbiec za Wisłę, gdzie się ukrywał. Niemcy w zamian zabili ojca. Franciszek w 1944 r. wstąpił do wojska polskiego w stopniu porucznika. W 1945 r. jesienią wyjechał na ziemie zachodnie, m. in. do Gorzowa i tam pracował. W 1946 r. zginął tragicznie w wypadku samochodowym.

Wieczorami ^{ami} usiłowałem czytać Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkową, Reymonta, a nawet ktoś nam pożyczył "Vita sexualis", już nie pamiętam autora. Od czasu do czasu chwytałem się za algebrę i geometrię. Już w drugiej połowie okupacji znalazła się u nas w domu dość oryginalna książka polsko-niemiecka. Chyba Henio ją skądś przyniósł. Li-

czyła około 200 stron, autora też już nie pamiętam, ale, jak wynikało z zawartych w niej tekstów na pewno była wydana przed pierwszą wojną światową. Każda strona była podzielona na dwie połówki, na dwie części w układzie poziomym. Zawierała zbiór ciekawych czytańek, opowieści, a to o Józefie II, cesarzu austriackim, a to o jakichś bohaterach arabskich i tp. Pierwsza połówka od góry do dołu była w języku niemieckim, a druga w języku polskim. Ułatwiało to tłumaczenie tekstu, poznawanie słówek, budowy zdań, oryginalnych zwrotów i tp.

Henio w związku z podjęciem pracy w Spółdzielni Spożywców "Dobra Myśl" podjął naukę na Spółdzielczych Kursach Korespondencyjnych /SKK/ z uporem na przestrzeni lat 1942/1944. Dużo też czytał nie tylko z zakresu spółdzielczości, ale wszystko, co tylko wpadło mu w rękę. Miejsce do czytania i oświetlenie jakie było już wiemy. Chyba gdzieś pod wiosnę 1943 r. nagle zauważyłem, że prawie nic nie

widzę na lewe oko. Zacząłem palcami rozciągać powieki, nachylać głowę nad stołem, nienormalnie wykrzywić usta, co zauważyła mama. "Co ci jest?"- zapytała. Przyznałem się. Mama wystraszyła się bardzo.

Następnego dnia udaliśmy się z ojcem pieszo do Lipska, a stąd jak ~~in~~ jakimś okazijnym samochodem ciężarowym dojechaliśmy do Radomia. Zbliżał się wieczór. Znaleźliśmy jakiś pseudohotelik, chyba przy ulicy Rwańskiej i tu nieco przespaliśmy się. Rano, pytając na ulicy przechodniów, trafiliśmy do okulisty. Tu, przez ^{od}opzytywanie jakichś cyfr na tablicy wiszącej na ścianie, lekarz zorientował się w stanie mojego wzroku. Przepisał mi jakiś płyn do zakraplania. W powrotnej drodze też jakąś ciężarówką dojechaliśmy niestety tylko do Iłży. Stąd w kierunku Lipska nie było żadnego środka lokomocji. Ruszyliśmy pieszo, a przed nami było około 30 km marszu. Po przejściu mniej więcej połowy drogi poczułem, że słabnę. Nogi wyraźnie odmawiały posłuszeństwa. Szczęśliwie z tyłu dopędzała nas jakaś ciężarówka, okazało się, że wypełniona czubato węglem. Na znak z naszej strony zatrzymała się. Kierowca oświadczył, że może zabrać tylko jednego z nas. Ojciec mnie wsadził na węgiel. Sam doszedł pieszo po jakiejś półtorej godzinie do Lipska. Stąd już do Słuszczyzna było stosunkowo blisko. W domu, po kilkudniowym zakraplaniu oka bielmo utrudniające widzenie ustąpiło. Do dzisiejszego dnia chwalebę tego radomskiego lekarza.

^aZyczynąło się dźiać coraz gorzej, terror okupanta nasilał się. Ciągłe groziło aresztowanie, łapanki, wywózki do Rzeszy na przymusowe roboty, rozstrzeliwania. Szczególnie młodzi mężczyźni narażeni byli na te niebezpieczeństwa. Wielu ukrywało się poza swoim domem, lecz na tyle blisko, by móc u siebie się wyżywić, inni odchodzili lub wyjeżdżali dużo dalej, by wśród obcych, często pod zmienionym nazwiskiem jakoś przetrwać. Jeszcze inni szukali ~~ero-~~

schronienia w lasach, wśród partyzantów. Niektórych być może głód popychał do kradzieży.

Była może porowa pędziernika, chyba 1943 r. w tym dniu było ciepło, pogodnie, sucho. Mijało południe, gdy 2 młodych mężczyzn bezceremonialnie weszło na podwórze do gospodarza Antoniego Szymanowskiego /ew. Szymańskiego/ i niemal na jego oczach wyprowadziło ze stajni młodego, ładnego konia kasztanka i żwawym krokiem, na postrońku, prowadziło go w kierunku zembórskiego lasu. Zanim osłupiały z wrażenia gospodarz oprzytomniał, hochsztaplerzy z koniem uszli już z trzysta kroków. Na skutek krzyku Antoniego, podjętej za złodziejami gonitwy i zainteresowania się wydarzeniem pracujących na polu ludzi, bezczelni przybysze puścili konia, a sami szybciej podążyli do przodu. Gospodarz przez najbliższych kilka dni i nocy od uratowanego konia prawie, że nie odchodził, ~~od niego~~.

Niebawem jak to w jesieni bywa popadało, na wsi zrobiło się spore błoto, pojawiły się też kałuże. Przebywaliśmy w naszym mieszkaniu, z którego jedno z 2 okienek wychodziło właśnie na tą rozmokłą drogę. Antoni Szymanowski będący jeszcze pod wrażeniem niedawnej przygody, czuwał w stajni przy koniu. Nagle gdzieś około godziny 9 wieczorem usłyszał, że do jego mieszkania weszło kilku mężczyzn. "Oho, przyszli teraz ^ewiększą paczką "odgryść" się na mnie za nieudaną kradzież konia sprzed kilku dni" - pomyślał Szymanowski. Zdenerwował się bardzo i nie namyślając się długo, biegł szybko w kierunku naszego domu. Przy tym niesamowicie głośno krzyczał. Wypadłem momentalnie z mieszkania do furtki na drogę i właśnie nadziałem się na ryczącego Antoniego. "Co się stało?" - zapytałem. Zamiast przynajmniej w miarę sensownego wyjaśnienia sytuacji - zagrział mi w uszach jakiś nieartykułowany, niezrozumiały, niesamowicie silny bełkot.

Jedynie ręką wskazywał na swój dom. Wkrótce znalazł się obok mnie

Henio, wujek Fonek, sąsiad Bronisław Pałka i jeszcze kilku innych, raczej młodszych mężczyzn. Ktoś po ciemku krzyknął: "brać z sobą co kto może, nawet kije i okrażymy ich". Ja przez błonie, inni drogą, ktoś przez płoty, zbliżaliśmy się półkolem do niezbyt odległego domu Szymanowskiego. Przybysze wystraszeni ruchem we wsi wypadli z mieszkania Antoniego i szli na spotkanie z nami. W pewnym momencie padły strzały, może 5, może 8, trudno już dociec. W lot zorientowaliśmy się, że raz, nie mamy szans, a dwa, nie wiedzieliśmy kto ku nam się zbliża. A może to jakaś grupa godna wsparcia? Każdy z nas szybko wskoczył do swojego domu. Przybysze ostrożnie lecz dość głośno rozmawiając między sobą zbliżali się do naszego domu. Znow znalazłem się przy oknie. Wydawało mi się, że usłyszałem głos jednego z nas, przed chwilą okrażających.

Wyszedłem z mieszkania, Henio za mną. Na tle domu Antoniego Pałki dało się ujrzeć przynajmniej kontury kilku rozmawiających mężczyzn. "Widocznie nasi się tam zbrali i komentują wydarzenie sprzed paru chwil" - powiedziałem do Henia i już byliśmy przy domu Pałki. Lecz przed domem, między opłotkami, na początku wąskiej dróżki stał młody przybysz z wyciągniętą ręką z rewolwerem. O ironio, co za pech. Twarrz jego też wydała mi się znajoma, może to jeden z kolegów? "Nie wygłupiaj się" - bąknąłem i swoją ręką odchyliłem jego rękę i rewolwer we mnie wymierzony. Wartownik przepuścił mnie, za mną Henio. Mieliśmy wykonać ze 3 kroki najwyżej i w tym momencie gwałtownie otworzyły się drzwi domu Antoniego Pałki, a w nich stanął młody, energiczny, wysoki, w długim płaszczu mężczyzna. "Stój." - krzyknął donośnym głosem. "W tył zwrot." "Naprzód marsz." "Stój." To drugie "Stój" wypadło tuż przed sporą kałużą. Następną komenda: "Padnij." Momentalnie łypnąłem okiem w lewo i dostrzegłem niewielkie wzniesienie i padłem piersiami

na nie. Henio nie miał możliwości takiego manewru, bo tym razem był nieco przede mną i czbkami butów dotykał sporej kałuży. Błyskawicznie wykombinował sobie, że musi paść, ale w wodzie będą tylko ręce, a piersi wyżej, nad wodą. Dostrzegł to ów komendant, zbliżył się do Henia, kolbą karabinu wgniótł go w wodę i znów komenda: "Powstań", i znów: "Padnij", a woda tylko rozpryskiwała się na boki. Takie ćwiczenie przeprowadziliśmy chyba ze 4 razy. Wreszcie: "Powstań", "do domu biegiem marsz".

W ~~siatce~~^{omle}, przed wejściem do naszego mieszkania ja ręką wytrzepałem tylko w miarę suchy proch z koszuli, a Henio musiał zmienić nie tylko kołnierzyk, jak kiedyś w gimnazjum, ale całą koszulę. Po krótkim czasie przybysze pomaszerowali na północ, a ja nigdy nie dowiedziałem się, co to była za grupa.

Podaję, że o takich i podobnych wydarzeniach rozgrywających się w Słuszczyńcu niemieccy żandarmi w Lipsku cokolwiek wiedzieli. I wydaje mi się, że w celu zebrania dokładniejszych informacji o wieczorowym i ~~naszym~~^{wieczornym} życiu w naszej wsi gdzieś pod koniec 1943 r. dojechali dobrze uzbrojeni i liczniejszą grupą, w maszerowali w pobliżu sołtysa Józefa Podra. Mogła być 9 godzina wieczorem. Jak na złość, wszyscy wtedy synowie sołtysa, a więc Miecio, Tadzio, Janek i Józek znajdowali się na drodze, w pobliżu swojego domu. Nagle usłyszeli tupot butów niemieckich. Chłopcy natychmiast zaczęli uciekać. Mieciowi i Jankowi udało się gdzieś szczęśliwie ukryć. Natomiast Tadzio i Józek usiłowali przeskoczyć przez płot do sąsiada. I w tym momencie Niemcy otworzyli ogień. Ranili ich w wyższe części ^śnóg. Niemcy wkrótce się wycofali, a ranionych chłopców dowieziono do szpitala w Lipsku. Stało się to 15 grudnia 1943 r. Tu po kilku tygodniach wyleczyli się i wrócili do domu.

Prawie rok wcześniej, bo 6 stycznia 1943 r. śniegu na polach było sporo, ale w tym dniu tajał. Dochodziło południe. Wyszedłem

za stodołę, spojrziałem na "dwunastki". Drgnąłem. Przez nasze, wtedy jeszcze niewielkie drzewka i bez liści spostrzegłem, jak z drogi prowadzącej przez Las Gliniański w kierunku Starej Gliny, gdzieś z kilometr od nas, skręca kilka par koni ciągnących pełne jakichś osób wozy kołowe lub sanie na płozach w kierunku samotnie stojącego domu ze stodółką i obórką, gospodarstwa Stanisława Borka. Woźnice batami zmuszają konie niemal do galopu i kierują się na stodołę. Mieszkał tu Stanisław Borek, gospodarz i dobry cieśla, jego żoną Stanisława, syn Czesław, córka Honorata z mężem Piotrem Wojtowiczem i z jednym dzieckiem, w wieku niepełnego roku. Zaskoczenie było całkowite.

Żandarmi podjechali pod samą stodołę, wpadli na podwórko, momentalnie obstawili dom, swoim zwyczajem na drewniane ściany domu nakładli sporo słomy, zlał ją benzyną i podpalił. Dopóki płomień był mniejszy niektórych mieszkańców zabili strzelając przez okna, gdy pożar się wzmagił i dom się walił, ci, którzy jeszcze żyli usiłowali wyjść na zewnątrz. Zabili ich przed domem. Jedno maleńkie dziecko, które wyszło na podwórko schwycili za nóżki i wrzucili przez okno do płonącego domu. Samego gospodarza Stanisława Borka wcześniej odłączono, skuto kajdankami i usadzono na wozie. Spalono wszystko: dom, obórkę i stodołę. Gdy ogień przygasł wozy i sanie z Borkiem i żandarmami ruszyły w kierunku Słuszczyzna.

Powstała we mnie taka myśl, że wracający z mordu żandarmi tym razem przez naszą wieś, a nie przez kolonię Las Gliniański, którą to dojechali do Borków, muszą mieć świadomość, że będą świadkowie i tej zbrodni. Rzeczywiście, przy domu Antoniego Szymanowskiego skręcili w prawo, w naszym kierunku. Już byłem na drodze. Doszedł do mnie wujek Fonek. Upozorowaliśmy przesuwanie leżących tu kłoców sosnowych na inne miejsce. Najwyżej w odległości 2 metrów ode mnie przejechał wóz konny z Borkiem i kilkoma żandarmami.

Za chwilę następne wozy, Też pełne żandarmów. Po krótkim postoju u sołtysa odjechali do Lipska. Bardzo szybko, być może, tego samego dnia żandarmi wywieźli Borka kilka kilometrów w las za Lipsko i zastrzelili.

Według innej wersji Stanisław Borek, dowieziony przez żandarmów na posterunek w Lipsku, mógł być jeszcze tego samego dnia dodatkowo bity i męczony. Zmaltretowany w nieludzki sposób, przepełniony niewyobrażalną wprost tragedią swoich najbliższych, załamał się, nie widział szans w walce o życie i tej pierwszej nocy powiesił się w celi na sznurówce od buta.

Tak już było podczas okupacji niemieckiej, że nieszczęścia nie miały końca. Ledwo jako tako ochłoneliśmy po tragedii rodziny Borków, a już, tym razem z innej strony, w kwietniu 1943 r. dowiedzieliśmy się, że Niemcy w Katyniu odkryli masowe groby oficerów polskich z kampanii wrześniowej, internowanych przez Armię Czerwoną po 17 września 1939 r. Niemcy jako Żabójców wskazywali ZSRR. Z kolei rząd radziecki odrzucał tę wiadomość i twierdził, że mord na polskich oficerach dokonali hitlerowcy. W rozmowach z Heniem i z sąsiadami, m in z Bronisławem Pałą byliśmy niestety zgodni, że tym razem jest to "robota" radziecka. Wkrótce Niemcy rozpoczęli publikowanie w ukazującej się prasie imion i nazwisk ekshumowanych naszych oficerów /oczywiście, gazety ukazujące się w języku polskim były bardzo ściśle kontrolowane przez Niemców, przyp. E.N./ Natknęliśmy się w jednej z gazet na nazwisko Jerzego Fidali, zamordowanego w Katyniu. Był moim nauczycielem gimnastyki w gimnazjum w Solcu, młody, wyjątkowo udany pod każdym względem nauczyciel. Absolwent przedwojennego Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego /tzw. "Cifu/, zorganizowanego przy poparciu Józefa Piłsudskiego.

Bodajże był to przełom stycznia i lutego 1944 r. Było stosunkowo ciepło|raczej bez śniegu. Siedziałem przy oknie w naszej maleńkiej

kuchence w Słuszczyńcu i coś czytałem, przy ledwo tłącej się, maleńkiej lampce naftowej. Mogła być godzina 8 wieczorem. Nagle usłyszałem i natychmiast zidentyfikowałem wybuch ręcznego, owalnego, pękatego, obronnego granatu "angielskiego". Zerwałem się na równe nogi, Henio stanął obok mnie, błysnęła nam na pewno jednakowa myśl, że wieś może być otoczona i bez słowa wbiegliśmy do murowanej, dachówką krytej obory, stąd, nieco utajnionym włazem wdrapaliśmy się na strych. Przywarliśmy do szpar między wyschniętymi deskami facjaty.

Najpierw w ciemnościach tylko słyszemy żandarmskie krzyki, nawoływania, jakieś rozkazy. Za chwilę jakiś starszego już, wychodzącego z domu Antoniego Pałki. Zatrzymał się na progu. Na tym samym progu na którym na przełomie października i listopada 1943 r. stał młody, wysoki, ^{nr} "mocny" człowiek i ćwiczył nas z Heniem w kałuży przed tymże domem. Strzał i Antoni Pałka runął w opłotki. Kilka minut wcześniej ci sami żandarmi, kilkadziesiąt metrów przed domem zabili jego syna Józefa, schwytanego na drodze, ale ja strzałów w tamtym momencie ^{encie} nie słyszałem. Tymczasem z Heniem wytężamy wzrok i słuch.

"Schnell, schnell, sofort" i sporo innych, pijanych ryków i urywanych słów. W ciemnościach z trudem, ale rozpoznajemy, że ktoś rozpościera słomę i opiera ją o dom. Żandarmi zmusili sąsiada Stefana Binerata /gospodarza/, aby to zrobił. W pewnym momencie ^{eni} błysk i już języki ognia zasilanego benzyną, czy naftą pełzają po ścianach, a za chwilę tak ściany jak i dach objęły potężniejące z każdą chwilą płomienie. Gdy momentami nieco malały ktoś znów dolewał benzyny, ogień wybuchał z nową siłą, wspomagany pijackimi rykami i śmiechami żandarmów. "Kulturtscherz", tylko tyle powiedział Henio. Gdy mniej więcej po pół godzinie ogień wyraźnie przygasł, umilkły krzyki żandarmów, zeszliśmy z obory i zbliżyliśmy się do

drogi. W miejscu gdzie stał dom i żyła w nim kilkusobowa rodzina, majaczyła miejscami żażąca się, miejscami ciemna sterta zgliszcz i popiołów. Stało to się 10 lutego 1944 r.

Na początku było tak. Żandarmi ~~wyj~~jechali i weszli do wsi od strony Lipska i Dziurkowa. Posuwali się w naszym kierunku. Po drodze napotkali dwudziestokilkoletniego Józefa Pałkę i zastrzelili. Było to już stosunkowo blisko jego domu. Strzał usłyszał ^{moj} starszy syn w rodzinie, Stefan. Żandarmi szybko podeszli do domu i otoczyli go. Stefan wszedł na strych. W południowej swej części ^r strych nie miał ścianki, zamiast niej był spory otwór. Tędy Stefan rzucił w żandarmów wspomniany przeze mnie granat. Niemcy od tej strony uciekli. Prawdopodobnie przypuszczali, że może się odezwać jeszcze inna broń, może nawet maszynowa. Przez kilka, lub kilkanaście minut od tej strony tj od strony Lasu Gliniańskiego Niemców nie było. Skorzystał z tego Stefan i jego matka. Stefan uciekł bezpowrotnie do pobliskiego lasu i dalej. Matka, jak opowiadali jeszcze bliżsi sąsiedzi ode mnie, świadkowie wydarzeń raz wróciła się i niesposztrzeżenie wyniosła z płonącego domu do lasu pierzynę. Uświadomiła sobie, że warto byłoby wynieść i poduszki. Wróciła się więc drugi raz. Niosąc poduszki została zauważona przez żandarmów i zabita na polu pomiędzy płonącym domem, a lasem.

Pogrzebem zajął się głównie najmłodszy ocalały syn Janek. Najpierw na taczkach dowiózł zwłoki brata Józefa do stodoły, po przeciwnej stronie drogi. Następnie wygrzebał ze zgliszcz zwęglone szczątki ojca i ułożył je obok syna. Za trzecim razem zabrał spod lasu martwe ciało matki i w nadchodzącym dniu zajął się skompletowaniem trumien. Kuzyni i sąsiedzi ułatwili dowiezienie ciał na cmentarz w Pawłowicach.

Stefan trafił do partyzanckiego oddziału Armii Krajowej "Szarego". Gdzieś, na początku lata atakując wraz z innymi posterunek

zandarmerii niemieckiej w Końskich, podszedł najbliżej murów i zdażył jeszcze krzyknąć: "panie poruczniku, Niemcy strzelają z okien" i w tym momencie trafiony kulą - zginął /3 czerwca 1944 r.¹⁾.

Janek przeżył ucieczkę Niemców, przeżył wojnę. W zmienionych już warunkach, gdzieś w czercu 1945 r. zginął w ataku na posterunek milicji w Solcu nad Wisłą. Przygnębienie we wsi ogromne. Z pogromu uratowały się dwie córki: Helena z męża Wyroch^{dowa} i Zofia, w dniu masakry jeszcze kilkuletnie dziecko będąca wtedy u znajomych we wsi.

Nie pamiętam w którym to było roku. We wsi leżało sporo śniegu. Na saniach ciągniętych przez 2 konie, grupa żandarmów jadąc od Walentynowa przez wieś Las Gliniański zatrzymała się przed domem śp Stanisława /Stanka/ Kalinowskiego, zabitego przez Niemców we wrześniu 1939 r. Tym razem młodszemu synowi Edwardowi kazali, aby stanął na jednej płozie sań, przodem do żandarmów, a tyłem do brzegu drogi i by jechał z nimi, prowadząc ich do domu drugiego Stefana Binerata /tego nie gospodarza "ocza"/. Edzio już z pewnej odległości dostrzegł poszukiwanego. Stał on przy wspólnej studni przy drodze i ciągnął wiadrem wodę. Mijając studnię Edzio mając ręce do tyłu, usiłował palcami i dłońmi dać do zrozumienia Stefanowi, by ten uciekał. Wkrótce skręcili do Binerata na podwórze. Wtedy Stefan bardzo szybko odskoczył od studni i wpadł wystraszony na nasze podwórze. Szukał schronienia. Zobaczył stertę zmarzniętych gałęzi, wcisnął się pod nie, Niemcy nie zauważyli. Tym razem udało mu się uchronić. Nie długo jednak Stefan cieszył się życiem. Gdzieś na wiosnę zginął od kuli, tuż za naszą wsią, dla mnie dotychczas w okolicznościach nie wyjaśnionych.

Niniejszy tekst konfrontowałem z kilkudziesięcioletnimi osobami. W czasie okupacji miały one po 8, 9, 10 lat życia. Jako więc ciekawe, a jednocześnie mniej wyczulone na niebezpieczeństwo dzieci,

¹⁾ Marian Łanger podaje, że "Szary" przeprowadził akcję na posterunek zandarmerii w Końskich w nocy z 5/6 czerwca 1944. Zob: M. Łanger. Łasy i ludzie. W-wa, 1993, na stronie 194.

kręciły się po drodze i podwórkach. W relacji jednego z nich sprawa wyglądała następująco:

" Jest to przykład skomplikowanego losu ludzi pod okupacją. Stefan Binerat ukrywał się jako komunizujący, o ciągotkach /do kradzieży, E.N./ do kur, czym podrywał opinię innym, uczciwym partyzantom. Wydano na niego wyrok śmierci. Skazany wiedząc o tym ukrywał się m.in. w stodółce Fodra na polach gliniańskich. Pewnej nocy cichaczem wdarak się do szopy wujka Fonka, tam śpiącego. Prosił, by ten dał znać żonie /Andzi/, by mu przyniosła jeść. Gdy wujek zapytał -"gdzie ci mam przynieść?" - ten by się nie zdekonspirować, odrzekł: "tam, gdzie ostatnim razem". Ale tylko ślady szamotaniny i wyprowadzenia /raczej na stracenie/ zastała żona w stodółce, jego już nie znalazła.

Na drugi dzień wyżej wymieniona żona Anna płacząc, przybiegła do pracującego w Lisinach wujka Fonka i zrelacjonowała mu wspomniane spostrzeżenie. Jest to jedyny dowód przemawiający za takim oto końcem życia Stefana Binerata "Ocza".

15 grudnia 1943 r. o godzinie 11 w nocy i tym razem znów usłyszałem kilka strzałów, jakby w środku wsi, a więc nieco dalej od nas. Wyszedłem na drogę. Niby spokojnie, ani żadnych świateł, ani krzyków, ani rozmów. Wróciłem do mieszkania. Upłynęło może kilkanaście minut i przez to samo nasze zachodnie okno usłyszałem, że ktoś drogą powoli "człapie". Zacząłem się wsłuchiwać. Za chwilę do tego pierwszego dołączyła druga osoba. Zaczęli rozmawiać. Poznałem głos wujka Fonka i Franciszka Szewczyka. U tego ostatniego był zwyczaj, że każdej nocy któryś z członków jego rodziny czuwał, stąd strzały bezbłędnie wychwycili. Dołączyłem i ja do nich. Powoli przyczajeni przy mijanych płotach, uważnie posuwamy się do przodu. Któryś z nas zauważył, że na podwórzu u wdowy Jasińskiej leży martwa postać. W świetle księżyca, a i odległość wynosiła zaledwie

kilka metrów, rozpoznaliśmy może 18, 19-letnią córkę wdowy, Helenę Jasińską. Panowała cisza. Nie mieliśmy pewności, czy przypadkiem nie ma ~~z~~ gdzieś ukrytych Niemców.

W ten sam sposób, jak przyszliśmy, powróciliśmy do swoich domów. Dopiero rano dowiedzieliśmy się szczegółów. Żandarmi tym razem zapolowali na Janka Borka, przyrodniego brata Heleny Jasińskiej. Był on rzeczywiście tego wieczora w mieszkaniu. Wyczuł, czy usłyszał zbliżanie się żandarmów. Wyskoczył przez okno, umknął w głąb podwórza i wcisnął się w dużą stertę świeżych sosnowych gałęzi i w ten sposób ocalał. Wściekli żandarmi wpadli do mieszkania i pod nieobecność Janka, ze złości wyprowadzili przed dom siostrę Helenę i zastrzelili. Jej brat Genek Jasiński zginął nieco później w niewyjaśnionych okolicznościach.

Według innej wersji / której prawdopodobieństwo wyjaśniam nieco niżej, E.N./ w ~~momencie~~ ^{emie} obstawiania przez Niemców okien, a nieco później drzwi do domu, bo podobno taką kolejność tym razem żandarmi przyjęli, Heli udało się dobiec do stodoły - chlewa, by dać znać swoim braciom /Jankowi i Genkowi/. Wracając, dla zmylenia Niemców nazbierała naręcze drewna na ogień, do kuchni. Niemcy jednak się domyślili i na podwórzu Helę zastrzelili.

U Stefana Skwarka: "Ziemia radomska w walce z okupantem /1939-1944/" Książka i Wiedza, Warszawa 1971 r., na ten temat czytamy: "13 marca 1943 r. żandarmi z Lipska, w Pawłowicach rozstrzelali 20 osób, m. in. nieletnią siostrę oficera AK Bolesława Jakubowskiego... W ogrodzie leżała 16-letnia Krysia Jakubowska, ciężko ranna... nadszedł żandarm Himmel i dobił Krysię. Po tym wydarzeniu w Pawłowicach żandarmi dotarli do Słuszczyzna. W zabudowaniach Jasińskiej odbywało się posiedzenie dowództwa podobwołu ZWZ-AK "Powiśle". obserwację prowadziła 18-letnia Hela Jasińska. Chciała ostrzec zebranych. Biegła, posłano za nią serie z automatu, Hela padła /str.

53/. Strzały ostrzegły konspiratorów. Do Heli strzelał ten sam kat, Alfons Himmel, który strzelił do Krysi Jakubowskiej. Roztrzełał on wiele osób dorosłych i dzieci. Rozpoznano go po wojnie w 1946 r. w okolicach Wałbrzycha. W Radomiu, w 1951 r. wykonano wyrok śmierci na nim /str. 53/".

W wielu dziedzinach eksploatowali Niemcy nasz kraj. Na przykład z kompleksu Leśnego pomiędzy szosą Tarłów-Lipsko, Dziurków-Słuszczyń-Tomaszówka postanowili wywieść znaczną ilość budulca. Zobowiązali sołtysa, by ten w kolei wyznaczał w tym celu furmanki ze wsi, które musiały dowieźć te kłoc^{za} na Solec, na Kłudzie, do Wisły. Nie było żadnych dźwigów, podnośnika, jedynie ręce i kawałek drąga. Na miejsce wywózki przyjeżdżaliśmy rano, tu należało odstąć, gd^z yż załadowywało się w kolejności. Na furmankę parokonną załadowywało się 2, 3 kłoc^{za}, tj tak do 2 festmetrów, na wóz jednokonny odpowiednio mniej. Przechylało się więc na bok najpierw przodek wozu, drągami wpychało się czołową część kłoca, stawiało się ten przód wozu we właściwej pozycji i następnie w ten sam sposób załadowywało się pozostałą część kłoca na tylną część wozu. Z wysiłku oczy wychodziły z orbit. Zjadło się przecież rano najczęściej kawałek suchego chleba i kubek mleka, z sobą w drogę z reguły nie było co do pożywienia zabrać i tak załadowani ruszaliśmy, jadąc najpierw przez las. Dróżki leśne były w fatalnym stanie, dużo było kałuż, a w nich wiele ukrytych dołków, a nawet bagnistych dołów. ^M W przeciążonych i wyeksploatowanych wozów psuły się koła i inne części. Gdy nareszcie dojechaliśmy do prowizorycznej przystani na Wiśle, znów przechylaliśmy wozy, a kłoc^{za} staczały się do wody. Do swoich domów wracaliśmy na wieczór.

Wydaje mi się, że 2 połowa 1943 r. i rok 1944 były dla mnie, dla mojego rodzeństwa, dla rodziców, a więc dla całej naszej rodziny latami chyba najtrudniejszymi. Henio wprowadzie olbrzymim

wysiłkiem, wielkim nakładem pracy, ciągłym ryzykowaniem, samoza-
parciem, niby to parł do przodu. Jego zarobki wówczas dochodziły
do 2000 zł miesięcznie. Za swoje pieniądze kupował w sklepie nieco
cukru, soli, octu, kilka słoików jakiegoś dżemu czy marmolady z
buraków i coś tam jeszcze i przynosił to do domu. Na pewno było to
dla nas wprost nieocenione. Z drugiej jednak strony rośliśmy, a
samego rodzeństwa było nas dziewięcioro. Wykończyło się ubranie,
buty, bielizna. Zbiory z pola były kiepskie, było ich mało, pole
słabym koniem sprzężynowane, włączone i orane było nie doprawione,
należycie nie nawożone, perzu i pracy dużo, zboża mało. Gdy po żni-
wach odwiozło się przymusowy kontyngent prawie nic nie zostawało.

Niemcy nękali swoimi przyjazdami do wsi, podwodami itp. Raz soł-
tys wyznaczył ojca, by na "sprzężaj z Antonim Szymanowskim odwiźł
z Solca z magazynu kilka kwintali zboża do stacji kolejowej w
Garbatce koło Zwolenia. Oległość wynosiła kilkadziesiąt kilometrów.
Ojciec słaby, więc ja podjąłem się wykonania tego zadania. Było
kilka stopni mrozu. Odpowiedniego ubrania ani obuwia nie było. Je-
chał też wujek Fonek swoimi końmi. Na 6 rano stawiliśmy się w Sol-
cu. Po załadowaniu wozów, przyjęliśmy kurs na Garbatkę. W drodze
oczywiście popasaliśmy, konie coś zjadły, a i my przeważnie po ka-
wałku suchego chleba z niewielkim kawałeczkiem słoniny. Jechaliśmy
cały dzień i późnym wieczorem stanęliśmy na stacji. Kończyłem właś-
nie wyładowywanie zboża ze swojego wozu, gdy na stację od strony
Dęblina wjechał pociąg ze światłami. Gniady, były koń furmański,
ani drgnął, natomiast sprzężajna młoda klaczka Szymanowskiego pod-
skoczyła ze strachu do góry, w bok i ułamała cały dyszel po samej
stimmwadze. Zle, jak tu wracać taki kawał drogi. Wiadomo, że konie
wyhamowują naszelnikami i dyszlem toczący się wóz, a tu brak
jednego i drugiego. Wójek Fonek mi pomógł, karki koni połączyliśmy
luźno naszelnikami by konie się nie rozchodziły jeden na lewą stro-

nę, a drugi na prawą stronę drogi, Krótszą, ułamano część dyszla od stimmwagi do końca wyrzuciliśmy, pozostałą, dłuższą część dyszla wbiliśmy tam, gdzie dyszel powinien tkwić i gdzieś tuż przedpółnocą ruszyliśmy z powrotem, do Słuszczyzna.

Gdzieś koło Sycyny zatrzymali nas umundurowani, z bronią Własowcy, będący w służbie Wehrmarchtu. Niektórzy na koniach, niektórzy pieszo. Przeszukali resztki pozostałej na wozach słomy i pozwolili nam jechać dalej. Około godziny 9 rano byliśmy w Słuszczyźnie.

W najbliższą niedzielę, zresztą jak w każdą, poszedłem do kościoła w Pawłowicach. Odległość wynosiła 6, 7 kilometrów. Wyskoczył silniejszy mróz i wiatr. Przez większą część drogi wpadałem w śnieg do kolan. Dziurawe trzewiki miałem jak z bibułki. Z powrotem taka sama droga. Mimo ciągłej walki z zaspami śnieżnymi czułem, że marzną mi plecy. Przerobiona na trzy czwarte przedwojenna, szkolna jesioneczka przez te kilka lat starciła gdzieś watolinę, była poprzecierana i przewiewna. Z przykrótkich rękawów wyglądały moje czerwone, porozcierane śniegiem dłonie. Głowę chroniły w miarę bujne wtedy włosy, bo gimnazjalna, sprzed wojny czapka, bez podszewki, poprzecierana, tkwiła na czubku głowy, stanowiła tylko wątpliwą dekorację. Czułem tylko jedno ucho. O drugim zapomniałem, że istnieje. Po trwającym około półtorej godziny marszu wszedłem do mieszkania. Spojrzała na mnie jedna z sióstr: "O jej - krzyknęła - ty masz jedno ucho białe jak śnieg, jak mleko." Momentalnie przypomniałem sobie, jak u nas w domu mówiło się, że w takich przypadkach nie należy gwałtownie rozcierać, gdyż może odpaść. Przystawiłem tylko dłoń wewnętrzną stroną do ucha i tak trzymałem przez kilkanaście minut. Powoli ucho zaczęło różowieć, później stało się czerwone, krew ruszyła. Uratowało się. Jedynie na obrzeżu, na długości do 3 cm stało się twarde, jakby

ktoś tam wszczepił kostkę. I tak zostało do dzisiejszego dnia, ale słyszę normalnie.

Dla mnie niedziela, nawet w pochmurnych i dżdżystych jesiennych miesiącach, także w mroźnych zimowych jak i czasem mokrych wczesnowiosennych była dniem łatwiejszym, przyjemniejszym. Najważniejsze, że nie młóciłem. Czasem tylko pomagałem ojcu poić bydło, wsypywać do żłobów sieczkę lub inną paszę, ścielić. A sieczkarnia nasza to był model chyba z czasów Mikołaja, ale Pierwszego. Mała, zabawkowa, o niewielkich słomę popychających trybikach. Za to trudno było obrócić kołem zamachowym, uruchamianym tylko ręcznie, za pomocą krótkiej korbki. Nie nadawała się do podłączania do kieratu, którego zresztą nie było. Przez pół dnia, po wielkim trudzie, urzędowało się tylko tyle sieczki, że ledwo wystarczyło dla jednego konia i 2 krów na niedzielę. Można było przez kilkanaście minut coś przeczytać. Niedziele bardziej uatrakcyjniły się w ostatnich 2 latach wojny. W lesie wyznaczyłem boisko do piłki siatkówki. Siatka i stare piłki były u nas skądś na strychu z czasów przedwojennych. Każdy z 2 słupków był przywiązywany do palików w ziemi mocnymi linkami. Gdy to się rozniosło po okolicy przyjeżdżała, przeważnie rowerami, bądź przychodziła młodzież nawet z dość odległych wiosek. Graliśmy wiosną, ~~wiosną~~, latem i jesienią niemal każdej niedzieli, od porudnia do zmroku. Na noc siatkę, piłkę i słupki zabierałem do domu. Ponadto w pobliżu, pomiędzy dwoma sosnami, na wysokości może nieco ponad 2 metry umocowałem dość mocny i gładki drążek. Należało nieco podskoczyć, rękami chwycić za drążek i wykonywać różne ewolucje. ~~Zestaw ćwiczeń~~. Zestaw ćwiczeń nie był imponujący, ale w niektórych ćwiczeniach nieźle sobie radziłem.

Natomiast siostry, a głównie te starsze / w wieku 13-17 lat/: Krysia /Zofia/, Jadzia i Irena były najbardziej poszkodowane. "Świątek i piątek", a więc każdego dnia musiały w kuchence rozpa-

lić i to przeważnie świeżym i mokrym drewnem, wybrać i przynieść z piwnicy i przepłukać sporo kartofli, napęlić nimi sagany, wsta-
wić na kuchnię, dopilnować ugotowania się kartofli, kaszy, ewentu-
alnie innych, przeważnie mącznych potraw, co nie było takie proste,
bo kuchenka była mała, tylko czterofajerkowa, a nas było jedenaś-
cie osób, trzeba było na kuchni ciągle manewrować, sagany i garnki
ciągle przestawiać, aby ugotować dla nas, dla inwentarza i dla dro-
biu. Kartofle dla wspomnianego inwentarza żywego tłukły siostry
tłuczkami w cebrzykach, wymieszywały z ospą, z otrębami lub z ple-
wami i wiadrami tak przygotowany pokarm, donosiły do chlewów i chle-
wików. Ponadto opiekowały się najmłodszymi / Basią, Zygmuntem,
Lucyną i Romkiem. Posiłki należało umiejętnie dzielić, aby wszyst-
kim wystarczyło. Z kolei należało grzać wodę na zmywanie naczyń,
których było przecież sporo w tak licznej rodzinie. Garnków, gar-
nusków, talerzy, donic, łyżek, saganów, wiader, cebrzyków, patel-
ni itp były stosy.

Musiały ciągle reperować odzież, bowiem nowych rzeczy prawie
się nie kupowało, zmywać podłogę, a także bielić wapnem ściany i
sufity mieszkania. Wreszcie z trudem znajdowały jakieś niewielkie
puste miejsce, by przygotować się do lekcji w niższych klasach w
Słuszczyńcu, a w wyższych klasach w odległych o kilka kilometrów
szkołach w Długowoli, lub w Przedmieściu Dalszym. Nie było to
proste, jeśli się uwzględni ten przynajmniej fakt, że czynności
te wykonać musiało każdego dnia przynajmniej 6 mojego rodzeństwa,
mniej więcej o jednej porze i przy jednej, małej lampce naf-
towej lub przy karbidowej, ewentualnie przy świeczce.

Być może, że była to wczesna jesień 1943 r. Orałem wtedy na
"piątkach". Nagle dostrzegłem, że na polu u Szewczyków, ktoś dość
gwałtownie przerwał pracę i zaczął szybko zakładać konie do wozu.
Wkrótce wóz też szybko ruszył, do dróżki biegnącej od stodoły Fran

ciszka Szymanowskiego w kierunku Gliny, oddzielającej pola "piątek" od pól "dwunastek". Za chwilę, w niewielkiej ode mnie odległości ujrzałem na wozie Franciszka Szewczyka, jak szarpiąc lejcami i dopingując konie batem przyjął wektor na sadkowskie pola i galopem mknął na widoczny w oddali Solec. Na polu, na którym może przed 2 minutami pracował Szewczyk dostrzegłem młodych chłopców w czarnych beretach biegających bezradnie tam i z powrotem. Jeden z nich zbliżył się nawet na stosunkowo niewielką odległość, może 150-200 metrów od naszej "piątki" i krzyknął: "hej, słuchaj, zgubiłem na polu magazynek od stena, jak znajdziesz, to mi go oddasz" i zawrócił do swoich. Po minucie, partyzanci schodzili z pola i wydawało mi się, że udawali się w kierunku dróżki prowadzącej do Walentynowa. Ja na wieczór zjechałem do swojego domu i oczywiście "igły w stogu siana" nie szukałem.

To, co wyżej napisałem, widziałem na własne oczy i słyszałem na własne uszy. Ani wówczas, ani obecnie, po prawie 50 latach, jakie upłynęły od opisanego wydarzenia nie byłem i nie byłbym też dzisiaj w stanie sensownie i rzeczowo go skomentować. W kwietniu 1992r w tej sprawie napisałem do żyjącego i mieszkającego w Lesie Glińskim Mariana Szewczyka - syna Franciszka, z prośbą o wyjaśnienie tego zajścia. Marianowi przesłałem też stronę tekstu dotyczącego tej sprawy. Nie naniósł poprawek, ani skreśleń, ani też dłuższych uzupełnień. Natomiast Marian napisał mi co następuje: "Byli to akowcy miejscowi. Wiesz przecież, że w każdej partii byli ludzie, oddani sprawie, którzy walczyli o wolność, a byli też łobuzy, złodzieje, którzy tylko rabowali i pili. Ci właśnie chcieli mego ojca zabić, gdyż jako członek AK nie zgadzał się na ich propozycje" z listu przechowywanego przez autora/.

Na wiosnę 1943 r. i tak samo na wiosnę 1944 r. w naszej stodole i na strychu domu w ogóle nie było, ani żyta, ani jęczmienia, nie

bywało też tym bardziej pszenicy, gryki czy prosa. Nie było z czego zrobić ani mąki, ani chleba, ani żadnej kaszy. W tych okresach trzoda chlewna i koń karmione były zieleniną. W jednym z tych lat już od początku czerwca wychodziliśmy z mamą na pole, braliśmy w palce kłosa dopiero kwitnącego i zapyłonego żyta, ściskaliśmy je i przyglądaliśmy się im, czy aby nie ujrzymy zawiązanych ziarenek. niestety, albo w ogóle ich jeszcze nie było, a jeśli sporadycznie tak, to były maleńkie i miękkie, przy ściśnięciu palcami gniotły się i wychodziło z nich jak gdyby mleczko. Oczekaliśmy jeszcze kilka dni i na jakieś 2 tygodnie przed właściwymi zniwami wykosiłem kawałek żyta i ustawiłem kilka kopek. Wyszło to jako tako dość szybko, bo słońce prażyło, zwiózłem do stodoły i wymłóciłem. Nie wszystko ziarno zdołałem ~~wyciągnąć~~ ^{wyciągnąć separami,} część zasklepionego i skurczonego ziarna została w kłosach, ale mimo wszystko, po oczyszczeniu mieliśmy około 25 kg żyta. Na rozłożonych przed domem płachtach nieco dosuszyliśmy je i zebraliśmy do worka. Zdecydowałem się donieść to żyto, jakieś 2 kilometry do ręką napędzanego młynka jaki był u gospodarza Jana Gałka na Kolonii Las Zemborski. Z trudem, ale żyto doniosłem. Natomiast mielenie tego żyta na mąkę w wyjątkowo prymitywnym młynku to było coś strasznego. Cały młynek wyglądał tak, że na nieco podwyższonym drewnianym stojaku były dwie odpowiednio umocowane i podziurkowane gwoździem blachy. Jedna nieco wklęsnięta, ale z ostrymi wypukłościami po gwoździu była umocowana na stałe, druga podziurawiona blacha była napięta i przy-mocowana wokół drewnianego z rączką ruchomego bębna-walca. W górnych swych częściach blachy były nieco rozstawione i tędy wsypywało się ziarno. Natomiast w swej większej części blachy prawie przystawały do siebie. Pomiędzy nimi była niewielka szczelina, taka, aby mogły tu wpadać rozgniecione lub całe ziarna zboża. Pod bębniem, na dole podstawiony był jakiś pojemniczek, do którego w

konsekwencji miało wpadać coś podobnego do mąki. Obracanie bębniem za pośrednictwem rączki wymagało olbrzymiego wprost wysiłku. Chwilami byłem całkowicie wyczerpany, ale może po 2 godzinach takiego mielenia przepuściłem wszystko ziarno przez te 2 blachy. Przed wieczorem byłem z powrotem w domu. Coś tam mama z tego upiekła, już nie pamiętam, czy to był chleb, czy podpłomyki.

Bezwzględne egzekwowanie przez Niemców kontygentów zbożowych i mięsnych doprowadziło moją rodzinę do nędzy. Były dni, że dosłownie zjadaliśmy resztki chleba, czy ziemniaków. Raz tylko wójt gminy Solec na jakąś przekonywującą prośbę naszej mamy skreślił duże nasze zaległości w tym względzie i jednorazowo ustalił mniejsze. Ale , o ile sobie dobrze przypominam mama ze wspomnianym wójtem znała się nieco jeszcze przed wojną. Ta więc decyzja wójta wpływała jak gdyby z dawnej znajomości.

Niebezpieczeństwo ze strony Niemców groziło ciągle. Bliżej wiosny 1943 r. / lub marzec 1942 r./żandarmi wjechali z nienacka na Kolonię Las Gliniański i zabrali Franciszka Lasotę. Był to młody dwudziestokilkuletni mężczyzna, samotny, wspaniale zbudowany, jak na nasze wiejskie warunki nieźle wysportowany, wysoki, sympatyczny. Zabrali go i wszelki ślad po nim zaginął. A było to tak; Franek mieszkał z rodzicami i z siostrą w Lesie Gliniańskim od strony Walentynowa. W drugiej części wsi, od strony Gliny, w domku naszego ciotecznego brata Tadeusza Krupy mieszkał brat Franciszka, Władysław Lasota, nauczyciel, oficer rezerwy, z żoną i chyba 2 maleńkich dzieci. Władysław podczas okupacji podjął pracę w leśnictwie, w kierunku Dziurkowa i codziennie, wcześniej rano tam do pracy dochodził. I właśnie, w tym feralnym dniu, na brzegu lasu, zaczajeni żandarmi zatrzymali Władysława i wylegitymowali. Okazał im lewy dowód osobisty, na inne nazwisko i przepuścili go. Władysław szybko się oddalił, naturalnie do pracy nie poszedł i już do końca

wojny się ukrywał. Wściekli, jak zwykle w podobnych przypadkach żandarmi, zabrali w zamian Franciszka.

Gdzieś w tym mniej więcej czasie w lesie pomiędzy Kolonią Las Gliniański, Tomaszówką, Dziurkowem i Słuszczynem, w nocy rolokowali się żołnierze Armii Krajowej. Być może był to oddział "Krzyka", uzupełniony doraźnie akowcami z "Powiśla". Pogoda była fatalna, padał silny deszcz. Rano wielu z nich weszło do wsi. Mieli długie, nieprzemakalne peleryny i byli dobrze uzbrojeni. Niewiele z ludźmi we wsi rozmawiali i szybko się ulotnili. Po latach przeczytałem u Antoniego Hedy, "Szarego" /1991 r./, że "Krzyk" otrzymał rozkaz zrobienia czystki na Powiślu. Ale czy to właśnie było wtedy, to w tej chwili nie kojarzę.

Może to już zbliżyła się ~~już~~ późniejsza wiosna 1944 r., na dworze było ciepło i dobrze zielono. Henio jak zwykle poszedł do sklepu. Miał tu też dojść ktoś od Szewczyków w sprawie omówienia zaopatrzenia sklepu w towary przywożone ze Starachowic. Trochę zaniepokojony niezjawieniem się nikogo od Szewczyków, zajrzał do domu na śniadanie i powiedział, że zwykle o tej porze, to już ktoś od nich był i uzgadniał wyjazd po towar. Tymczasem dzisiaj do tej pory nikt nie przyszedł. Ja też się zaciekawiłem, co to się mogło stać? Ponieważ było blisko, gdzieś do 300, 400 metrów, wyszedłem z domu, popatrzyłem, niczego szczególnego nie zauważyłem, więc pozwoli zacząłem się zbliżać do gospodarstwa Szewczyków. Już na ich posesji wszedłem pomiędzy opłotki i po prawej stronie w porzeczkach lub innych krzewach zauważyłem umundurowanego, leżącego jakiegoś żołnierza - mężczyznę, z ustawionym w kierunku drogi karabinem maszynowym. Zanim ochłonąłem z wrażenia, usłyszałem nakaz: "wejdz, wejdz, nie zatrzymuj się". "Oho, Wpadłem" - pomyślałem sobie. By wejść do mieszkania musiałem przejść przez część podwórza. Było tu kilku młodych w polskich mundurach, jeden na koniu.

W sporej kuchni, na stole, też karabin maszynowy na nóżkach. Jeden żołnierz leżał w łóżku. Dopiero teraz upewniłem się, że był to oddział Batalionów Chłopskich, pod dowództwem "Boryny", ze zgrupowania "Ośki". Bodajże na lewym przedramieniu mieli emblematy "BCh". Dwóch partyzantów poznałem, jeden był kolegą ze szkoły podstawowej, drugi z gimnazjum, ale ani ja nie dałem odczuć, że ich znam, ani oni się nie zdradzili, że mnie znają. W kuchni było kilku żołnierzy "BCh", jedni wchodzili, inni wychodzili.

Przesiedziałem tu do wieczora, nic nie jadłem, zauważyłem, że i oni też nieco głodowali. Już słońce zachodziło, gdy na dany sygnał wszyscy zebrali się w opłotkach i wymaszerowali do lasu. Wtedy i ja udałem się do swojego domu. Celem wizyty "bechowców" u Szewczyków nie znam do dzisiejszego dnia. W każdym razie rodzina Franciszków Szewczyków była rodziną światłą, z inicjatywą, mającą w swym gronie nauczycieli, pracowitą, rodziną chyba najzamożniejszą i najbardziej zaradną nie tylko we wsi Kolonia Las Gliniański i w Słuszczynie, ale i w znacznie szerszym terenie.

Przed wojną ojciec rodziny Franciszek Szewczyk położył duże zasługi na rzecz mieszkańców wiosek nadwiślańskich dotkniętych klęską powodzi. W 1937 r. bezinteresownie sam ze swoim wozem i końmi razem z naszymi wujkami przewoził nas z Rudy do Słuszczyzna. W czasie wojny stanął na czele osób organizujących we wsi sklep, Spółdzielnię Spożywców "Dobra Myśl" i konsekwentnie dbał o jej rozwój. Zainicjował kształcenie syna Mariana, moje i kolegi Kielocha z Gliny w szkole rolniczej w Chwałowicach. Wydaje mi się, że wysokiego, jak na ówczesne warunki standardu życiowego zazdrościło mu wiele osób. Wszyscy członkowie tej rodziny byli kulturalnymi i uprzejmymi ludźmi.

We wspomnianej wcześniej korespondencji Marian Szewczyk doniósł mi : "Co do wizyty "bechowców" to myślę, że nastawili ich sąsiedzi

" M ". Myślałem, że ty wiesz dokładnie, bo o ile pamiętam odwiedził Cię wtedy Boryna, lecz nic ty nie mówiłeś, więc i ja się Ciebie nie pytałem". Ja Marianowi odpisałem: " Marianie, przy okazji pragnę Ci wyjaśnić, że mnie nigdy Boryna nie odwiedził. Ja nie byłem dla niego równym partnerem. Boryna należał do ówczesnego "establishmentu", do "wyżyn", a ja ówczas nie miałem nawet butów, spodni, czy koszuli. Były dni, że nie jedliśmy chleba, ani kartofli..."
/korespondencja przechowywana u autora/.

Wstąpiłem do Armii Krajowej

W maju 1944 r. chyba w mieszkaniu Tadzia Krupy i dodatkowo w obecności Władysława Lasoty i Stefana Pałki złożyłem przysięgę na wierność Polsce i Armii Krajowej. Wkrótce przekazano mi do konserwacji zwykły karabin, jednostrzałowy. W tym czasie nasiliły się przemarsze przez naszą wieś różnych uzbrojonych często niezidentyfikowanych grup, czy oddziałów. Kilku zamożniejszych gospodarzy, w trosce o całość i bezpieczeństwo swych tuczników, zwróciło się do "starszego"naszej organizacji, ale do kogo imiennie to nie wiem do dzisiejszego dnia, z prośbą o zorganizowanie nocnej obrony. Chyba 7 z nas czuwało każdej nocy. Po kilkunastu dniach, tuż przed żniwami, nasze dowództwo doszło do wniosku, że przemarsze uzbrojonych grup ustały. Po tej najbliższej nocy mamy zaprzestać dyżurów. Przed wschodem słońca oddaliśmy po jednym strzale z broni, jaką mieliśmy i wszyscy udaliśmy się do swoich domów.

Ja z karabinem wszedłem na strych obory, aby się nieco przespać. Henio, który też tu sypiał, zaczął się właśnie przygotowywać do zejścia na dół, a za chwilę już otwierał drzwi obory, by wyjść na zewnątrz. Niestety, przed kilkoma dosłownie minutami weszło na nasze podwórko kilku Niemców, dostrzegli Henia i krzyknęli: "Ty, gdzieś tam byłeś, chodź no tutaj". Henio momentalnie uciekł za oborę,

przez płot i zaczął biec przez podwórze sąsiada Bronisława Pałki. Ja też krzyki niemieckie usłyszałem i błyskawicznie uderzyłem głową i rękami w dachówkę między łątami, dałem susa głową w dół i już byłem na tym samym podwórzu sąsiada, co i Henio. Niemcy też zdążyli się wychylić za oborę, w tą samą stronę i posypały się dość gęste strzały. Szczęśliwie nie trafili nas. Przeskoczyliśmy z Heniem jeszcze kilka płotów, ja wypadłem w pewnym momencie za stodoły i zniknąłem Niemcom w dojrzewającym życie. Henio ukrył się gdzieś w zabudowaniach we wsi.

Gdy odbiłem kilkaset metrów zacząłem się oglądać za siebie, czy aby Niemcy nie podpalili naszych zabudowań. Dymu nie było widać, jednak między żytami, powoli doszedłem do Kalinówka, jakieś 2 do 3 kilometrów. Tu odczekałem, nieco odpocząłem i po jakiejś godzinie wróciłem do domu. Henio już tu był.

Nie rozmawialiśmy na temat tego wydarzenia, a chyba z tego względu, że sprawa była zbyt oczywista i komentować jej nie było sensu. Każdy wiedział, że najczęściej, jeśli Niemcy stwierdzili posiadanie przez Polaka broni - roztrzeliwali całą rodzinę, kogo schwyтали, palili dom, a tylko w sprzyjających okolicznościach wywozili do Oświęcimia. Sąsiedzi też kręcili tylko głowami. Nieco więcej powiedział wujek Fonek. Jego właśnie Niemcy zmusili, by odwiózł ich furmanką do Lipska. Z rozmowy wynioskował, że Niemcy nie byli nastawieni na zabranie Henia i mnie. Podobno wracali z jakiegoś nocnego, terenowego objazdu, śpieszyli się. Byli rzekomo zaskoczeni naszą ucieczką, co jednak nie przeszkodziło im oddać sporo strzałów w naszym kierunku.

Żandarmi z Lipska w maju 1943 r. zdążyli jeszcze wpaść do Słuszczyzna raniutko, tuż przed żniwami, schwytali Donka Zbrozka w mieszkaniu i na moich oczach, bo obserwowałem z za polota, prowadzili go we trzech, dwóch żandarmów po bokach, a trzeci z tyłu i pod

lasem, prawie na przeciwko naszego domu, ten trzeci strzelił z karabinu w potylicę Donka. Widziałem jak Donek podskoczył z 10 centymetrów i upadł na ziemię. Żandarm idący z boku strzelił w głowę leżącego już Donka z broni krótkiej. Żandarmi wrócili się i odjechali do Lipska.

Podobno Niemcy przeprowadzili rewizję w mieszkaniu Donka i w efekcie znaleźli tu sporo "bibuły" socjalistycznej, czy komunistycznej. Spalili to w piecu chlebowym. Donek był samotnym mężczyzną. W lecie 1939 r. został zmobilizowany, a następnie internowany na Węgrzech. Po pewnym czasie, już nie wiem na jakiej podstawie, grupa żołnierzy polskich była przewożona z Węgier, chyba do Austrii. Donek z transportu zbiegł i powrócił do kraju. Tak to nigdy nie wiadomo gdzie bezpieczniejsz.

Gdzieś w maju, czerwcu 1944 r. została z grubsza biorąc zakończona budowa domu spółdzielczego "Dobra Myśl" w Słuszczyńcu. Henio tu nadal pracował w charakterze subiekta.

Front radziecko-niemiecki zbliżał się do Wisły. Do naszej wsi zaczęły przybywać tabory niemieckie, a początkowo najwięcej ukraińskich, w służbie niemieckiej. Żołnierze zaopatrywali się w naszym sklepie przeważnie w artykuły spożywcze. Mieszkańcy Słuszczyzna przewidywali, że w różny sposób mogą zabierać trzodę chlewną, bydło, a nawet konie. Tabory ukraińskie dość szybko podążyły dalej na zachód, a w ich miejsce zjechało dużo taborów i żołnierzy niemieckich. Pragnąc zejść im z oczu z naszym żywym inwentarzem, głównie krowy i konie zapędziliśmy do pobliskiego lasu i tu kilka dni i nocy pilnowaliśmy tego ubogiego naszego majątku ruchomego. Front na Wiśle wyraźnie się stabilizował. Spodziewaliśmy się silnego boju, a więc i pożarów i innych nieszczęść. Mama z moimi siostrami, pod nieuwagę żołnierzy, zakopały na podwórku trochę miodu w słoikach, cukru, mąki i coś jeszcze. Ponadto do sporej piwnicy

pod śpichlerzem tak mama z siostrami, jak i ktoś od wujka Fonka, od sąsiadów, a więc od Żuchowskich, Pałków i Rogalińskich - pownosili i tu ukryli jakąś część "majątku" i Tu zamaskowali. Czy coś z tego ocalało i ile to już nie pamiętam.

Chyba 1 sierpnia 1944 r. wieczorem, pozostawiłem w lesie na opiece znajomych krowy i konia i przyszedłem do wsi, do domu. Ledwo zdążyłem ujrzeć i przywitać swoich najbliższych i już nadszedł sołtys z żołnierzami niemieckimi oświadczając, że jeden mężczyzna z naszego domu musi pójść nad Wisłę, do kopania okopów. Zabierali ojca. Podeszedłem do sołtysa i zaproponowałem abym ja mógł pójść zamiast ojca. Ofertę przyjęto i za chwilę już znalazłem się w grupie osób w ten sposób we wsi zebranych. Zaczęło się ściemniać i w towarzystwie kilku żołnierzy niemieckich ruszyliśmy w kierunku Wisły. Po przejściu około 2 kilometrów zaczęło wyraźnie "pachnieć" frontem. Mijaliśmy uszkodzone pojazdy, przemy grubszej amunicji, a nawet nie wielkie grupki wycofywanych na odpoczynek, zgarbionych żołnierzy niemieckich. Nad skarpą pomiędzy byłym majątkiem Raj, a wsią Sadkowice zatrzymaliśmy się. Mogło być około 11 godziny w nocy, ciemno, lecz Wisła przebłyskiwała przed nami. Tuż przy niej przebiegała pierwsza linia frontu. Z bliskiej odległości słyszeliśmy strzały niemieckich karabinów maszynowych i strzały pojedyncze. Żołnierze niemieccy polecieli nam kopanie kilofami i szpadlami kolejnej linii okopów. Niestety grunt był zwirowaty i kamienisty. Nawet po godzinie pracy nie byliśmy głębiej w ziemi jak do kostek u nóg.

W tej sytuacji żołnierze sprowadzili nas po skarpie na dół. Znaleźliśmy się na drodze prowadzącej od strony Solca w kierunku Sadkowic. Ustawili nas czwórkami i zarządzili marsz w kierunku południowym.

W Sadkowicach i Pawłowicach dołączyły do nas kilkunastoosobowe

grupki takich samych jak my robotników okopowych. W Czekarzewicach wchłonęliśmy jeszcze jedną, tym razem większą grupę. Zbliżyliśmy się do szosy biegnącej z Tarłowa do Lipska. Tu mieliśmy nieco dłuższy postój. Stanowiliśmy być może kompanię cywilów, głodnych, obdartych, zmęczonych i niewyspanych. Stąd, już pod wzmożonym żołnierskim konwojem ruszyliśmy w kierunku Maruszowa. Robił się dzień. Gdzieś po półtorej godzinie marszu znaleźliśmy się w środku wsi.

Któryś z mieszkańców Maruszowa, jak się później okazało niezłe zorientowany, półgłosem poinformował nas, że pod Długowolą wsadzą nas na samochody i dowiozą do Ostrowca Świętokrzyskiego do pociągu. Stąd do kopalni w południowych Niemczech. Taka perspektywa mi nie odpowiadała. Zacząłem się rozglądać wokół siebie. Zauważyłem, że znajduję się w trzeciej czwórce od końca. Po bokach mojej kolumny kroczą w odstępach konwojenci, lecz z tyłu jest tylko jeden. Częściej ma oczy wpatrzone w szosę, aniżeli w nas. Szybko znalazłem się w drugiej czwórce od końca. Niech ci boczni eskortujący idą jak najbardziej do przodu, a ja do tyłu, niech odległość między nami się zwiększa. To wtedy ten jeden idący z tyłu żołnierz nie pozostawi kilku czwórek bez opieki i nie pobiegnie za mną. Ci ^{wiem} ~~ni~~ też nie będą skłonni do pościgu, gdyż rozpierzchnie im się cały konwój. Po przeprowadzeniu takiego rozumowania, w odpowiednim momencie wyskoczyłem z szeregu, prawym łokciem z całej siły uderzyłem w furtkę, na szczęście skobel odskoczył, ~~wy~~padłem na podwórze, zaliczyłem kilka płotów w kierunku przeciwnym do marszu kolumny i zeskokczyłem na dno dołu ziemniaczanego.

Pracująca tu kobieta wystraszyła się i dość głośno krzyknęła. Uspokoilem ją, zdjąłem i zwinąłem marynarkę, dla zmylenia pogoni, zawiązałem rękawy u koszuli i zacząłem nabierać kartofle do stojącego obok wiadra. Po kilku, a może po kilkunastu minutach po drabinie wyjrzałem na zewnątrz. Po konwoju nie było śladu. Pomaszerowałem,

a później pojechał na zachód, aż do kamieniołomów w Austrii, czy w Niemczech, już nie pamiętam.

Gdzieś o godzinie 11 przed południem byłem już w Słuszczynie. Niemcy, kwaterujący w naszym domu oczywiście poznali mnie, ale na temat wydarzeń ostatniej doby nie rozmawialiśmy.

Przez kilka następnych dni i nocy znów opiekowałem się krowami i koniem w lesie. Ludzie jakoś domyślali się, lub może wiedzieli dzięki przeciekom wiadomości od żołnierzy niemieckich, że zanoszą się na coś poważniejszego. 5 sierpnia Henio też przyszedł do lasu, ale ja, tknięty jakimś przeczuciem odprowadziłem w tym dniu konia do stajni we wsi.

W tych trudnych i jak w czasie całej okupacji niemieckiej niebezpiecznych lipcowo-sierpniowych 1944 r. dniach, 40 kilometrów na południe od Słuszczyzna, w Strochcicach pod Sandomierzem wydarzyła się tragedia. Wojska radzieckie atakowały Sandomierz od wschodu przez Wisłę. Ostrzeliwały miasto i okolice z artylerii. Dziadek Antoni Nurowski udał się na wzgórze za stodołą w celu zebrania nieco zboża i paszy dla potrzeb rodziny i inwentarza żywego w gospodarstwie. Nagle nadleciał pocisk artyleryjski, rozerwał się, a odłamki trafiły dziadka śmiertelnie. Z wielkim trudem wśród frontowej strzelaniny zdołano pochować dziadka na cmentarzu w Sandomierzu. Urodzony w 1868 r., zginął w 1944 r. mając 76 lat życia. 10 lat przeżył babcie Katarzynę.

Wysiedlenie

Przedrzemaliśmy i tę noc pod jakimiś lichymi kocami i 6 sierpnia 1944 r. /Dzień Przemienienia Pańskiego/ przyniósł [↓]hobową wieść. Oto raniutko, chyba jeszcze przed wschodem słońca przyszedł do nas, do lasu Stefan Łomnicki z Koloni Las Gliniański. Zawiadomił nas, że Niemcy zdecydowali całkowite i natychmiastowe wysiedlenie, na

razie w nieznanym kierunku, wszystkich mieszkańców Słuszczyna. Na spakowanie rzeczy do zabrania wyznaczyli bardzo krótki czas, chyba pół godziny. Spojrzeliśmy z Heniem po sobie i zgodnie stwierdziliśmy, że należy natychmiast biec do domu i usiłować pomóc rodzicom i siostram przy tym pakowaniu. Wkrótce byliśmy na skraju lasu. Przyczailiśmy się i krótko naradzili. Przed nami stosunkowo wąski, może stumetrowej szerokości pas tak zwanego "błonia", a na nim nieco warzyw i kęпка konopi. Dalej droga przez wieś, a za nią nasz dom. Na drodze dostrzegamy żołnierzy. Doszliśmy do wniosku, że przez tak krótki czas wiele rzeczy się nie spakuje, a nawet i te, które ewentualnie uda się jakoś zebrać mogą się nie zmieścić na niewielki, żelazny wóz, do którego może się uda zaprząć, będącego na szczęście tej nocy w stajni, naszego, słabego konia. Ponadto przynajmniej najmłodsze rodzeństwo należało na tym wozie umieścić. Zdecydowaliśmy zgodnie, że jeden z nas wystarczy do tego pakowania, a drugi wróci pilnować krów. Ja się podjąłem dojazdu do rodziny. Henio mi wręczył kilka tysięcy złotych, pożegnaliśmy się, Henio w las, a ja do wsi.

Po przejściu kilkunastu kroków nagle wyrósł przede mną żołnierz niemiecki. Na razie odwrócony był do mnie tyłem, obserwował wydarzenia na drodze. Aha, pomyślałem sobie, wieś otoczona. Zdażyłem jeszcze wejść w dość wysokie konopie i próbowałem doczołgać się do wsi. Żołnierz zauważył mnie. Przywołał mnie do siebie i wskazując ręką samochód-budę polecił mi, abym się tam udał. Lecz, gdy przystanąłem na drodze, zamiast "tam", poszedłem naprzeciwko, do swojego domu. Zastąpiłem rozpacz, krzątanie, bieganie i płacz. Mama, gdy mnie zauważyła, załamała ręce i powiedziała, że to, co mieli zabrać, już zapakowali na wóz, więcej się nie zmieści. Po co przyszedłeś? Wszystkich młodych, a szczególnie mężczyzn Niemcy odzielają i zabierają.

Nie było czasu na dłuższą rozmowę. Przeszedłem przez podwórze i znalazłem się za stodołą, z perspektywą znów na wschód, na Wisłę, tak jak kilka dni wstecz, gdy prowadzono mnie do kopania okopów. Obejrzałem się do tyłu, spojrzałem w lewo, w prawo i żołnierzy nie dostrzegłem. Z miejsca dość szybko ruszyłem w kierunku Sadkowic

Nie wiedziałem, że Sadkowice i pozostałe w tym pasie wioski, też w tym dniu są wysiedlane. Po przebiegnięciu kilkudziesięciu kroków, usłyszałem z tyłu głośnie, nerwowe, powtarzające się: halt, halt, halt. Wykręciłem głowę do tyłu, nie zatrzymując się na razie i dojrzałem coś dłuższego, skierowanego w moją stronę. Oho, ma pistolet maszynowy lub coś z tego rodzaju. Zatrzymałem się więc i wykonałem kilka kroków na spotkanie żołnierza. Przyjrzałem się dokładniej i dopiero teraz rozpoznałem, że ma tylko wyciągniętą rękę, a w dłoni trzyma krótką broń. Bluzę miał rozpiętą, był mocno zziębnięty. A, w takim razie będę uciekał. Żołnierz zaczął strzelać, wyraźnie słyszałem świst kulek. Żołnierz gonił i ciągle strzelał. Wykonywałem zygzaki. I gdy zaczęło mi się wydawać, że nie dam się dopędzić, nagle przede mną spostrzegłem grupę żołnierzy idących od Wisły, w moim kierunku. Padłem w koniczynę. Na brzuchu się wolniej ucieka. Gdy odwróciłem do tyłu głowę, ujrzałem stojącego za mną żołnierza, w odległości może 8, 9 metrów, bezskutecznie pociągającego za spust krótkiej broni. Prawdopodobnie wystrzelał wszystkie naboje, ale nie byłem tego pewny. A może ma gdzieś zapasowy magazynek? Podniosłem się, żołnierz ^dpošzedł do mnie, dłoń z rewolwerem oparł na moim ramieniu i tak doszliśmy do samochodu-budy we wsi. Wokół było sporo żołnierzy, a wśród nich niższy lecz tęższy, rumiany oficer. Prowadzący mnie żołnierz, w randze podoficera polecił mi się zatrzymać i złożyć dowódcy meldunek. Cokolwiek znałem język niemiecki i wydawało mi się, że podoficer

oskarżył mnie m. in. o to, że ja do niego strzelałem. Zareagowałem i swoją nieudolną niemczyzną powiedziałem, że to nie ja strzelałem, tylko podoficer strzelał goniąc mnie.

Skutek był taki, że dowódca zapytał: "Więc jak to właściwie było? Coś podoficer powiedział i kazał mi wejść do samochodu. Tu było już kilku znajomych mieszkańców Słuszczyna, wcześniej schwytanych, a więc Wygoda, któryś z Szymanowskich, Franciszek Żuchowski i kilku innych. Po kilkunastu minutach albo mama, albo któraś z sióstr podały mi kawałek chleba. Poczułem się pewniej. Co kilka minut kogoś ze wsi do samochodu doprowadzano, tak, że gdzieś po godzinie w budzie było pełno i ciasno. Weszło jeszcze ze trzech żołnierzy do pilnowania nas i jeszcze przed południem samochód ruszył.

Jechaliśmy przez Las Gliniański ^{W kierunku Walentynowa} Droga była zatoczona samochodami niemieckimi i furmankami wysiedlonych od rana mieszkańców wsi. Jechaliśmy więc powoli. Wśród wymijanych furmanek zauważyłem powożącego wujka Fonka z rodziną i z rzeczami. Swoje, pierwotne własne własne konie wujek miał zabrane już wcześniej. W tym dniu posługiwał się "zastępczym" koniem, maści ciemnej, małym, lecz dość krępy kucykiem, przekazanym mu przez Niemców "w zamian". Przed Walentynowem wujkowi Fonkowi, wujkowi Antkowi, furmance naszych rodziców, Franciszkowi Szewczykowi i innym, udało się wyłączyć z konwoju i skrócić dróżką w prawo, w las, w kierunku Lisin.

Z późniejszej relacji rodzeństwa / np brata Zygmunta - 10-letniego wówczas chłopca/ wiem - /bo już byłem, jak już wspomniałem wraz z siostrą Krystyną /Zofią/ oddzielony od rodziny/, że po ucieczce z konwoju kilka wyżej wymienionych wozów /w bok od krzyża koło Walentynowa/ na skrzyżowaniu głównych, leśnych dróg, doszło do wzruszającego spotkania - nas - "uciekierów" z obserwującym z lasu posuwającym się konwój - bratem Heniem. Spotkanie to i być może odprężenie nerwowe /poza wsią w lesie/ - wyzwoliło głównie u mamy

/ 46-letniej wówczas kobiety/, rozrywające serce łkanie, skomlenie, rozpacz, poplątane z modlitwą, za oderwanych od nas "Genia" i Krysię. Najbardziej wytrwale, cierpliwie i umiejętnie mamę uspakajał Henio.

Po krótkim postoju - kilka wozów bliskich sobie rodzin przedostało się na kilka dni i nocy - pod dęby, na swoim polu w Lisinach. Tam Henio doprowadził z lasu krowy. Stąd, też z obawy przed polowymi żandarmami na koniach rodzice z częścią ocalonego rodzeństwa wyjechała kilka kilometrów w kierunku zachodnim, do Józefowa. Jak to się stało, że w takim zgiełku, wyjeżdżające z różnych miejsc wsi wozy, bliskie i potrzebne sobie rodziny spotkały się w wystraszo-nym tłumie i uciekły, to chyba cud.

Nas natomiast dowieziono do początku wsi Maruszów, mniej więcej do tego miejsca, skąd w początkach sierpnia uciekłem z konwoju. Tu wysadzono nas, podchodziliśmy do jakiejś komisji przy stoliku i wyglądało na to, że Niemcy usiłowali dokonać ewidencji dowiezio-nych osób. Ludzie się jednak kręcili, przemieszczali, wzajemnie poszukiwali i wyglądało na niewielki, ale bałaganik. Jednak ekipa, która nas tu ze Słuszczyzna dowiozła zdołała poinformować wspomnia-ną wcześniej "komisję przy stoliku" o tym, że ja w Słuszczyźnie uciekałem. Niemcy wymienili głośno moje nazwisko, otoczyli mnie dookoła i raczej na pół wesoło zachęcali mnie, abym im opowiedział o tym, jak to było przy wysiedleniu, w jaki sposób ja Niemcom uciekłem. Coś tam brząkałem i polecono mi wejść do stojącej w po-bliżu stodoły, gdzie było już sporo osób. Przed stodołą, a może w środku mogliśmy się napić zbożowej kawy. Zaczęło się zmierzchać. Prawie wszystkim polecono powrócić do jednego lub drugiego zapola. Znowu wymieniono głośno moje nazwisko, wydzielono mnie z grupy i pozostawiono samotnego na klepisku. Oprócz innych żołnierzy prze-bywających wokół stodoły, przed wrotami stał dodatkowo wartownik.

Było już dobrze po północy, gdy nastąpiła zmiana warty. Po

akcencie zorientowałem się, że przy wrotach stanął Niemiec-Słazak. Ten wkrótce pozwolił mi wejść na razem, do grupy w zapolu. Nareszcie trochę odetchnąłem, ale do rana nie mogłem usnąć.

Około 7 godziny polecono nam wychodzić przed stodołę i gromadzić się wokół stolika. Znow padło moje nazwisko z ostrzeżeniem bym się nie ważył dokonywać kolejnych ucieczek. Chyba ^m papiliśmy się kawy i czwórkami pomaszzerowaliśmy w kierunku Tarłowa. Ludzie z coraz większym wysiłkiem poruszali nogami. Po kilku przerwach i postojach za Czekarzewicami i za rzeką Kaminną, przed wzniesieniem, skręciliśmy polną dróżką w prawo, a przed nami był las. W szeregach, półgłosem zaczęto rozważać to najgorsze, że tu mogą nas Niemcy wykończyć. Lecz po pewnym czasie, między sosnami zaczęliśmy dostrzegać jakieś płoty, bariery, budyneczki, pojazdy i stopniowo, coraz więcej ~~z~~ ^e ~~z~~pnierzy. Wkrótce znaleźliśmy się na ogrodzonym żerdziami leśnym terenie, strzeżonym przez uzbrojonych wartowników. Okazało się, że trafiliśmy do przyfrontowego obozu pracy w Potoczku, zarządzanego przez "Cada", w obrębie lasu potoczckiego.

Zaczęto nas kierować do poszczególnych kwater. Podprowadzono nas bliżej końca tego dużego terenu i wskazano szopę krytą słomą, która miała stanowić nasze schronienie przed deszczem. Szopa mogła pomieścić 8, 10 osób, a nas było ponad 20. Ale przebiegła mi przez głowę myśl, że prawdopodobnie nasza grupa powoli będzie topnieć, kurczyć się, maleć i niebawem może być w szalasię luźno. Takich szop-szalasów było wiele.

Już dobrze po południu 7 sierpnia 1944 r. nieco uspokojony zacząłem dyskretnie krążyć między szalasiemi. Nagle natknąłem się na prowizoryczną kuchnię. Pod dachem z gałęzi, na kamieniach stał z znacznych rozmiarów kocioł i parowało z niego, przy nim kucharz z dużą drewnianą chochlą, z długą czarną brodą i mieszał chochlą w kotle. Chwile stałem zdumiony, a w tym czasie kucharz rozmawiał

z innymi mężczyznami, będącymi w pobliżu kotła. Wszyscy ^{byli} byli bez bluz, bez marynarek, tylko jak ja w zniszczonych koszulach i spodniach. Zorientowałem się, że rozmawiają po rosyjsku. Wszyscy mieli niesamowicie długie brody i wąsy. Dopiero po dłuższej chwili dowiedziałem się, że oni to tacy sami nieszczęśnicy jak i my. Z tą tylko różnicą, że w tym obozie przebywają dłużej, ponad pół roku. Są wycofywani na zachód razem z armią niemiecką gdzieś od Donu, ciągle w tym obozie pod "wezwaniami Cada". Część z nich pracuje w kuchni, a większa część przy przygotowywaniu i reperacji coraz to nowych okopów, bunkrów i innych schronów. I nas to czeka. W pewnej chwili kucharz zapytał mnie czy wiem, że w Warszawie wybuchło powstanie i dlaczego ja się tu znalazłem, a nie wśród powstańców. Na zakończenie tej rozmowy wyjął chochlą z kotła kawałek jakiegoś ochłapu, była to ugotowana skóra, wydawało mi się, że cielęca i dał mi to prost^o w ręce. Schwyciłem skórę z wdzięcznością i radością i chociaż parzyła, ale nie czułem. Natychmiast się wykręciłem, skierowałem się w kierunku naszego szałas^u i większą część tej skóry zjadłem. Poczuję się lepiej, Resztę skóry oddałem znajomym w szałasie.

Zacząliśmy uzupełniać i wymieniać między sobą wiadomości o pozostałych naszych najbliższych i znajomych, z którymi nas rozdzielono. Mimo tego, że w szczegółach nie wiedzieliśmy jaki los ich spotkał, to jednak ze szczątkowych wypowiedzi, różnych skojarzeń, spostrzeżeń, podsłuchanych fragmentów rozmów, przypuszczeń i domysłów - odtwarzaliśmy przebieg wysiedlenia. Jeszcze tego samego dnia trafnie, jak się później okazało zlokalizowaliśmy pobyt naszych rodzin i znajomych. Typowaliśmy wioski w kierunku Sienna, a więc Długowolę, Józefów, Władysławów, Porębę, a nawet Lisiny, najbliższej Słuszczyzna. Przez te kilka godzin nie zdążyłem się dowiedzieć, że do tego samego obozu "Cada" w Potoczku dowieziono

również, kolejnym transportem moją siostrę i jej koleżankę Zofię Pałczankę.

Tymczasem zbliżyła się sierpniowa ciepła, pogodna, wygwieżdżona noc. Na niebie wisiał duży, czysty, ^e srebrny księżyc. Zbliżała się 22 godzina, 7 sierpnia 1944 roku. Niemcy zarządzili zbiórkę. Wylegliśmy z naszych nor i szałasów przed obóz, na leśną trawiastą dróżkę. Jeść nam oczywiście nie dano. Ustawiono nas w dwuszeregu, a było nas prawdopodobnie w sumie kilkaset osób. Zapanowała cisza. Nagle usłyszeliśmy donośny głos komendanta: "Nurowski, wystąp, Nurowski, wystąp". W pierwszej chwili nie brałem tego do siebie, nie domyślałem się, że to o mnie chodzi. Stałem sobie spokojnie. Gdy moje nazwisko nadal było wywoływane, ludzie w szeregach zaczęli się oglądać wokół siebie. Nagle zrozumiałem, że to właśnie ja mam wystąpić. Tak też uczyniłem. Żołnierze zaczęli głośno powtarzać: Ist da, ist hier. Powoli, majestatycznie zaczął zbliżać się w moim kierunku szef obozu, komendant Cad. Na jakieś 15 metrów przede mną zatrzymał się. W świetle księżyca widziałem go doskonale. Stał wyprostowany, ale uniósł nieco obydwie ręce i rzekł głośno: "Ty już dzisiaj uciekałeś Niemcom, jak ty śmiałeś to uczynić?" Już mi się zatarło w pamięci co mówił więcej, w każdym razie pamiętam jego ostatnie słowa: "Jeżeli spróbujesz uciekać z tego obozu, to cię schwycimy. Powieszają cię na tej oto sośnie". Zapowiedział też, że w razie komplikacji wszyscy muszą wrócić do obozu.

No, no, nieciekawie mi się to zapowiada, ale nie było czasu na rozmyślanie. Oto żołnierze stali już przy stercie narzędzi pracy, jakimi mieliśmy się posługiwać^a w pierwszej linii okopów nad samą Wisłą. Rozdawanie rozpoczęli ode mnie. Otrzymałem szpadel i kilof, pozostali otrzymywali albo jedno, albo drugie. Dochodziła 10³⁰ w nocy, gdy otoczeni żołnierzami ruszyliśmy w kierunku Wisły. Szliśmy tak może 40 minut, może godzinę. Pilnujący nas żołnierze byli

grzeczni, cisi. Nie przestrzegaliśmy specjalnie wyrównanych szeregów. Za obozem w kierunku Wisły i okopów las rzedniał, a jeszcze bliżej Wisły w ogóle go nie było. Tymczasem po drodze, podobnie jak poprzednio gdy byliśmy doprowadzani do obozu, mijaliśmy stopy amunicji, jakieś czołgi na pozór całe, ale nie wiadomo czy uszkodzone, czy w dobrym stanie, fragmenty jakichś pojazdów, bandaż i inne akcesoria świadczące o skutkach wojennego działania, tylko, że tego wszystkiego było teraz więcej. Powoli zaczęliśmy schodzić po pochyłości, a gdy uważniej spojrziałem przed siebie dojrzałem stalowy pas Wisły. Szliśmy nieco w dół, wzdłuż pól. Znalazłem się przy miedzy i starałem się od niej nie oddalać. Bądź co bądź było tu wprawdzie niewielkie, ale zagłębienie.

Polecenie żołnierzy by zachować ciszę, za chwilę kolidowało z tym, co niebawem nastąpiło. Równoległe do nas, w odległości kilkudziesięciu metrów, też w kierunku Wisły podążał jakiś wielki czołg niemiecki. Hałasował niesamowicie.

W pewnym momencie wszyscy zaczęliśmy się pochylać, a ja nawet padłem w rowek przy miedzy. Może po kilku, kilkunastu sekundach podniosłem głowę i jak to mówią zatkało mnie. Tuż za Wisłą, po stronie radzieckiej zabłysło. Długi pas tamtego brzegu stanął w ogniu. "Co to może być!" - zacząłem się zastanawiać, lecz nie długo. Nagle zaczęły padać wśród nas i jak gdyby rozrywać się nad naszymi głowami jakieś miny. Za chwilę usłyszałem nieco przyciszony głosy: "Katusze, katusze." I zaczęło się dziać coś, czego do tychczas, prawie przez 5 lat wojny nie widziałem. Niemcy zaczęli się wycofywać, a za chwilę biec szybko do tyłu. Podniosłem się i ja spod miedzy, trzymając w dalszym ciągu w jednej ręce kilof, w drugiej szpadel. Do tyłu, do tyłu, coraz szybciej.

Poczułem, że ktoś chwycił mnie za pasek przy spodniach. Obejrzałem się. Dwóch Niemców. ^H Nier grabe, wskazał ręką w kierunku

Poczułem, że ktoś chwycił mnie za pasek przy spodniach. Obejrzałem się. Dwóch Niemców. Hier grahe, wskazał ręką w kierunku ziemi. Rzeczywiście usiłowałem kopać. Ale w tej zwirowatej ziemi nie szło to łatwo, ani kilofem, ani szpadlem. A tu nad głowami i wśród nas rozrywają się i padają miny. Może wygrzebałem dołek głębokości 15 centymetrów i już jeden z Niemców wepchnął w niego głowę. Drugi bezradnie trzyma mnie za pasek. Ruszamy znów do tyłu. Ciężko mi. Rzucam najpierw kilof, a za chwilę szpadel. Miny rwą się nadal. Wszyscy uciekają. Nagle obracam się wokół własnej osi i Niemiec przewraca się. Uciekam na zachód, byle dalej od Wisły.

W pewnej chwili zorientowałem się, że katusze już do mnie nie sięgają. Lżej mi. Lecz artyleria maca, uderza. Świeże niebezpieczeństwo. Uciekam dalej. Artyleria krótkiego zasięgu już niegroźna pozostała w tyle. Po kilku chwilach znalazłem się pod potężnymi, wyjąłymi kulami artylerii dalekosiężnej. Ale to już mniej groźne. Kule padają gdzieś obok, ale dużo rzadziej. Już od kilku chwil zwolniłem bieg, idę normalnie, lecz uważnie. Przypomniał mi się nakaz komendanta obozu, że w przypadku rozproszenia się przy Wiśle, wszyscy mają wracać do obozu. Orientuję się, że pozostał on ode mnie gdzieś na prawo w dół. Spojrzałem w tamtym kierunku. O, nie, nie wrócę. Przecież jestem wolny.

Prosto z góry nade mną, na niebie, wspaniałe, świecący, srebrny księżyc. Gdzie niegdzie gwiazdy, zrobiło się zupełnie cicho, bezwietrznie, ciepło.

Wtem zamajaczyła przede mną, w poprzek wioska. Wyraźnie widzę stodoły. Powoli, skradam się ku nim. Już jestem całkiem blisko, słyszę jakieś chrapanie, jakby stękanie. Pomiedzy stodołami widzę przerwę duży prześwit. To wiejska, tak zwana wystawa, przybudówka do stodoły, z dachem, lecz bez ścian. Normalnie to tu gospodarze przechowują drobniejszy sprzęt rolniczy, końską uprząż, czasem

zgraby z pola, nieco słomy. Tym razem zdrętwiałem. Leżą i śpią żołnierze niemieccy. Obok mundury, pasy, broń. Przy lewym boku wystawy nieco luźniej, tędy przechodzę cichutko. Przejście prowadzi obok domu, za nim droga przez wieś. Wychylam się, nie widzę żadnych postaci. Szybciej, tylko kilka kroków i znów pola. Szybciej, dyskretnie oglądam się do tyłu. Nic podejrzanego nie widzę, wieś śpi.

Wchodzę w wąskie pole łubinu, sięga mi zaledwie do kolan. Tak idę ze 300, 400 metrów. Teren nieco podnosi się. Przed sobą dostrzegam jakiś jaśniejszy pas. Słyszę charakterystyczny tupot końskich kopyt. Tak, to szosa Ożarów-Tarłów. Wpatruję się, na koniach jakieś postacie. Chyba to polowa żandarmeria. Kto od Wisły zdołał tu dojść i sam z entuzjazmem nie wrócił do obozu, może być do niego doprowadzony.

Odczekałem kilka minut, cicho. Podczołguję się na łokciach, brzuchu i kolanach jak najbliżej szosy, spoglądam w lewo, w prawo, nic nie widzę i w ten sam sposób, na brzuchu, jak najszybciej przeczołgałem się w poprzek przez szosę i wcisnąłem się w jeszcze nie wykoszone żyto. Staram się spokojniej oddychać. Ale muszę odczołgać się jak najdalej od szosy, tzn wiem, że to muszę zrobić, usiłuję to zrobić, ale jakoś mi to nie wychodzi, poruszam się coraz wolniej, wydaje mi się, że w tym życie jest tak błogo, cicho, przytulnie i chyba usnąłem.

Poczułem chłód, jakoś jasno, obok i na ~~demną~~ żyto. Gdzie ja jestem? Skąd się tu wzięłem?

Od Potoczka do Potoka

Zaczynam intensywnie myśleć, przypominać sobie. Aha, to chyba było wczoraj. Obóz, Niemcy, wymarsz nad Wisłę do okopów, katusze, artyleria, śpiący we wsi Niemcy, noc, szosa, przeczołganie się

przez nią i żyto. Tak, to tu przez jakiś czas leżałem. Zacząłem się podnosić. Widzę, że do szosy jakieś 200 metrów. Niebezpiecznie. Nieco schylony, lecz za żytem widzę kępkę rachitycznego lasku. Tam się kieruję. Za laskiem znów kawałek pola przeciętego dróżką. Dostrzegam mężczyznę pasącego dwie krowy. Zbliżam się do niego. Mówię: "Dziń dobry", a on do mnie: "pan chyba z tego boju. U nas było wszystko słychać". Poczęstował mnie tytoniem, który zawinałem chyba w gazetę, zapaliłem. Zacząłem się zastanawiać, kto i gdzie mnie znów poczęstuje? Lecz nie jest tak źle. Przecież Henio w lesie pod Słuszczykiem wręczył mi chyba 2 tysiące złotych. Spojrzałem po sobie. Widzę, że resztką spodni zachowała kieszenie. Obmacuję je, wyczuwam banknoty. Żegnam się z gospodarzem i kieruję się dalej na zachód.

Przecinam pola, dróżki, łączki, także laski, w których gdzieś niegdzie znajduję kilka czarnych lub czerwonych jagód. Osób prawie, że nie spotykam. Raz, najwyżej 2 razy spotkałem jakieś panie, prowadzące za rączkę małe dzieci. Może to też wysiedlone z jakiejś miejscowości i na tym terenie znalazły miejsce czasowego pobytu? Wyraźnie odczuwam głód, ale uparcie podążam na zachód. Mogła być jakaś 10 godzina przed południem. Dochodzę do niewielkiej wioski to Leopoldów, idę drogą. Spostrzegłem, że z nogawek u spodni wyglądają gołe nogi. Skręciłem do pierwszego lepszego domku, wszedłem na podwórze.

Na progu przed domkiem siedziała nieco już starsza kobieta. Usiadłem obok niej. "Pan chyba Niemcom uciekł?" - zapytała. O, cie licho, jakbym miał na czole napisane."Tak,-odrzekłem,-może ma pani kawałek nitki z igłą?". " A, tak mam/" i wkrótce wyniosła z domu dużą igłę i grubą, lnianą nitkę. Zacząłem zszywać spodnie. Nawet nieźle mi to szło, lecz nie dokończyłem, bo gospośka krzyknęła "Panie, Niemcy". Urwałem nitkę oddałem wraz z igłą właścicielce przez moment stałem jak wryty. Gdzie ja się ukryję, nie mam prze-

cież żadnego dowodu osobistego. Nic innego ze mnie, tylko szpieg.

Szybko wyszedłem na drogę, spojrzałem w prawo i za wsią ujrzałem czubki sosen. Las, pomyślałem, zaczynam biec w tamtym kierunku, jak najszybciej, jak tylko mogę. Przede mną droga się nieco wznosi w górę. Już jestem w najwyższym miejscu. Obejrzałem się do tyłu. Kolejny raz zdrętwiałem. Na trzech koniach, przyklejeni do karków Niemcy. Wyraźnie widzę, że galopują. Jak najszybciej do lasu. Biegnę, lecz na igliwiu ślizgam się. Sosny grube, las rzadki, bez podszycia. Szanse ukrycia się prawie żadne. Biegnę jednak dalej. Nagle widzę jakąś szkółkę sosnową, o powierzchni połowy boiska szkolnego. Wpadam w środek. Sosenki małe, ale wchodzę na jedną z nich. Przygina się ku ziemi. Całe szczęście, że gęsto. Chwytam rękami dodatkowo jeszcze 2, ta na której siedziałem nieco się prostuje. I tak razem z sosenkami drząc, czekam co będzie dalej. Po krótkim czasie słyszę, jak żołnierze z 2 stron objechali mój lasek. Widocznie wzrokiem penetrowali po ziemi. Ja byłem nieco wyżej i nie spostrzegli mnie. Odjechali na skraj dużego lasu i jakiś czas pozostawali bez ruchu, słyszałem tylko ich rozmowę. W końcu rozmowa też ucichła, Niemcy odjechali.

Odczekałem jeszcze co najmniej z pół godziny. Na sosenkach i wśród sosenek zrobiło się upalnie, duszno. Pot ze mnie kapał. Na pewno dochodziło południe. Ostrożnie wyszedłem z lasu i wąską dróżką poszedłem w kierunku widocznych łąk. Przepływała przez nie rzeczka. Zdjąłem swoje sfatygowane ubranie i wykąpałem się.

Po drugiej stronie łąk, nieco na wzniesieniu ^zynów wioska. Zbudowania porządniejsze, robi wrażenie wioski zamożniejszej, bogatszej. Hm, myślę sobie, może tu być więcej świnek, drobiu, jajek, to i częściej mogą tu żołnierze zaglądać. Nie odważyłem się. Ominąłem ją polami i po kilku kilometrach doszedłem do wsi Eugeniów. Wioska też schludna, zadbana, powórka ogrodzone.

Wszedłem do jednego z domów i szczerze i otwarcie powiedziałem gospodyni, że jestem głodny i chciałbym coś zjeść. Sympatyczna pani domu ręką przez drzwi wskazała mi niewielki stolik z krzesłem na podwórzu, prosiła abym tam usiadł i chwilę poczekał. Rzeczywiście wkrótce przyniosła na tacy spory dzbanek białej, mlecznej, słodkiej kawy i kilka sporych kromek białego chleba z masłem. ^uZgryziłem dosłownie jeden kęs chleba i raz łyknąłem kawy. Wpadł bowiem na podwórko ktoś chyba z domowników i krzyknął: "Niemcy we wsi. Łapią." Momentalnie mieszkańcy tego domu zniknęli. Gdzie się pochowali, nie wiedziałem nie tylko ja, ale i na pewno nie wiedzieli Niemcy.

Uciekłem tym razem za stodołę, w pole, przebiegłem obok kilku kopiek żyta i w jedną z nich wszedłem do środka. Prawdopodobnie wchodziłem nie dość uważnie, bo zaczepiłem nogą o jeden snopek. To wystarczyło, by cała kopka przewróciła się i leżała w nieładzie. Ja ledwo byłem przykryty. Niemcy prawdopodobnie nie schwytyli we wsi młodych mężczyzn do kopania okopów, bo dość głośno wpadli na koniach między kopki żyta i gwałtownie je przewracali, poszukując ukrywających się. Do mojej rozrzuconej kopki nie dojechali, a ja podejrzewam, że sądzili, że już w tej kopce przeszukali. I to chyba mnie uratowało. Na polu buszowali dość długo, ale w końcu z niego zjechali. Do mojej sympatycznej gospodyni już nie wróciłem, śniadania nie dokończyłem.

Znów poszedłem na zachód, tym razem do dużego, niezbyt odległego lasu. Zbliżyłem się chyba do szosy Sienno-Ostrowiec Świętokrzyski. W odległości mniej więcej 20 metrów przed szosą, ^utym razem w dość gęstym podszyciu, siedząc skubałem resztki pozostałych na krzakach czarnych jagód. Po takim oto odpoczynku i upatrzeniu luki pomiędzy licznymi wojskowymi pojazdami, szybko przeszedłem na drugą stronę szosy, ciągle na zachód. Jeszcze przed wysiedle-

niem wiedziałem, że już w lipcu dokonywana była koncentracja żołnierzy Armii Krajowej, między innymi w lasach śląskich i starachowickich. Miałem więc nadzieję, że na jakiś oddział akowców się natknę.

Słońce obniżało się, należało maszerować dalej, z doświadczeń usiłowałem wyciągnąć wnioski. Wioski omijałem. W pewnej chwili zauważyłem, że przede mną, na dość jeszcze odległym horyzoncie, słońce zaczyna dotykać dużego kompleksu leśnego. Może właśnie to te lasy o których marzę, gdzie znajdę schronienie. Mimo, że nogi coraz bardziej się zaplatały, czubkami resztek letnich pantofelków coraz częściej zaczepiałem o wyniosłości, mimo tych niekorzystnych objawów - kroku przyspieszałem. Wyraźnie zbliżałem się do dużego lasu, gdy już zrobiło się prawie ciemno, stanąłem dosłownie przed jego ścianą. Jeszcze kilkanaście kroków w lewo i nagle ujrzałem prawie samotnie stojący dom. I znów obawa, niemal lęk. Kto tam mieszka? Jacy ludzie? Jak zareagują na mój widok?

Odważyłem się, otworzyłem drzwi i w dość mrocznej izbie ujrzałem dwie panie, młodszą i nieco starszą. Musiałem nieciekawie wyglądać, kiedy obydwie na moje: "Dobry wieczór" zaniemówiły. Na początk^a nie pozwoliły mi nic wyjaśnić, opowiadać, tylko prosto z mostu poleciły mi usiąść przy stole. Jadłem chyba jakąś zupę i nareszcie chleb z masłem i białą kawę. Dopiero teraz, pokrzepiony, opowiedziałem, ale też skrótowo, skąd pochodzę, przeżycia ostatnich nocy i dni, "katusze" i swój dotychczasowy marsz na zachód. Były to babcia i mama. Wkrótce zjawił się syn, mniej więcej w moim wieku. Krótko porozmawiali w trójkę i ustalili, że ja teraz pójdę przespać się do stodoły, a wczesnym rankiem, nawet przed wschodem słońca, 8 sierpnia 1944 r. zostanę przez syna doprowadzony do partyzantów z oddziałów "Potoka".

Ucieczki

Zanim usnąłem, leżąc na słomie pod jakimś lekkim okryciem, przed oczami i gdzieś w głowie przesuwano mi się moje wydostawanie się i ucieczki z rąk niemieckich na przestrzeni ostatniego roku, to jest od sierpnia 1943 r., do sierpnia 1944 r. Naliczyłem tego 7 ucieczek, a więc: szczęśliwy finał w sierpniu 1943 r. na ulicy Miodowej w Warszawie, ucieczka w maju 1944 r. ze strychu obory w Słuszczyńcu, ucieczka w początkach sierpnia 1944 r. z kolumny w Maruszowie, 6 sierpnia 1944 r. ucieczka w pole w czasie wysiedlania nas ze Słuszczyńca, 6 sierpnia w nocy 1944 r. ucieczka z obozu "Cada" w Potoczku, ucieczka Niemcom 7 sierpnia 1944 r. w Leopoldowie /ukrycie się na sosenkach/, ucieczka Niemcom też 7 sierpnia 1944 r. w Eugeniewie /schronienie się w kopkach żyta na polu/. Mając świeżo w pamięci przekazywanie przez Niemców, "z rąk do rąk" opinii o mnie jako o zdecydowanym uciekinierze, a także zapewnienie "Cada" w obozie w Potoczku, że w przypadku próby kolejnej ucieczki zostanę powieszony na sośnie za różne części ciała - jasnym i całkowicie uzasadnionym był przyjęty przeze mnie południowo-zachodni kierunek marszu i docelowe dotarcie do lasów Iłżeckich, starachowickich, bądź świętokrzyskich, do partyzantów. Oczywiście dla mnie było na obecnym etapie zrezygnowanie z kierunku północnego, a więc ze Słuszczyńca, Lisin, czy Lipska, gdyż tam, w przypadku wpadki i rozpoznania groziła mi śmierć.

W 1992 r., a więc 48 lat po przytoczonych wydarzeniach, moi młodsi ode mnie rozmówcy, a więc będący wtedy dziećmi, nie mogli zrozumieć dlaczego ja uciekając w sierpniu 1944 r. z obozu w Potoczku nie usiłowałem wrócić w okolice Słuszczyńca i Lipska, gdzie przecież należało przypuszczać, że pozostali rodzice i rodzeństwo. a zdecydowanie oddalałem się od tych miejscowości. Tak to syty nie

może zrozumieć głodnego, nawet w miarę bezpieczny - zagrożonego.

Niedawno przeczytałem: " Po ucieczce z niemieckiej niewoli po bitwie pod Kockiem "Mścigniewicz" zostaje przyłapany w Woli Okrzejskiej i skazany na rozstrzelanie. Wymknął się Niemcom w Żelechowie i przenocował w pobliskim gościnnym majątku Wilczyska pp Korzybskich. Wcześniej odmówił mu noclegu i radził wrócić do niewoli, znający go od dziecka dr Władysław Tatarkiewicz, kolega jego ojca, także profesora filozofii".^{14/} Innymi słowy: "Panie, wróć pan do Niemców, może pana zastrzelą?"

M Potoka

Jak zostało ustalone, bardzo wcześnie rano 8 sierpnia 1944 r. szybko przeszliśmy może 2-kilometrową odległość i znaleźliśmy się we wsi Podkońce. Kilkunastu żołnierzy AK z dowódcą dopilnowywało składania bodajże na 3 wozach bochenków chleba. Niedługo zbiórkę zakończono, mnie mój młody opiekun zarekomendował partyzantom stacjonującego oddziału.

Dostrzegłem, że oprócz mnie na wejście do lasu oczekiwał też nieco młodszy ode mnie, sympatyczny i z wyglądu zawadźacki chłopiec. Miał na sobie przyniszczony mundur niemiecki, nieco za duże buty z chlewami i na głowie zieloną furazerkę. Wszyscy ruszyliśmy w las, w kierunku stacjonującego oddziału "Potoka". Mniej więcej po godzinie marszu straż nas przepuściły i znaleźliśmy się na obszarze dużych sosen, dębów i sporadycznie innych drzew. Większymi i mniejszymi kępami rosło podszycie i runo leśne. W miejscach najbardziej zagęszczonych były poupychane namioty. Po terenie, w różnych kierunkach przechodzili młodzi chłopcy - partyzanci. Ubiór ich nie był ujednolicony, jedynie na rękawach mieli biało-czerwone opaski. Wielu z nich poruszało się z różnorodną bronią. Niektórzy siedząc, skupieni po kilku lub pojedynczo tą broń czyścili.

Wkrótce wszystkich wezwano do apelu. Ustawiliśmy się w dwusze-
regu. Najpierw przemawiał główny dowódca oddziału "Potok". Między
innymi przypominał o bezwzględnej konieczności przestrzegania re-
gulaminu obowiązującego w oddziale, skrupulatnego i uważnego pe-
nienia wart, o zakazie palenia ogniska, zachowywania spokoju i o
innych podobnych sprawach. Wypowiedzi "Potoka" uszczegóławiał,
a czasem rozszerzał podporucznik "Błyskawica" i chyba ppór "Dym".
Na koniec zabrał głos podchorąży, już nieco starszy, którego tytu-
łowano "szefem". Mówił głównie o sprawach gospodarczych. W końcu
zasygnalizował o wejściu do oddziału nas 2 nowych i ustalił, że
nieco w późniejszym terminie mamy zgłosić się do niego, a on doko-
na zarejestrowania nas i innych czynności z tym związanych.

Po śniadaniu składającym się z czarnej, gorącej kawy i ^{napewno} chleba, bo czy więcej coś było to już nie pamiętam. My z tym mło-
dym kandydatem w mundurze niemieckim przebywaliśmy w pobliżu sto-
lika szefa - podchorążego. Po godzinie , dwóch, wezwał nas do siebie.
Mnie wypytywał skąd przybywam, o przyczyny przyjscia do lasu,
pytał o pseudonimy dowódców z naszego terenu z nad Wisły i o podob-
ne sprawy. Moje wypowiedzi akceptował i zapytał o mój pseudonim.
Ja, jeszcze będąc we wsi, używałem pseudonimu "Abu-Kazem", to imię
jakiegoś bohatera arabskiego, wyczytane w książce. Podchorąży-szef
jakoś nie dosłyszał, nie zrozumiał i zdecydował: "będziesz"Kubek"
i tak już zostało.

Podobną indagację "szef" przeprowadził z tym młodym chłopcem
w mundurze. Okazało się, że pochodził z Wołynia, miał 16 lat.
Ukraińcy wymordowali mu rodziców i rodzeństwo. Jemu udało się
uciec do jakiegoś oddziału niemieckiego. Tu, z konieczności zade-
klarował chęć przejścia na służbę w Wehrmachcie. Ofertę przyjęto
i przydzielono go do taborów, do powożenia końmi. I tak od wiosny,
z Niemcami wycofywał się na zachód, aż w pobliże Ilży. Tu skorzys-

tał z pierwszej lepszej okazji do ucieczki i właśnie na Podkońcach dołączył do partyzantów "Potoka". Ma na imię Edzio, pseudonim "Pomsta". Obydwaj zostaliśmy więc przyjęci. Z tym, że mnie zaopatrzeniowiec przydzielił nowe ubranie, taką cienką granatową bluzę i spodnie. Z butami to już nie pamiętam jak było. Edzio chyba otrzymał tylko bluzę, a pozostał w spodniach i butach niemieckich. Wręczono nam jeszcze biało-czerwone opaski na rękawy.

Po przerwie chyba sam "Potok" i jego zastępca zapytali mnie z jaką bronią ja się dotychczas zapoznałem. Powiedziałem, że we wsi miałem przydzielony na kilka dni do poznania i konserwacji ręczny karabin maszynowy i zwykły "kabek". Tutej też powierzono mi RKM, z którym się nie rozstawałem, czyściłem i pielęgnowałem. Edziowi wręczono zwykły karabin.

Na zakończenie tych wstępnych rozmów i czynności podprowadzono nas do dwóch, obok siebie stojących, wypełnionych, sporych namiotów. Jeden, w którym znajdował się chleb, cukier, masło i chyba margaryna powierzono opiece Edzia "Pomsty", a drugi, wypełniony papierosami i czymś jeszcze to nie wiem, bo nie penetrowałem, powierzono mojej opiece. Wkrótce powiedzieliśmy sobie z Edziem, że jak nas bieda przycisnie, to będziemy wzajemnie i wymiennie się tymi artykułami wspierać. Bardzo rzadko takie wzajemne usługi sobie świadczyliśmy. Prostu nie zachodziła potrzeba.

Najbliższe dni przebiegały raczej spokojnie. Spaliśmy przy namiotach, gdzie kto znalazł sobie wygodniejsze miejsce, na gałęziach świerkowych na mchu i tp. Ja chyba zaraz pierwszej nocy przycisnąłem się do grubej, żywicznej sosny. Przez całą noc spadały na mnie jakieś drobne niewielkie kruszynki. To trochę łaskotało. Przekręcałem się z boku na bok, wspomagałem się ręką, którą z kolei opierałem o sosnę, to znów tą ręką pociągałem po szyi, bo łechotało to po koszuli, a szczególnie po kołnierzyku. Przez kilka godzin

ręka mocno się używiczyła, a od niej używiczyła się też koszula. Żywicy przecież z koszuli nie spierałem, tylko ją rozcierałem po kołnierzyku i niżej. Kołnierzyk i znaczna część koszuli stały się sztywniejsze, ale za to mocno pachnące żywicą.

Po kilku dniach zauważyłem, że moim kolegom dokuczają wszy. Usiłowali niszczyć je kijami, prać koszule itp. Mnie natomiast to utrapienie ~~nie~~ nie spotkało. Ani jedna weszka w mojej koszuli się nie znalazła. Żywica mocno wniknęła w koszulę, która od mojego ciała przybrała kształt zbliżony do niecki, ale po kilku dniach żywica wyschła, nie kleiła, a ja miałem spokój od robactwa.

Nagle przybyło sporo krów w naszym oddziale. Szef zdecydował, że Edzio i ja będziemy je przepędzać do niezbyt odległego jeziora, aby gasiły pragnienie. Braliśmy więc po śniadaniu chyba 2 wozy konne z metalowymi beczkami, ja na jednym z nich siadałem z RKM-em, Edzio z karabinem wierzchem na koniu, kilku kolegów pieszo po bokach i z tyłu stada i po kilkunastu minutach krowy pijąc wodę, jednocześnie się chłodziły. Wozy podjeżdżały blisko źródła, napełnialiśmy beczki wiadrami i po powrocie pozostawialiśmy je przy kuchni.

Jednego dnia ja zajęty czym innym, nie pojechałem z krowami, ani po wodę. Edzio mi opowiadał, że wracając zoczył kilkadziesiąt metrów z drogi i podjechał konno, z nienacka w pobliże obozu oddziału Batalionów Chłopskich, dowodzonego przez "Oskę". Wartownicy "Kałmucy", których "Ośka" miał sporo, pozwolili się Edziowi zaskoczyć, ten Krzyknął: "Ruki wierch", Edzio zabrał im broń i dwóch doprowadził do "Ośki" i przekazał mu ich. Co tam dalej było to niewiadomo. W każdym razie ten "wyczyn" Edzia potwierdzili inni koledzy.

Zbliżał się koniec drugiej dekady sierpnia 1944 r. Dowództwo oddziału postanowiło zabrać z miejsca postoju 2 duże pełne wozy

amunicji i zamelinować jakieś 10 kilometrów, poza oddziałem, na skraju lasu. "Szefem" drużyny mającej wykonać to zadanie został wyznaczony bodajże chorąży, czy podchorąży "Bukowy". Ja z RKM-em też wszedłem w skład tego oddziałku.

Zaczęło się ściemniać, gdy ruszyliśmy z placówki. Przemieszczaaliśmy się dosyć długo, gdzieś do 3 godzin. Ciężkie wozy posuwały się powoli i skrzypiały niesamowicie. Ale przed północą usłyszeliśmy ujadanie psów we wsi. Oznaczało to, że nasza straż przednia dotarła do wyznaczonego miejsca. Wozy z amunicją już na początku wsi zniknęły mi z oczu. Ja z RKM-em ubezpieczałem od strony jakichś pól, ale przebywałem na podwórzu jakiejś gospodyni. Chętnie bym się pożywił, ale nie było czym. Zrywaliśmy tylko jabłka z jabłoni.

Wyładowywanie skrzynek z amunicją trwało z półtorej godziny. Już rozwidniało się, gdy bez przygód zameldowaliśmy się na placówce.

Na razie życie płynęło tu spokojnie, Ale w niektóre dni, już od wczesnych godzin przedpołudniowych lotnik niemiecki, choć wysoko, ale uparcie krążył nad nami. Staraliśmy się wtedy mniej poruszać, przebywać raczej pod drzewami. Innym razem we właściwym czasie niepouczony, niedoświadczony, zbyt młody, bez wyobraźni, a więc bez możliwości przewidywania konsekwencji, zwracał się do starszego wiekiem partyzanta: "wujku Kaziku, wzięłeś z domu ... to i to?" Takie przejawy dekonspiracji trochę mnie niepokoiły. Pochylony pod drzewem czyściłem RKM. Obok rozmawiało kilku kolegów. Jeden powiedział nieco głośniej: "Piotr, buty mi się psują. Muszę pójść na szosę dobrze się przycząć i buty będą". Z tym się nie mogłem pogodzić. Wewnętrznie się buntowałem przeciwko takiemu stawianiu sprawy. Walkę partyzancką traktowałem jako wymóg wyższej konieczności. Owszem na moich oczach Niemcy dokonywali niesamowitych bestialstw. Ale czy my mamy w podobny sposób Niemcom od-

płacać? Mama , prosta kobieta, rzadko, bo ciągle była zapracowana, ale w obliczu mordowania np Żydów, mówiła: "Życia, tego fenomenu nikt nikomu nie dał i nie ma prawa mu go zabierać". To pamiętam do dzisiaj. Ale pomijając takie roztrząsanie sprawy, już ze względu na nasze , własne bezpieczeństwo, wewnątrznie nie akceptowałem takiego zdobywania butów, odzieży, żywności, czy czegokolwiek.

Było oczywiste, że partyzant z naszego oddziału nie poszedł "na szosę" kilkadziesiąt, czy sto kilometrów. Musiał on być blisko takiego wydarzenia, najwyżej kilka, kilkanaście kilometrów. Czy trudno wtedy zidentyfikować miejsce pobytu naszego oddziału? Takie spostrzeżenia martwiły mnie.

Dwie dekady sierpnia minęły. Front na Wiśle zatrzymał się. Powstańcy Warszawscy już 3 tygodnie walczą i giną. W lesie mamy skąpe na ten temat wiadomości. Łapię się na tym, że nadal mam przy sobie pieniądze, które mi Henio wręczył na pożegnanie. Ale one w obecnych warunkach nie przedstawiają dla mnie najmniejszej wartości. Ale niech tkwią w kieszeni, może później się przydadzą. Nadal nie mam wiadomości o rodzinie: rodzicach, rodzeństwie, o kuzynach, krewnych, znajomych. Gdzie oni wszyscy są? Co się z nimi dzieje?

Dowództwo nasze spodziewa się wymarszu na pomoc walczącej Warszawie. Chyba 21 sierpnia, zaraz z południa nastąpiło w oddziale ożywienie. Mamy przygotować się do wymarszu. Przeglądamy broń, odzież, jesteśmy raczej skupieni, czujemy też, że będziemy właśnie użyci. Gdzieś może w drugiej połowie po południu, na drodze, przecince leśnej ustawiamy się w jednym długim szeregu. Ostatni przegląd żołnierzy i broni. Wydaje mi się, że prezentujemy się nieźle. Sporo broni maszynowej, zwykłej, granatów. Otrzymujemy wiadomość, że wszyscy nie pójdą. Około dwustu pozostanie na placówce. Około trzystu, a wśród nich i ja - idziemy.

Do zmroku szło się nieźle. Widno, wiadomo, gdzie nogą stąpnąć.

Po drodze jakiś dom, częstują nas jabłkami. Nie dla wszystkich wystarczyło. Chociaż noc i ciemno, my ciągle idziemy. Bywają i przerwy w marszu, lecz, ledwo się zdrzemniemy - znów dalej, w kierunku Pilicy. Iść coraz trudniej, czujemy zmęczenie. Jeśli w poprzek drogi, czy dróżki było wzniesienie, grobla, mnie się wydawało, że widzę zagłębienie i wypadałem z rytmu, a jeśli był rowek - wydawało mi się, że to wzniesienie. Wtedy wpadałem w niego, uderzałem kolanami o ziemię. Gałązek sosen nie było widać, z nienacka uderzały w oczy, w twarz, po ciele. Zaczęło się rozwidniać, a my ciągle szliśmy. Dopiero gdzieś około 8 godziny rano, ostrożnie, weszliśmy w małe, zaledwie kilkuletnie sosenki. Podano rozkaz absolutnej ciszy i bezruchu. Przeważnie leżymy, bo gdy się stanie to głowa wystaje ponad lasek. A jednak od nas, kilkadziesiąt metrów w lewo, w prawo widziny duży las. Ale nie możemy tam wejść, bo podobno niebezpiecznie. Jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni. Przez czołgi niemieckie, "Kałmuków" - Własowców na koniach i przez jakąś piechotę. Właściwie to w tym lasku leżeliśmy przez cały dzień do wieczora.

Zachodziło słońce, gdy powiedziano nam, że rozkazem gen. Bora-Komorowskiego wymarsz na pomoc Warszawie został wstrzymany, odwołany. Podobno na Pilicy są zapory niemieckie nie do przebycia. Ponadto my z lasu nie nadajemy się do walk ulicznych w mieście.

Doszło do buntu, część oficerów oświadczyła, że mimo wszystko oni marszu nie przerywają, idą dalej do Warszawy. Staliśmy wszyscy w jakimś szeregu. Jakiś oficer stanął przed nami i krzyknął: "Chłopcy, idziemy, kto ze mną?" Chwila ciszy. Wtem stojący obok mnie młody szczupły, wysoki podchorążak odpowiedział: "Ja idę"; I już nie pamiętam, bo i wszystko dojrześć było nie łatwo, czy ja naprawdę wystąpiłem jako drugi, czy w dalszej kolejności. W każdym razie znalazłem się w czołówce bodajże 18 desperatów zdecy-

ratów zdecydowanych iść na pomoc powstańcom warszawskim. Gdy już nikt się nie zgłaszał nasz nowy przywódca polecił nam zabrać tym, którzy wracają, najlepszą broń maszynową, broń krótką, granaty i co kto uważa. I o dziwo. Mimo tego, że wracających była przęgniatająca większość, oddawali nam swoją broń bez oporu. Ja zaopatrzyłem się w dwa pasy koalicyjne, pas główny, do których poprzyczepiałem same angielskie granaty obronne. Oczywiście prócz tego jakąś broń maszynową. Gdy już wyglądaliśmy jak fortece, na rozkaz nowego dowódcy ruszyliśmy z miejsca na Warszawę.

Tym pozostałym i wracającym się przecież wszystkim broni nie zabraliśmy. Wnet szybko się na nowo zorganizowali, bokiem, lasem wyprzedzili nas, zastąpili drogę, otoczyli i zaczęli krzyczeć: "poddajcie się." Po chwilowej konsternacji zaczęliśmy się poddawać, tym razem oni rozbrajali nas.

Znów na nowo uorganizowaliśmy się i nastąpił powrót w ilżeckie, tam, skąd wyruszyliśmy. Tym razem entuzjazmu w szeregach nie było, wracaliśmy z pospuszczanymi głowami, bardziej potykaliśmy się o nierówności, gałęzie z jakąś większą siłą uderzały w oczy, twarz i piersi. Na którymś przystanku odnalazłem mój RKM. W noc, z którymś z oficerów przestreliliśmy go dla sprawdzenia jego sprawności. Już rano dotarliśmy na nasze pierwotne miejsce postoju pod Iłżą.

Na urlopie

Może na 2 lub 3 dzień po powrocie dowództwo oddziału zaleciło, aby ci, którzy mogą ^{wracali} wracać do rodzin. Front na Wiśle pozostaje bez ruchu. Przewiduje się trudności w aprowizacji. "Ośka" z BCh przygotowuje oddziały byłych własowców do przerzucenia na wschód, do której to sprawy wrócę jeszcze nieco później. Wojska niemieckiego na tych terenach coraz więcej, a więc i coraz trudniej ukryć

się. Można uzyskać urlop z lasu. Pomyślałem sobie, że może uda mi się odszukać moją rodzinę. Nieco po południu, we trzech zgłosiliśmy się do raportu. Ja powiedziałem, że od 6 sierpnia nic nie wiem o moich najbliższych i może spróbowałbym ich odnaleźć. Uzyskaliśmy zgodę i ruszyliśmy w kierunku Wisły.

Musieliśmy iść bardzo uważnie, do wieczora i przez całą noc. Gdzieś w okolicach Józefowa koło Sienna dwaj moi koledzy przybrali kierunek bardziej południowy, gdzieś na Tarłów, a ja, jakoś podświadomie pomyślałem o Władysławowie. Między groblami kartofli, przez grykę i resztki zbóż, czołgając się na brzuchu, na kolanach i zgięty zbliżałem się do majaczących przede mną zabudowań. Wschodziło słońce. Kogoś spotkanego na drodze zapytałem, czy przypadkiem nie przebywają w tej wsi wysiedleni od strony Wisły. Powiedziano mi, że ~~tu~~ owszem tak, niedaleko mieszka rodzina ^(Fadrów) Fadrów ze Słuszczyzna. Ucieszyłem się bardzo, bo przecież to byli nasi dalsi krewni. Wkrótce witałem się z Józkiem, moim rówieśnikiem /Józef ~~M~~der zmarł 19 marca 1992 r. w Krakowie/. Poprowadził mnie na strych jakiegoś niewielkiego chlewika. Odsunął słomę i ujrzałem stertkę pachnących gruszek-ulęgałek. Ułożyliśmy się obok i jedząc wypytywałem jak ostatecznie przebiegało to wysiedlenie. Z kolei Józkiowi opowiedziałem swoje przeżycia. Gruszek zjedliśmy sporo, a szczególnie ja. Dowiedziałem się, że moja rodzina zatrzymała się nie daleko stąd, we wsi Kolonia Józefowska.

Gdzieś po 2 godzinach witałem się z ojcem, mamą i rodzeństwem. Zamieszkali w pokoiku sympatycznych gospodarzy Nowakowskich razem z rodziną Pękalów z Dziurkowa. Ciasno było niesamowicie. Wkrótce poczułem, że zaczyna się dziać coś niewesołego z moim żołądkiem. Zaczęły wzmagać się bóle. Poszedłem do stodoły i położyłem się w zapolu na słomie. Henio tymczasem młócił cepami obok na klepisku. Ból w żołądku był tak wielki, że zacząłem tarzać się i głośno

krzyczeć. Henio zapytał czy przypadkiem nie rodzę.

Mnie nie było do śmiechu. Momentami wydawało mi się, że umieram. Ale gdzieś po półtorej godzinie ból zaczął ustępować i wieczorem czułem się już całkiem nieźle.

W tym czasie, kiedy ja przemieszczałem się od Potoczka do "Potoka", w Słuszczyńcu i okolicy miały miejsce dramatyczne sytuacje. 6 sierpnia 1944 r. ojciec z mamą i ze starszymi siostrami, co mogli to powkładali na nasz niewielki drabiniasty wóz ciągniony przez poczciwego "gniadego" i w kolumnie przez Las Gliniański podążali w kierunku Walentynowa. Z pół kilometra przed tą wsią udało się ojcu wyłamać z kolumny i śladem wujka Fonka schronić się z rodziną w Lisinach. Wieczorem dojechali do Koloni Józefowskiej. Krysi i Zosi Pałczance udało się po tygodniu uciec z Potoczka. W czasie wysiedlenia 6 sierpnia 1944 r. w Słuszczyńcu Niemcy zabili gospodarza Jana Pawlińskiego, próbującego się ukryć.

Tymczasem wujek Fonek, przedwojenny kawalerzysta, chłop jak tur, dobry i zamożny gospodarz, nie mógł się pogodzić z zabraniem mu przez Niemców ulubionych koni. Gdy znalazł się z kucykiem na wysiedleniu w pobliżu Józefowa, zorientował się, że z kucykiem nie wykorzysta nawet tych niewielkich szans, jakie stworzyli Niemcy, pozwalając wysiedlonym dojeżdżać do pól opuszczonego Słuszczyzna, zwozić co nieco zboża i uprawiać ziemię. Dowiedział się, że Niemcy przetrzymują zabrane mu konie na słabo ogrodzonym ^(pół-placu) polu-placu, na północ od szkoły w Słuszczyńcu. O różnej porze doby podchodził pod ogrodzenie i z ukrycia obserwował spędzone tu konie, tak, niemieckie, jak i zabrane mieszkańcom Słuszczyzna i sąsiednich wiosek. Najslabiej konie były pilnowane w południe, w porze obiadowej.

Jednego dnia zauważył swoje konie zaprzęgnięte do wozu. Wujek zaryzykował. W biały dzień, chyłkiem wpadł na plac, poklepał swoje konie, które mu odchrząknęły na znak, że go poznają, wskoczył na

wóz, chwycił lejce, cmoknął, a konie podobno z miejsca przestały dotykać kopytami ziemi. Wóz płynął w powietrzu. Jak szaleńcy wpadli do lasu i po kilku chwilach już półtora kilometra było poza nimi. Nim Niemcy zorientowali się, co się stało, wujek z końmi i wozem już byli ukryci w stodole w Józefowie, jakieś 8 kilometrów od Słuszczyzna. Nie ujawniał się z końmi przez kilka dni. Po pewnym czasie, wraz z innymi wysiedleńcami rozpoczął dojeżdżanie odzyskanymi końmi na pole w Słuszczyźnie i uprawiał je. Jeszcze 5 miesięcy, a teraz już trójka wujkowych koni, cała jego rodzina i wszyscy wysiedleńcy, którzy oczywiście przeżyli, powrócili do zniszczonych na wpół rozebranych, ale do własnych domów.

Tymczasem ja doszedłem do zdrowia i z Heniem, czasem z ojcem młóciliśmy zboże, jakie udało się, w zasadzie półukradkiem, do wieść z pól Słuszczyńskich na Kolonie Józefowską. Mełło się gdzieś w wyszukanym młynie, lecz na razówkę, z której wypiekało się przeważnie chleb lub podpłomyki. O pytlu na kluski, czy na jakieś ciasto, raczej nie myśleliśmy. Udało się nam z naszych pól przywieść trochę ziemniaków, buraków i na tym z konieczności poprzestaliśmy.

Babcia Marianna w dniu wysiedlenia znalazła się na wozie wujka Antka i dojechała z nim na Józefów. Po uprzednim złamaniu ręki w wywrotce przeładowanego wozu w Lisinach, niestety w połowie września zmarła w wieku 74 lat życia i została pochowana na cmentarzu w Aleksandrowie. Na pogrzebie nie byłem, gdyż tak moi rodzice, rodzeństwo i kuzyni odradzali mi jako niedawnemu partyzantowi afiszowanie się w najbliższych wioskach.

Gdzieś na przełomie października i listopada 1944 r. Niemcy pozwolili zasiedlić sąsiadującą ze Słuszczyzną wieś Kolonię Las Gliniański. Słuszczyźnowi, jako bardziej "Krnąbrnemu", karnie nie pozwolili. Tam też, w domu wujka Antosia Kalinowskiego nasza ro-

dzina wraz z innymi doczekała przejścia frontu, 12 czy 13 stycznia 1945 r.

Samoloty radzieckie gdzieś od października do grudnia 1944 r. latały, przeważnie po dwa, nisko, nad polami i domami na zapleczu frontu. Podobnie jak samoloty niemieckie w późniejszych dniach września 1939 r. Raz na polach znalazłem ulotkę zrzuconą z samolotu radzieckiego o treści: "Ta ulotka służy jako przepustka dla niemieckich żołnierzy i oficerów przy poddawaniu się do niewoli czerwonej armii".

Nieco wcześniej, bo gdzieś na przełomie sierpnia i września 1944 r. Niemcy wspomagani przez własowców, otoczyli miejsce pobytu oddziału "Potoka". Gdy się o tym dowiedziałem, ubrałem się i przygotowałem bardziej odpowiednio, aniżeli to miało miejsce w początkach sierpnia i jednego, pochmurnego dnia postanowiłem znów dojść na placówkę pod Iłżą. Młodzi, jakich spotykałem, odradzali mi ten marsz. Tłumaczyli, że pierścień w wykonaniu wojsk okrążających jest tak szczelny, że o dojściu nie ma co marzyć. Zawróciłem więc do rodziców i rodzeństwa będących jeszcze w domu w Kolonii Józefów.

Jednego dnia choć było już chłodno, ale ze względu na ciasnotę w domu, jedliśmy śniadanie na podwórku. Przysiadł się do nas gospodarz Nowakowski. Ja już skończyłem posiłek i zapaliłem papierosa. Gospodarz scyzorykiem wydrubywał z niewielkiej, żółtej, metalowej łuski naboju, jakiś twardy, mocno ubity proszek. W pewnym momencie poprosił mnie, bym przypalił ten proszek papierosem, to gilza szybciej się opróżni. Nie przyglądałem się wiele temu co robił i machinalnie przystawiłem papierosa. Momentalnie nastąpił głośny i silny wybuch. Największe uderzenie poszło w genitalia gospodarza. Skulił się, spadł z krzesła i z trudem wszedł do mieszkania. Ja wystraszony poszedłem za nim. Gospodarzem zajęła się żona. Czuję, że i mnie nie ominęło. Pociągnąłem ręką po brodzie, a tu na

ręku krew. Spojrzałem do lusterka. Od nosa w dół, a więc broda, szyja i klatka piersiowa były we krwi. Umyłem się i dopiero po dłuższym czasie, gdy krew przestała płynąć zauważyłem w moim ciele mnóstwo drobnych cząsteczek rozerwanej łuski. Część od razu wy-skubałem, ale duża część została na długo w ciele. Jeszcze po roku, a może i po dwóch wyjmowałem z brody, szyi i piersi te maleńkie drobineczki. Gospodarza dowieziono do lekarza, który stwierdził, że nie zaistniało nic groźnego.

Po kilku dniach, ostrożnie, weszło na nasze podwórze trzech Niemców. Zorientowałem się, że mają już dość obrony potężnej Trzeciej Rzeszy. Posiedzieli w zasłoniętym miejscu, odpoczęli i skierowali się do pobliskiego lasu.

Jeśli chodzi o przerzucenie przez "Oskę" niektórych swoich oddziałów przez Wisłę na wschód, to po dwudziestu kilku latach przeczytałem, że "dowódca Obwodu Radomsko-Kieleckiego Armii Ludowej postanowił tych alowców, którzy nie mogli powrócić do swych rodzin - skierować przez front na teren lubelszczyzny. Było ich 765 /Polacy, Rosjanie, Niemcy, Żydzi/. Dowódcą całej grupy został kpt Tadeusz Łęcki "Orkan". W nocy z 27 na 28 października 1944 r. przerwali front w okolicy Chotczy. Poległo ich przeszło 100 /S. Skwarek, 1971 str 109/.

Może w połowie grudnia 1944 roku dało się zauważyć, że tak jakby ostrze hitlerowskiego miecza było nieco stępione. Ucichły większe łapanki do kopania okopów, a nawet Niemcy pozwolili nam wracać w pobliże Słuszczyzna. Skwapliwie z tej okazji skorzystaliśmy. Załadowaliśmy nasz skromny mająteczek ruchomy na wóz, ktoś z nas poprowadził krowy i znaleźliśmy się u wujka Antosia Kalinowskiego we wsi Kolonia Las Gliniański, jakieś 400 metrów od naszego zrujnowanego domu w Słuszczyźnie. Przybył tu też wujek Fonek z rodziną, kuzyn Bronisław Kalinowski z rodziną, Pękalowie i jeszcze jedna

rodzina Jaroszków z Sadkowic. Ciasno było niesamowicie, wprost nie można było się pomieścić. Spaliśmy gdzie się dało, najwięcej z nas poza domem. Np synowie Bronisława Kalinowskiego: Zenon i Kazik spalili cały okres /do wypędzenia Niemców/ w stercie słomy na podwórzu, inni w stodole, wujkowie: Pękala, Fonek, Antoś gdzieś przy boku w oborze, ja na murze ściany obory pod dachówką, Jarosz z rodziną gdzieś w podwórzu i td. Tu też Niemcy nas chwyтали, ale rzadko i na krótki okres. Ojca raz zabrali do wsi Glina, jakieś półtora kilometra od domu, do kopania stanowisk dla armat. Ale po kilku godzinach zwolnili. Raz jakiś Jugosłowianin w służbie niemieckiej zaplował na Henia i na mnie. Mnie udało się ukryć gdzieś przy oborach, a Henio wbiegł po schodach na ~~stych~~ i wszedł do dużej beczki. Jugosłowianin się zorientował, wyciągnął Henia stamtąd i niesamowicie się nad Heniem wytrząsał. Chyba mamie udało się jakimś datkiem tego żołnierza udobruchać i odszedł sobie.

Zima się zbliżała, wystąpiły dość silne mrozy, ziemia stwardniała. Schwycił mnie jakiś żołnierz, poprowadził z pół kilometra od domu, dał mi szpadel i polecił kopać jakiś krótszy, ale głębszy okop. Niewiele można było tu szpadlem zdziałać. Wykopałem tylko wąski otwór w ziemi, głęboki może na 70 centymetrów i Niemiec kazał przerwać robotę. Umieścił w otworze granat na rączce, zerwał zawleczkę i zaczął uciekać, a ja za nim. Po kilku sekundach granat wybuchł, sporo ziemi wyleciało w górę, a mnie polecił wrócić do domu.

Jakoś wkrótce zaistniała okazja do podjęcia pracy w charakterze pracownika fizycznego, w odległym jakieś 3 kilometry od naszego domu leśnictwie. Dołączyło jeszcze kilku mężczyzn ze Słuszczyzna i z Kolonii Las Gliniański i jeszcze przed Bożym Narodzeniem rozpoczęliśmy ścinanie mniej wydarzonych sosen w lesie w pobliżu Dziurkowa. Ścięte piłami sosny najpierw obcinaliśmy z gałęzi i te układaliśmy

w szańcu. Ogołoczone sosny rżniliśmy na metrowej długości kawałki. Te z kolei siekierami i różnymi klinami rozłupywaliśmy na cieńsze szczapy. Dopiero teraz układaliśmy z nich albo metry sześciennie albo, nieco większe tak zwane "Festmetry" i ustawialiśmy je w miarę wyrównanymi rzędami. Przez te kilka tygodni przygotowaliśmy kilkanaście ^{"festmetrów"} ~~"festetów"~~ drewna opałowego. Za pracę mieliśmy otrzymać z leśnictwa wynagrodzenie w formie jakichś bezugscheinów.

Tymczasem zbliżyły się święta Bożego Narodzenia 1944 r. Do wsi, a więc i do wujka Antosia dojechali Węgrzy oraz kilkunastoosobowy oddział konnicy rosyjskiej, będący w służbie Niemców. Były to prawdopodobnie ostatnie dni życia tych młodych żołnierzy, niektórych prawie jeszcze dzieci, których przybywające wojska radzieckie najczęściej rozstrzeliwały. Młodszy ode mnie brat Zygmunt, który częściej się z nimi spotykał przypomniał mi niektóre ich imiona - nazwiska?, np: Sekir, Kserkses /czy Kserkse/, Adam - Ban i inni.

Atmosfera uległa wyraźnej poprawie, nastąpiło odprężenie. W wigilię wszyscy wysiedleńcy zebraliśmy się w stosunkowo dużej izbie wujostwa. Przy bardzo skromnej wigilijnej kolacji śpiewaliśmy kolegię, uzalaliśmy się nad naszym losem, przepowiadaliśmy przebieg nieuchronnie zbliżających się nowych wydarzeń. Do izby weszło kilku młodych Węgrów. Częstowaliśmy ich jakimś sałatkami, rybami, a nawet znalazło się kilka kieliszków bimbru. Jeden z młodych Węgrów powiedział nam, że zabrano go do wojska na rok przed ukończeniem przez niego seminarium nauczycielskiego. My też informowaliśmy ich, że już ponad 4 lata nie mamy żadnych możliwości uczenia się, że jeszcze na najniższym poziomie, przy całkowitym wyeliminowaniu z nauczania historii i geografii, raczej sporadycznie funkcjonują jedynie rachityczne szkółki podstawowe. Natomiast z całą bezwzględnością Niemcy zlikwidowali szkolnictwo ponadpod-

stawowe. Węgrzy byli zaskoczeni, o takiej sytuacji nie wiedzieli. Porozchodziliśmy się już późniejszym wieczorem.

Być może, że był to drugi dzień świąt. Wyszedłem w kierunku "dwunastek", tj. naszych pól słuszczańskich, na których nadal nie można było przebywać. Naprzeciwko mnie jechało na konnym wozie kilku niemieckich żandarmów polowych. Było za późno, aby się wycofać niezauważonym. Bez dyskusji kazali mi ^Qwsiąść na ich wóz i chyba mnie tylko poinformowali, że pojedę do pracy w Niemczech. Mimo mrozu zrobiło mi się ciepło na plecach. Ruszyliśmy kilkanaście metrów. Scenę tą zauważył z podwórka wujek Antoś, mój chrzestny ojciec. Kilka kroków zbliżył się do nas. Zatrzymaliśmy się i jeden z żandarmów podszedł do wujka, pytając, czy przypadkiem nie ma jakichś smaczniejszych wiktuałów do jedzenia. Wujek w lot się zorientował, że może sprawę wygrać. Oświadczył, że jak wiadomo powszechnie panuje głód, przecież to pas przyfrontowy, miały miejsce wysiedlenia tutejszej ludności i zaistniały wielkie braki w wyżywieniu. Aby jednak nie uszczuplać zapasów niemieckich na karmienie przez nich siedzącego na wozie Gieniusia, to on natychmiast odszuka i wręczy żandarmowi okazały poćiec sadła, w zamian za moje uwolnienie. Żandarm przystał na to i za chwilę zaczął głośno wymawiać zdrobniale "Gieniuś", "Gieniuś". bo takie moje imię powiedział mu wujek. Siedzący na wozie obok mnie pozostali żandarmi powiedzieli mi, że mam iść do wołającego mnie. Natychmiast ochoczo to uczyniłem i już za moment stałem przy wujku i żandarmie. Ten ostatni oświadczył, że mogę pozostać w domu. Radość moja i wdzięczność dla wujka była wielka, a żandarmi pojechali znów w kierunku Walentynowa.

Po Nowym Roku nadal dochodziliśmy do pracy w lesie. Dnia, może 12 stycznia 1945 r. wieczorem wyszedłem z domu i po pewnym czasie usłyszałem bardzo silnie wzmocnione dźwięki płynące bądź to z głośników radiowych, bądź z potężnych megafonów. Dało się wychwycić

i odróżnić jakieś przemówienia, to znów muzykę, jak gdyby wezwania i temu podobne. Usiłowałem zrozumieć co to ma oznaczać, ale po chwili to wszystko odbierałem jak wielki hałas, to znów zgrzyt, lub nawet niezrozumiały bełkot. Wyraźnie podekscytowany udałem się na ~~st~~stych obory, gdzie miałem moje miejsce do spania. Pewien czas nadśluchiwałem, ale na zewnątrz nieco uciszyło się. Pomyślałem sobie, że to prawdopodobnie jedna z kolejnych form propagandy agitującej żołnierzy do przechodzenia na jedną, lub drugą stronę frontu. Następnego dnia znów przed godziną 8 rano poszedłem do lasu, w celu dalszego ścinania sosen i wyłupywania szczapiny. Wyraźniej jednak **s**łyszeliśmy artylerię, tylko nie wiedzieliśmy, czy to strzelają Niemcy, czy Sowieci. Im bliżej południa, tym wybuchy, głównie z dział artyleryjskich wydawały się bliższe i potężniejsze. Do domów udaliśmy się nieco wcześniej niż zwykle. We wsi pozornie było wszystko bez zmian. W pewnej chwili, na szerszej drodze w lesie słuszczyńskim, prowadzącej ze wschodu na zachód ujrzałem może 15 lub 20 trójek piechoty niemieckiej, podążającej właśnie w kierunku zachodnim. Gdy wszedłem na podwórze spotkałem mocno zatroskaną wujenkę Antosiową. Poinformowała mnie, że Niemcy, gdzieś około południa zabrali wujka Antosia z końmi, załadowali wóz różnym sprzętem wojkowym i wszyscy pojechali w kierunku Sienna. Do wieczora nic ponad to, co się dotychczas stało nie zauważyliśmy i raczej o zwykłej porze poszliśmy spać.

Rano okazało się, że resztki Niemców i wszyscy Węgrzy ostatniej nocy wyjechali. Węgrzy przez nieuwagę, czy celowo, pozostawili na podwórzu karabin i niewielki zapas amunicji. Wujenka to znalazła i przekazała mnie. Wkrótce zjawił się z końmi i z wozem wystraszony i zmęczony wujek Antoś. Opowiadał, że z Niemcami dojechał zupełnie blisko Sienna. Tam zostali otoczeni i zaatakowani przez wojska radzieckie, Niemcy zeskoczyli z jego wozu i ratując się każdy

na własną rękę, rzucili się do ucieczki. W tym niebezpiecznym rozgardiaszu wujkowi udało się wycofać i szczęśliwie wrócić do domu.

Tego dnia i w dni najbliższe przez Słuszczyn i Kolonię Las Gliniański nie przechodziły żadne kolumny, ani wojsk niemieckich, ani radzieckich. My szybko przeprowadziliśmy się do zniszczonego, swojego domu w Słuszczynie.

Przetrwanie, nauka, praca

Tu jedno z pierwszych swoich kroków skierowałem na strych. Niestety, roweru tam ukrytego przed wysiedleniem nie było. Ktoś skradł, czy zabrał, nie wiadomo. Braki w krzesłach, ławkach, stołach i szafach. Tam gdzie kiedyś były drzwi i okna pozostały tylko otwory. Należało wszystko szybko uzupełnić, bo przecież to była druga połowa stycznia, 1945 r., a więc zima. Uzmysłowiłem sobie, że przecież w tych kilkunastu, czy kilkadziesiątu ^{es} ~~fo~~tmetrach drewna, jakie w lesie pogotowaliśmy, odpowiednią ilość ja wykonałem. Chyba takie 3 festmetry ^{przywozłem} ~~przywozłem~~ do domu. Moi byli współpracownicy przyjęli to ze zrozumieniem, bo i oni po swoje części pojechali. Natomiast mieli poważne pretensje do naszego sąsiada Bronisława Pałki. Przywózł może ze 2 razy tej szczapiny, a ponieważ nie uczestniczył w jej wytworzeniu, nasłuchał się co niemiara.

Tak zakończyła się okupacja niemiecka na terenie, na którym prawie przez 5,5 roku przyszło mi żyć, przy ciągłym zagrożeniu życia, zmuszany do niewolniczej pracy, bez szkół i książek, w głodzie i w ogóle w okropnej nędzy. Sporo Niemcy zrobili w tym kierunku, abyśmy się nie rozwijali, nie doskonalili, lecz abyśmy dziczeli.

Kilka dni po wyjściu Niemców wybrałem się pieszo do wujka Józia Kalinowskiego, dyrektora gimnazjum i liceum w Opolu Lubelskim. U podnóża skarpy w Kłudziu ujarzałem zabitego, zmarzniętego żołnierza

niemieckiego. Pokrywa lodowa na Wiśle nie była jeszcze rozminowana. Co kilka metrów z lodu wystawały metalowe detonatory. Nogi musiałem wysoko podnosić, aby nie spowodować wybuchu miny. Chyba nikt przede mną jeszcze nie przechodził na drugą stronę Wisły w tym miejscu. Po lodzie między minami, na drugą stronę Wisły przeszedłem szczęśliwie. I wtedy być może, że nastąpiło u mnie jakieś dziwne odprężenie. Jak to mówią zaistniała przerwa w życiorysie. Nie pamiętam, absolutnie nie pamiętam jak szedłem za Wisłę z Piotrawina i Kamienia do Opolą. Nie pamiętam momentu wejścia do domu wujostwa, ani przywitania. Tłumaczę to sobie w ten sposób, że przez ponad 5 lat napięte do granic wytrzymałości szare komórki nerwowe samowolnie udzieliły sobie urlopu, wyłączyły się z pracy. Nie pamiętam, czy wkrótce do Słuszczyzna wróciłem, czy zostałem na okres kilku tygodni. W każdym razie wujostwo w Opolu wyrazili chęć przyjęcia kilkoro z nas, ze Słuszczyzna do siebie i na wznowienie przez nas przerwanej nauki szkolnej. Ale przerwa w myśleniu minęła i już pamiętałem, że wujek Antoś, dużym wozem przywózł do Opolą siostrę Irenę, Krystynę i swojego syna Zdzisława, późniejszego księdza. Ja zostałem przyjęty do IV klasy tamtejszego gimnazjum ogólnokształcącego. Może na niewielki, ale na plus wyróżniałem się spośród uczniów, głównie z języka niemieckiego i historii.

Ciocia Kama i wujek Józio to byli ludzie wielkiej klasy. Kulturalni, pragnący już nie pierwszy raz, z całego serca nam pomóc. W całej rozciągłości doceniałem te ich zalety, ale zdawałem sobie sprawę z tego, że na dłuższą metę kilkoro nas ze Słuszczyzna nie może ciągle tu przebywać. Prostu było za ciasno.

Gdy tylko dotarły do nas wieści, że Solec też się organizuje i niebawem mają być reaktywowane tak gimnazjum, jak i liceum, postanowiłem tam wrócić. Dobiegało chyba ze 2 tygodnie naszego po-

bytu u wujostwa w Opolu i ^{na} jednego dnia, w lutym, po lekcjach, wyruszyłem pieszo w kierunku Solca. Większą część drogi szedłem samotnie. Dopiero gdzieś w Kamieniu, w Piotrawinie znalazłem się wśród żołnierzy radzieckich, którzy też kierowali się na Kłudzie i na Solec. Do Wisły i przez Wisłę szliśmy w zgodzie, nie przeszkadzałem im. Dopiero gdy zeszliśmy na ląd po zachodniej stronie Wisły jeden z żołnierzy zdjął z ramienia pepeszę, wycelował we mnie i zaczął wmawiać kilku innym, że ja jestem szpieg. Szczęście, że się nie zdenerwowałem, nie speszyłem, lecz spokojnie wyjąłem z kieszeni marynarki zaświadczenie pisane po polsku, stwierdzające, że ukończyłem w Warszawie kurs samochodowo-^{motoryklowy}~~mechaniczny~~ i ono stanowi zastępczy dokument, zamiast oryginalnego prawa jazdy. Wręczyłem ten "papier" do rąk żołnierza, on przekręcił go "do góry nogami", coś pomruczał, nieco się udobruchał, w końcu dał mi spokój i pomaszerował do przodu. Ja wolałem nieco odczekać i znów w pojedynkę dojść do Solca.

Przed wieczorem jeszcze zdążyłem wejść na podwórko gimnazjum. Było tu trochę porozrzucanych kamieni, kawałków cegieł, desek, tekturowych i metalowych pojemników, papieru, miąku węglowego i tp Budynki, a więc główny /gimnazjalny/ i obydwie internatowe, tj żeński i męski z zewnątrz nie miały większych, widocznych uszkodzeń. Łomotały jedynie drzwi i okna, pootwierane w kilku miejscach. Na korytarzu budynku głównego spotkałem, jak się nieco później okazało p. dyrektora gimnazjum i liceum Antoniego Zychowicza, przedwojennego inspektora szkolnego. On tu właśnie od lutego do kwietnia 1945 r. porządkował i uruchamiał gimnazjum i liceum. Wyjaśniłem, że od końca stycznia 1945 r. do dzisiejszego dnia byłem uczniem IV klasy gimnazjum w Opolu Lubelskim, lecz że już przed wojną tu w Solcu uczyłem się i uwzględniając jeszcze korzystniejszą odległość od miejsca zamieszkania w Słuszczyńcu, pragnę kontynu-

ować naukę w Solcu. Oświadczył, że nie widzi przeszkód abym mógł realizować swój zamiar i prosił mnie jedynie o dostarczenie zaświadczenia o uczęszczaniu do klasy III już po wrześniu 1939 r., a także zaświadczenia o uczęszczaniu do klasy IV w Opolu. Po tygodniu wymóg ten spełniłem i w tym też mniej więcej czasie gimnazjum i liceum w Solcu nad Wisłą, po wojennej przerwie zostały otwarte.

Tymczasem w Słuszczyńcu Henio z trudnościami i przerwami, na niewielką skalę, ale do jesieni 1945 r. prowadził handel w Spółdzielni "Dobra Myśl". Wprawdzie po nowym, drewnianym budynku z 1944 r., tak, jak i po naszej stodole po wyjściu Niemców nie pozostał ślad, też go rozebrano do bunkrów i na inne cele, ale znów wrócił do pomieszczenia u Bronisława Kalinowskiego. Od 15 października 1945 r. pracował w Radomiu w charakterze praktykanta lustratorskiego, a w początkach 1946 r. przeszedł do Okręgu w Radomiu i w końcu marca 1947 r. uzyskał świadectwo dojrzałości w liceum matematyczno-przyrodniczym. W kwietniu 1947 r. objął kierownictwo rejonu lustracyjnego w Kazimierzy Wielkiej, pow. pińczowski. 15 października 1947 r. pracował w wydziale instrukcyjno-rewizyjnym CSS "Społem", ul. Grażyny nr 13 w Warszawie. Od 1 października 1947 r. rozpoczął studia w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie.

W roku zakończenia wojny nasz najmłodszy brat urodzony 15 grudnia 1939 r. Marian Romuald miał dopiero szósty rok życia. Do szkoły więc jeszcze nie poszedł, a dopiero w następnym tj od września 1946 r. Oczywiście klasę pierwszą rozpoczął w Słuszczyńcu. Nauczycielką i jednocześnie kierowniczką była tu od przedwojny nasza cioteczna siostra Eugenia Krupianka. Był to człowiek wielkiej dobroci i o takiej samej kulturze. Wkrótce jednak wyszła za mąż, też za nauczyciela i obydwójce wyjechali bodajże do Koszalina. Władze oświatowe przywróciły do pracy, przed wojną emerytowanego jej ojca Władysława Krupę. Wielkiej zacności to był człowiek, chodząca kultura

Seminarium nauczycielskie też kończył w Solcu, skąd zresztą pochodził. Marian Romuald do klasy IV był pod jego opieką, a klasy od V do VII kończył w Długowoli. Od 1 września 1953 r. Romuald zamieszkał u naszego brata Henryka w Warszawie, przy ul. Dobrej i podjął naukę w Technikum Budowlanym przy ul. Górnośląskiej, a następnie rozpoczął studia w Politechnice Warszawskiej.

Żelazną pozycją w repertuarze wujka Krupy przy nauczaniu dzieci śpiewu stanowiła piosenka:

"Przez zagony, przez pole,

Idzie sobie pachole,

Wielki wichur, ulewa,

Ono idzie i śpiewa,

Wyszedł z lasu gajowy,

Odezwał się w te słowy,

Taki wichur na dworze,

A ty śpiewasz Nieboże!"

Druga z rzędu nasza siostra Lucyna Stanisława /uwzględniając hierarchię "starszeństwa"/ najniższe Klasy od I do II też ukończyła w Słuszczyńcu, a klasy wyższe, do VII włącznie w Długowoli. Dochodziła tam pieszo razem z siostrą Barbarą i bratem Zygmuntem. Naukę w szkole średniej /w liceum/ rozpoczęła w Solcu. Krótko kontynuowała naukę w Milanówku mieszkając u nas, a maturę uzyskała w Wyszkowie nad Bugiem. Siostry: Barbara i Irena szkoły podstawowe ukończyły też w Długowoli, a Jadwiga Anna i Krystyna Zofia w Przedmieściu Dalszym koło Solca nad Wisłą. Ta ostatnia szkołę średnią ukończyła w Solcu, Kurs Nauczycielski w Kielcach, a już nieco później ukończyła w Warszawie Państwowy Instytut Pedagogiki Specjalnej, dział umysłowo upośledzonych.

Przez 2, lub może 3 lata, po zakończeniu wojny, ojciec nasz też wznowił pracę w charakterze nauczyciela w szkole podstawowej

w Glinie. Siły go jednak opuszczały, stan zdrowia pogarszał się i długo nie pracował. Byłem właśnie przed maturą w liceum w Solcu, gdy w jednym dniu wypadło mi zastąpić ojca w pracy. W maleńkiej "izdebce lekcyjnej", w drewnianym baraczkach ponemieckim, zgromadziło się ponad 40 dzieci. Trudno było ustalić ich zaawansowanie w nauce szkolnej, poziomy, klasy. Żadnych pomocy naukowych nie było. Ja też do prowadzenia zajęć lekcyjnych się nie przygotowałem, zastępstwo wypadło z nienacka. Trudny to był dzień.

Chyba to było pod koniec wojny, albo po styczniu 1945 r. Jasińska wyszła ~~po~~ raz trzeci za męża, tym razem za Maruszczyka. /Pierwszym jej mężem był Borek, drugim Jasiński, a trzecim właśnie Maruszczyk/. O ile dobrze przypominam sobie był raczej pracowitym i zapobiegliwym gospodarzem. Zginął w niewyjaśnionych okolicznościach po wojnie i pochowany pierwotnie na Kalinówku pod Krzyżem.

Jakoś wkrótce doszło do tragedii w rodzinie Blanków /gajowy w Słuszczyne/. Mała ~~A~~nia, pod nieobecność rodziców, zabawiła się w domu z nieco starszym braciszkiem. Ten, jak to dzieciak, nie przewidując, bez wyobraźni, przystawił jej niemal do ust albo fuzję ojca, albo znaleziony po wojnie karabin. Pociągnął za spust, śmierć nastąpiła natychmiast. Stało się to 5 kwietnia 1947 r. /Zabójca/ Jerzy brat, już kilka lat po wojnie jechał na motocyklu za jakimś ciężarowym samochodem. Gdzieś w okolicach Ciepiewa uderzył głową w tył samochodu i śmierć też nastąpiła natychmiast.

Przez kilkanaście dni znów chodziłem pieszo ze Słuszczyzna do Solca. Siostry: Krystyna i Barbara też dołączyły do mnie gdzieś w końcu marca 1945 r. Było to trudne, zaczęły się roztopy i błoto. Zaczęliśmy myśleć o jakimś pokoiku w Solcu. Budynek internatu żeńskiego nie całkiem był zajęty. Na wyższych piętrach urządzono izby lekcyjne, gdyż w budynku głównym przeprowadzano remont. Lecz na parterze znaleźliśmy mały pokoik, w którym pozwolono nam zamieszkać

ale może po 2 tygodniach musieliśmy się przenieść do budynku internatu męskiego, w którym na razie nic się nie działo. Tu spaliśmy na jakichś starych metalowych łózkach, a na prymitywnej kuchence z cegieł gotowaliśmy wodę na herbatę i kartoflanę, bo tylko to mieliśmy.

Gdzieś na przełomie kwietnia i maja 1945 r. będąc w Słuszczyńie wyciągnąłem z ukrycia węgierski karabin, przekazany mi przez wujenkę Antosiową. W odległości może 200 metrów od stodoł, na "dwunastkach", od przed wojny stała stara, zniszczona kosiarka. Postanowiłem sprawdzić sprawność mojego oka i kilka razy wystrzeliłem do metalowych jej części. Na tym się skończyło, ale po kilku dniach Stefan Łomnicki będący już milicjantem na posterunku w Solcu, dojechał do mnie i poprosił o oddanie karabinu, co też uczyniłem. Ale od tej pory byłem "persona non grata". Zaczęto dopytywać się o mnie, czy aby ja się tylko uczę, czy może jeszcze coś knuję, zaczęto obserwować. Przez miesiąc maj jeszcze się utrzymałem.

Teraz częściej dochodziłem do domu w Słuszczyńie, aniżeli noco- wałem w Solcu. Z lekcjami nie było trudności, gdyż może awansem, w czasie okupacji cokolwiek materiału programowego sam przerobiłem. Podręczniki w klasie IV mieliśmy przedwojenne i tak nauczyciele gimnazjalni jak i my uczniowie nimi się posługiwaliśmy. Np z geografii uczyliśmy się o Wileńszczyźnie, Polesiu, Wołyniu, Podolu jako o ziemiach polskich. Granicę na Bugu traktowaliśmy jako zjawisko przejściowe, tymczasowe. Gdy się zjawiałem po lekcjach, po południu w Słuszczyńie, zdążyłem jeszcze wywieść z obory na pole kilka wozów obornika, zaorać lub zabronować kawałek pola, urąbać nieco drewna na opał, lub wykonać inne prace, np w stodole. Ale w końcu maja 1945 r. zainteresowanie miejscowej milicji moją osobą wzrosło. Znów postanowiłem ze Słuszczyńa zniknąć.

Chyba w kwietniu 1945 r. zajrzał do gimnazjum w Solcu mój

kolega Marian Smyrgała z Woli Pawłowskiej. Nawet go namawiałem aby i on do nas dołączył, ale w konsekwencji wybrał gimnazjum im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. Pośrednio się dowiedziałem, że mieszka w oddzielnym pokoiku i to przeważyło o mojej decyzji. Zabrałem koc, poduszkę, trochę chleba, nieco jakichś innych wiktuałów, drobną sumę pieniędzy i z tym ojciec odwiózł mnie gniadym do Jasic koło Ćmielowa. Stąd, prawdopodobnie pociągiem towarowym przez Ostrowiec Świętokrzyski i Skarżysko, po kilku godzinach jazdy z postojami stanąłem w Kielcach. Odszukałem Mariana przy ulicy bodajże Zakolejowej i zamieszkałem z nim. W czerwcu i lipcu uczyliśmy się z Marianem dużo, wytrwale. Już przed 6 godziną rano, jeśli sprzyjała pogoda, szliśmy w kierunku Karczówki i tu w ciszy, na jakiejś miedzy czy dróżce, w zbożu, wkuwaliśmy zadane lekcje. Oczywiście po południu i wieczorem też.

Przed samymi żniwami, gdzieś na początku lipca odszukał mnie w Kielcach ojciec i wręczył mi jakieś trzy czwarte bochenka chleba. Siłą wstrzymywałem łzy. Odprowadziłem ojca na dworzec, wróciłem na stację i przyswajałem sobie tekst Tulliusa Cicerona *contra Catilinam*: "Quo usgue tandem abutere, Catilina, patentia nostra...", a także *Carmina XIX Aurea aetas. Aurea prima sata est aetas...*, z podręcznika Stanisława Skiminy dla IV klasy gimnazjalnej.

W tym roku ze względu na opóźnione otwarcie gimnazjum w Kielcach uczyliśmy się przez cały lipiec. Po kilkuletniej okupacyjnej przerwie naukę traktowaliśmy bardzo poważnie. Ukończenie IV klasy zamykało pewien etap, mianowicie otrzymaliśmy tak zwaną "małą maturę".

Nadbudową gimnazjum im Stefana Żeromskiego w Kielcach było 2-letnie liceum humanistyczne i bodajże 2-letnie liceum matematyczno-fizyczne. Ja przymierzyłem się do liceum humanistycznego. Należało pomyślnie złożyć egzaminy do liceum. W moim przypadku

pisemny i ustny z języka polskiego i ustny chyba z historii i niemieckiego. Po egzaminie pisemnym z języka polskiego, z pozostałych egzaminów zostałem zwolniony. Radość moja była wielka i już 2 sierpnia 1945 r. wyjechałem do Słuszczyzna. Włączyłem się do prac przy żniwach.

Sierpień miał się ku końcowi i po zastanowieniu się, doszedłem do wniosku, że raczej powinienem ukończyć 2-letnie wówczas liceum pedagogiczne w Solcu nad Wisłą.

Czas minął szybko i w czerwcu 1947 r., po złożeniu egzaminów uzyskałem dużą maturę. Świadectwo maturalne schowałem do skórkowej teczki, wypożyczonej mi przez kolegę Bolka Piotrowskiego z Kamienia, z za Wisły. W liceum, w roku szkolnym 1946/1947 spaliśmy w sypialni obok siebie. Zaprzyjaźniliśmy się.

Bolek opowiadał mi między innymi jak to na jesieni 1944 r. NKWD aresztowało go i wywiozło na Ural do kopalni węgla, na 2 lata.

- Wchodziło się w głąb ziemi kilkaset metrów - relacjonował Bolek - po oślizgłych szczeblach, zbutwiałych, powiązanych drabinek. Tak samo należało wydostać się na zewnątrz.

- Za co cię aresztowali - pytałem - przecież należałeś do BCh a nie do AK.

- Niemialo znaczenia - odpowiedział Bolek - NKWD wyjaśniło, że BCh też o AK zaczepiło.

Tak więc teczkę z maturą i ³zaświadczeniem o ukończeniu kursu samochodowo-motocyklowego wrzuciłem pod materac ~~w~~ swojego żelaznego łóżka w sypialni. Wszedłem odprowadzić kolegę Stanisława Czajkę do autobusu w rynku, w Solcu. W sypialni był wtedy jeden z kolegów. Gdy najwyżej po pół godzinie wróciłem do internatu, po teczce i zawartości nie było śladu. W pierwszej chwili pomyślałem, że ktoś ~~x~~ zrobił taki oto żart, kawał. Przeszukałem wszystkie łóżka w swojej i sąsiedniej sypialni, wszystkie szafy, piece i zakamarki.

Gdy nie znalazłem, powiadomiłem naszego wychowawcę, nauczyciela od śpiewu i muzyki pana Wacława Sebyłę. Znow szukaliśmy, tym razem obydwaj. Bezskutecznie. Uczniowie i absolwenci rozjeżdżali się do swoich domów. W tej sytuacji o zaginięciu teczek z dokumentami poinformowałem dyrektora gimnazjum i liceum pana Mieczysława Gawęckiego. Po kilku dniach otrzymałem duplikat matury. Wydarzenie to nie spowodowało znacznych konsekwencji w moim życiu.

Tymczasem siostra Irena dojrzała do matury w liceum ogólnokształcącym w Opolu Lubelskim, a później podjęła i ukończyła studia wyższe w Warszawie. Jadwiga /Anna/ uzyskała "małą maturę" w Ostrowcu Świętokrzyskim, a następnie poświęciła swoje siły pracy w gospodarstwie Rolnym w Skuszczyńcu. W Solcu nad Wisłą pedagogiczne wykształcenie uzyskali jeszcze: siostry Barbara i Krystyna i brat Zygmunt.

Ja natomiast nie zrażony czewcową przygodą z maturą, 4 sierpnia 1947 r. wyjechałem do Warszawy. Już 8 sierpnia tegoż roku podjąłem pracę w charakterze kancelisty w Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego w Warszawie. W początkach września 1947 r. po pomyślnym złożeniu egzaminów zostałem przyjęty w poczet studentów Uniwersytetu Warszawskiego i pracując zawodowo jednocześnie studiowałem.

Szybko, jeszcze w jesieni 1947 r., Bolkowi Piotrowskiemu przesłałem moim zdaniem nowe, solidne, skórkowe, podkute kamaszki, w zamian za skradzioną mi jego teczkę. Już jako magister ukończyłem dodatkowo Państwowy Instytut Pedagogiki Specjalnej w Warszawie i wkrótce ponownie pomyślnie ukończyłem kurs samochodowo-motocyklowy i znow stałem się posiadaczem prawa jazdy. Coś tam ze stopni naukowych też zaliczyłem, a biblioteki w swych katalogach odnotowały to, co napisałem i opublikowałem. Ale to już kolejny i ^{sensie} ~~sezie~~ oddzielny etap w moim życiu.

Epilog

Wydaje mi się, że przytłaczająca większość mieszkańców Słuszczyzna i okolicy, to byli ludzie spośród których ci starsi, mniej liczni pamiętali wyzwalenie się Polski z niewoli w 1918 r., zagrożenie kraju w 1920 r. i zwycięstwo Józefa Piłsudskiego w wojnie z armią radziecką. Echa tych heroiczych zmagani zostały wchłonięte i zaakceptowane przez następne pokolenia młodszych, wydorosłałych już w II Rzeczypospolitej. Ich z kolei dzieci, które rodziły się w początkach lat dwudziestych, mimo niejednokrotnie trudnych warunków życiowych, stały się w całym tego słowa znaczeniu Polakami-Patriotami.

Ta trzecia powiedziałbym generacja właśnie na schyłku okupacji niemieckiej, stawała się pokoleniem jeśli nie całkowicie dorosłym, to na pewno pokoleniem dorastających. Przedstawiciele tego oto najmłodszego ogółu byli w wieku od 17 do mniej więcej 21 lat życia. Okupacja przekreśliła i zabrała im najpiękniejsze lata rozwoju, szkoły, radość. Kultywowali to, co zdążyli im przekazać dziadkowie i walczący ze śmiertelnym niebezpieczeństwem we wrześniu 1939r. ojcowie, mianowicie, że wrogami Polski są Niemcy i Rosja, a następnie Związek Radziecki. Zresztą sami, jako ~~jak~~ kilku, czy kilkunastoletni chłopcy, czy dziewczęta, przez jakie długie 5 lat, okrutnie, ^{tego o tamu rzeczy. Można śmiało powiedzieć} codziennie znajdowali potwierdzenie ~~ze~~ ze wszyscy, a więc i ci najmłodsi trwali w przekonaniu, że po zakończonej wojnie znów będzie wolna Polska, na wzór Polski przedwojennej, o przywróconych granicach, granicach wchodnich i skorygowanych na naszą korzyść granicach północnych i zachodnich.

Oczywiście, w czasie okupacji dyskutowało się na temat konieczności dokonania poprawek wewnątrzustrojowych, w wielu dziedzinach naszego życia. Zdawano sobie bowiem sprawę z faktu, że, jak to pięk-

Piotr

nie i trafnie znacznie później powiedział i napisał pan Łosowski " Okres istnienia II Rzeczypospolitej był zbyt krótki, ażeby wypracowane plany można było zrealizować, ażeby zaległości z czasów niewoli w pełni nadrobić. Ale biorąc to wszystko pod uwagę raz jeszcze stwierdzić należy, iż postęp był olbrzymi. Niepodległa Polska wpisywała się na trwałe w mapę Europy i świata w tak ważnej dziedzinie, jaką była świadomość ludzka".^{15/}

W takiej to mniej więcej scenerii zdziesiątkowany, okaleczony, z maltretowany, umęczony i wygłodniały naród w znacznej swej części przyjmował wkraczanie na nasze ziemie armii i porządków radzieckich. U większości, gdzieś w ukrytej podświadomości tkwiło przekonanie, że nowy, zmieniony okupant, po rozgromieniu, wspólnie z zachodnimi sojusznikami hitlerowskiej, zbrodniczej maszyny wojennej, przejdzie przez Polskę i wycofa się z niej, może nawet za Zbrucz, Prypeć i Dźwinę.

Tak więc u tych lepiej zorientowanych, jak i u mniej zorientowanych tkwiła ta świadomość, że Polska była autentycznie tym pierwszym krajem, który zdecydowanie przeciwstawił się ekspansjonizmowi hitlerowskiemu.

Przecież tuż po wrześniu byliśmy zorientowani, że powstaje podziemne państwo polskie, że w Paryżu powstał legalny rząd polski na obczyźnie, że prezydentem został Władysław Raczkiewicz, urząd premiera i stanowisko naczelnego wodza objął generał Władysław Sikorski. Byliśmy przecież zorientowani, że po klęsce Francji rząd ten przeniósł się do Londynu. W kraju powstawały tajne organizacje o charakterze wojskowym, których celem była walka o niepodległość. Od Służby Zwążyestwu Polski /SZP/, po przez związek Związek Walki Zbrojnej doszło 14 lutego 1942 r. do powołania Armii Krajowej /AK/, która nawet przez Niemców została uznana za najlepiej zorganizowaną amię podziemną w okupowanej Europie. Powstały

i inne organizacje zbrojne. W tym pewnym sensie konglomeracie różnych organizacji zbrojnych nawet bardziej przygotowanym i predestynowanym niełatwo czasem było się zorientować. Ton, jak i przywództwo w działalności konspiracyjnej należały przeważnie do przedwojennej inteligencji, oficerów głównie rezerwy, podoficerów i do innych przedstawicieli, ale zbliżonych do tej właśnie grupy osób. Za ich to głównie pośrednictwem prowadzono wywiad na rzecz rządu polskiego w Londynie i zachodnich sojuszników, dywersję i sabotaż. Z zachodu otrzymywano broń, amunicję, pieniądze i specjalistów do działalności konspiracyjnej w kraju /tzw "Cichociemni". Wiodącą rolę w okupowanym kraju pełniła Armia Krajowa. Imponowała zakresem działania, rozmachem i jednoznacznie nakreślonym celem - odzyskanie niepodległości. Przyciągała więc w zasadzie wszystkie generacje, a więc i tą stającą się wtedy "pokoleniem dorastających". Tak więc władza wykonawcza w kraju, nie musiała agitować do wstępowania w szeregi Armii Krajowej, ani sztucznie uprawiać wrogiej polityki w stosunku do zbliżającego się "Wschodu".

O tym wszystkim w Słuszczyńsku wiedzieliśmy, te wiadomości się rozprzestrzeniały. Pamiętam jak późną jesienią 1941 r. uciekł z Wołynia Pałka z rodziną i zatrzymał się w Słuszczyńsku. Opowiadał o swoich przeżyciach na tamtym terenie, o przymusowych tzw "wyborach do rad wszystkich stopni", m in o przymusowej kolektywizacji. Znalazł się w kołchozie i aby uzyskać wynagrodzenie za pracę dające szansę na przeżycie z rodziną, musiał oszukiwać, być nieuczciwym w pracy.

Takie i podobne wiadomości nie budziły zaufania do wschodniego sąsiada. Czara goryczy została przepełniona, gdy Niemcy ogłosili światu, iż w miejscowości Katyn koło Smoleńska znajdują się masowe groby oficerów polskich z kampanii wrześniowej, internowanych przez Armię Czerwoną po 17 września 1939 r.

W 1943 r. klęska Niemców stała się oczywista. Na konferencji

w Teheranie, w listopadzie 1943 r. szefowie rządów USA, Wielkiej Brytanii i ZSRR uzgodnili, że Niemcy powinni zwrócić zagrabione terytoria i, że Polsce należy przyznać niektóre z tych ziem, które dotąd należały do III Rzeszy. W lutym 1945 r., kiedy zwycięstwo nad III Rzeszą było już bliskie, szefowie rządów Roosevelt, Churchill i Stalin spotkali się w Jałcie na Krymie. Z decyzjami, jakie tu zapadły, dotyczącymi polskich granic wschodnich, nie mogliśmy się pogodzić. Jeszcze zakładaliśmy, że ostateczne ustalenie wszystkich naszych granic będzie dokonane na konferencji pokojowej. Jak to, zastanawialiśmy się, obecnie np Anglicy uwzględniają opinię nieprzychylnych Polsce: G.N. Curzona i Llydia Georgea a lekceważą decyzję innego Anglika, członka Rady Ambasadorów, który opowiedział się za granicą na Zbruczu? W tej sytuacji wiele oddziałów AK nie chciało się ujawnić i pozostało nadal w podziemiu.

Tymczasem 1 sierpnia 1944 r., o godzinie 17 wybuchło Powstanie Warszawskie. Miało ono między innymi doprowadzić do wyzwolenia stolicy, a więc do stworzenia warunków do jawnej działalności rządu emigracyjnego, tym razem już w wyzwolonej Warszawie. Powitałby on Armię Radziecką jako legalną władzę polską. W związku z tym komendant główny AK, gen. Tadeusz "Bór"-Komorowski dał rozkaz wszczęcia powstania w Warszawie. Ponad 2 miesiące Warszawa walczyła. Nie uzyskała pomocy ze strony wojsk radzieckich, stojących na Pradze /dzielnica Warszawy/, po drugiej stronie Wisły. Pomoc nadchodziła jedynie od lotnictwa brytyjskiego, polskiego, południowoafrykańskiego i amerykańskiego, z baz we Włoszech lub z Anglii. Powstanie upadło. Takie zachowanie się Związku Radzieckiego nie mogło wzbudzić sympatii wśród Polaków do ZSRR.

W styczniu 1945 r. Armia Krajowa została rozwiązana przez jej nowego komendanta gen. Leopolda Okulickiego. Z tą decyzją niełatwo

mogły się pogodzić tzw "doły" akowskie, które na codzień doświadczały wrogości władz radzieckich i sprzymierzonych z nimi komunistycznych władz polskich. Przykładem w tym zakresie była działalność radzieckich organów bezpieczeństwa, które w marcu 1945 r. w podstępny sposób aresztowały 16 przywódców obozu londyńskiego w kraju wraz z gen. Okulickim i wywoziły ich do Moskwy, gdzie byli sądzeni i po latach tylko bardzo nieliczni wrócili do kraju.

Dyrektywy i inwigilacja płynące z Moskwy były bolesne dla społeczeństwa, ofiarami padali ludzie. Prześladowania dotknęły najwcześniej żołnierzy Armii Krajowej, których kilkadziesiąt tysięcy zostało w latach 1944-1945 wywiezionych do obozów pracy, wtrącono do więzień, bądź rozstrzelano. Odbływały się zakłamanie, tendencyjne, niezgodne z zasadami praworządności procesy sądowe, w wyniku których zapadały wyroki skazujące wielu oficerów i żołnierzy AK.

Ludzie maleńcy nie mogli mieć jakiegokolwiek, w jakimś sensie odpowiedzialnego, pojęcia o tych wszystkich zmianach, przemieszczeniach, jakie zaistniały w wyniku trwania i zakończenia II wojny światowej. Decyzje zapadały na najwyższym szczeblu światowym. Tylko nieliczni byli cokolwiek, w przybliżeniu zorientowani. Dopiero z perspektywy kilkudziesięciu lat, przy spojrzeniu wstecz można się jedynie domyślać, że nieprzeciwstawianie się, a nawet zachęcanie komunizmu do parcia w kierunku Dunaju, Odry i Łaby było wkalkulowane, założone, przewidziane, uwzględnione, zaplanowane przez mocarstwa zachodnie. W tym celu, aby bardziej lub mniej odległa potomność ostatecznie przekonała się, że pisma i słowa Marksa, Lenina, Trockiego, Stalina i im podobnych - to nic innego, jak tylko kłamliwe, oszukańcze i jakże bandyckie hasła, obliczone na naiwność niezorientowanych, stanowiące zaprzeczenie człowieczeństwa, humanitaryzmu, przynoszące tylko ogrom cierpień.

Nie mające nic wspólnego z poszanowaniem i ideałem życia, a przeciwnie, uniemożliwiająca ludziom swobodny rozwój i szczęście.

Trzeba było aby mieszkańcy Europy Środkowej, a także w niektórych przypadkach i zachodniej tym razem dobitnie przekonali się, z czym do nich przybywa komunistyczny wschód. To rozciągnięcie armii i wpływów sowieckich na kontynencie europejskim udowodniło, że nie są oni w stanie przynieść pozytywnego programu przebudowy warunków życia ludności. To z jednej strony. A z drugiej strony, milionowe rzesze żołnierzy radzieckich, dotychczas izolowanych i w perfidny sposób oszukiwanych zetknęły się na obecnie zniewalanych przez siebie terenach - z innym życiem, bardziej ludzkim, wolnym, łagodnym, przystosowanym do potrzeb człowieka, dającym wszystkim ludziom możliwości autentycznego, wszechstronnego rozwoju.

Wspomniana konfrontacja świata wolności ze światem niewolnictwa zaowocowała dopiero w czterdzieści kilka lat po zakończeniu II wojny światowej. Na schyłku lat osiemdziesiątych i w początkach lat dziewięćdziesiątych XX wieku załamało się Imperium Zła.

Jak wobec tego na tle wyżej przypomnianej sytuacji naszego kraju, w jakiej się znalazł w roku 1945 i kilku lat najbliższych ocenić zachowanie się i podjęte przez Jana Pałkę i Czesława Rutkowskiego decyzje? Wspólne ich cechy, to: zbliżony wiek życia, około 21 lat, z identycznych grup społecznych, niedokształcenie /po kilka klas rachitycznej wiejskiej szkoły podstawowej/, wzrastanie w nędzy, strachu i zagrożenia życia, naturalne dążenie do awansu społecznego, do zmiany nędznego dotychczasowego położenia w społeczeństwie. Bez niepotrzebnego wdawania się w szczegóły, można stwierdzić, że jedyną różniącą ich cechą to nieco odmienne przykłady i wzory przyjęte ze swych własnych środowisk rodzinnych. Janek wzrastał przy boku starszego brata Stefana, przedwojennego kaprała lub najwyżej plutonowego. Stefan był jednak dla Janka autorytetem, któ-

remu Janek bezwzględnie ufał. Przecież Stefan podczas okupacji należał do ugrupowania akowskiego, w skład którego wchodziłi przedwojenni nauczyciele, oficerowie rezerwy, podoficerowie, urzędnicy i inni tzw przedwojenni inteligenci lub blisko tych inteligentów pozostający.

Przewaga intelektu po stronie Stefana, jego kolegów i współpracowników w porównaniu z Jankiem, absolwentem 3 lub 4 klasy sześcianańskiej szkoły podstawowej była zbyt wielka i oczywista. Janek miał z kogo i z czego czerpać wzory, nie miał wyboru. W swych myślach, wyobrażeniu, postępowaniu, działaniu, musiał kultywować te wartości, które podsłuchał, podpatrzył, wywnioskował, zaobserwował u tych, z którymi najczęściej się spotykał i ufał im. Zresztą za te wszystkie prawdy jego brat Stefan oddał życie w Końskich, 3 czerwca 1944 r. 20-letni Janek zginął kilkanaście miesięcy później, ^{atakując} ~~stojąc~~ na posterunku ^{ek} Milicji Obywatelskiej w Solcu nad Wisłą.

Z kolei Czesław, pierwszą część cech posiadał identyczną do cech Janka. Różniącą ich cechą, to wstąpienie przez Czesława do Milicji Obywatelskiej. Był on blisko, czy nawet spokrewniony z rodziną Mazurów. Jeden z nich, Władysław mimo to, że nie posiadał żadnego wykształcenia, to na tle wsi był bardziej widoczny. Potrafił dość demagogicznie przemawiać, przekonywać. Miał niewielkie, zaniedbane gospodarstwo rolne, częściej czytał gazety. Wyławiał wiadomości z za Bugu, najczęściej nieprawdziwe i usiłował je rozpowszechniać. Posiadał wyraźne inklinacje komunistyczne. Mógł bezpośrednio, lub pośrednio oddziaływać na Czesława. Zresztą to, do decyzji Czesława nie było konieczne.

Przecież po wypędzeniu Niemców też trzeba było bronić mieszkańców wsi i miast przed złodziejstwem i bandytyzmem. W milicji dawali nieco jeść, początkowo niewiele, ale wypłacali jakieś wynagrodzenie pieniężne, a ponadto dawali mundury, a to wtedy był wyraźny

awans społeczny. A że milicja? Cóż złego kryje się pod tym terminem? Nawet mógł słyszeć, że niektóre katolickie stowarzyszenia religijne posiadały milicję. Np sodalicja mariańska. Niektórzy jej członkowie byli w posiadaniu Dyplomów Milicji Niepokalanej. Często byli to ludzie wykształceni lub kształcący się i byli z tego dumni. Kiedyś była milicja dworska, straż przyboczna królów i możnowładców. Bywa milicja rzeczna, obozowa, narodowa, miejska i tp. A miles, itis - to przecież żołnierz, wojownik, żołnierz pieszy, prosty żołnierz. Kto tu jest winien?

Można jeszcze przypomnieć, że w powstałym w czerwcu 1908 r. Związku Walki Czynnej mieściły się Koła Milicyjne PPS, na gruncie galicyjskim. A sam ZWC powstał z inicjatywy K. Sosnkowskiego, przy ul. Lenartowicza 12 we Lwowie, a na tym pierwszym zebraniu obecny był Józef Piłsudski 16/.

Decyzja Czesława Rutkowskiego o wstąpieniu do Milicji Obywatelskiej wynikała właśnie z wyżej przybliżonych przesłanek. Czesław zginął broniąc posterunku Milicji Obywatelskiej w Lipsku, pow. iłżecki. (X)

Jak ocenić obecnie tych 2 młodych chłopców? Obydwaj w tak zwanej "wielkiej polityce" nie byli zorientowani, działali na tzw "najniższych szczeblach". Bieg wydarzeń potwierdził trafność przewidywań akowców. Natomiast ci sprawujący z nominacji ZSRR władzę kierowali się interesem ościennego wschodniego mocarstwa, które nasz kraj pozbawiło suwerenności na 45 lat. Stworzono specjalny język, dyktaturę uzasadniono naukowo /czyt. pseudonaukowo/ - dyktatura mniejszości nad większością. Polska nie miała własnej polityki zagranicznej. Zniewolenie, jakie szło ze wschodu było wyrafinowaną zbrodnią, miało podstępny charakter, zachowano przecież symbole narodowe i to m.in. Sprzyjało współpracy z sowieckim okupantem. (X)

W zachowaniu się Janka Pałki może i można dopatrzeć się: świa-

był Józef Piłsudski 16/.

Decyzja Czesława Rutkowskiego o wstąpieniu do Milicji Obywatelskiej wynikała właśnie z wyżej przybliżonych przesłanek. Czesław zginął broniąc posterunku Milicji Obywatelskiej w Lipsku, pow. iłżecki. (X)

Jak ocenić obecnie tych 2 młodych chłopców? Obydwaj w tak zwanej "wielkiej polityce" nie byli zorientowani, działali na tzw. "najniższych szczeblach". Bieg wydarzeń potwierdził trafność przewidywań akowców. Natomiast ci sprawujący z nominacji ZSRR władzę kierowali się interesem ościennego wschodniego mocarstwa, które nasz kraj pozbawiło suwerenności na 45 lat. Stworzono specjalny język, dyktaturę uzasadniono naukowo /czyt. pseudonaukowo/ - dyktatura mniejszości nad większością. Polska nie miała własnej polityki zagranicznej. Zniewolenie, jakie szło ze wschodu było wyrafinowaną zbrodnią, miało podstępny charakter, zachowano przeciwko symbole narodowe i to m. in. Sprzyjało współpracy z sowieckim okupantem. (X)

W zachowaniu się Janka Pałki może i można dopatrzeć się: świa-

(XX)

Przeciwstawianie się sowieckiej okupacji i komu-
nizowaniu kraju było wyrażone skutecznie na
północ od Solca i Lipska. Od poranku 1946 r
na wspomnianym terenie prześladowano
akowską młodzież, walka trwała. Tak było
w Solcu, Lipsku, Sycynie, Zwoleniu, w Zwoleniu,
w Ciepionie, w Policznie, w Garbnie-
cach, w Wielkiem, przy szosie Radom - Putawy,
obok wsi Łaski i w innych miejscowościach.
Żołnierzykami bądź domowcami oddziałów byli:
"Orzeł" - Tadeusz Bednarski z Garbni, Leon Ste-
pien w Ciepionie, "Jur", "Janusz", "Jacek", "Za-
gony", "Zapora", "Harnaś", "Jumielanko" w Policznie,
"Ostry" - Janek Ropczak z Garbni. W wielu miej-
scowościach posterunki milicji zostały rozbite. Por. Bar-
bara Kulka: z Łasem w tle, "Karta" 1994 nr 13.

domowego, podświadomego, intuicyjnego, a może i targicznie naiwnego - ale przeciwstawiania się władzy nie chcianej i narzuconej społeczeństwu. W jakimś sensie odrzucał dominację ZSRR nad własnym krajem.

W niewyszukanej, prostackiej interpretacji, zachowanie się Czesława Rutkowskiego odebrane zostało jako pomoc w utrwalaniu zależności Polski od ZSRR.

Nie można jednak porównywać decyzji Czesława i kosekwencji stąd płynących, z decyzjami i działalnością tych rzekomo "niezależnych", "apolitycznych" i bezpartyjnych, którzy na przykład ^dpojęli trud /obiektywnie biorąc chwalebny/ zdobywania stopni i tytułów naukowych. Przecież to nie takim jak Czesław ścisnął publicznie /np w telewizji/ dłoń w Belwederze Cyrankiewicz, Jaroszewicz, Gomułka, Bierut, Gierek lub inni przedstawiciele ówczesnych notabli i establishmentu. I później - którzy to i ilu z nich już z wysokiej katedry /trybuny/ i jak często pisali i apelowali do "maluczkich", aby ci wyteżali siły dla dobra Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej? Kto w tym kontekście bardziej ogłupiał i uzależniał naród od ZSRR?

Zresztą, kto po 1945 r. mógł sobie pozwolić na to, aby nie pracować, nie uczyć się, nie pisać, nie publikować? Spotkałem wtedy w Kielcach przedwojennych właścicieli majątków ziemskich, już rozparcelowanych, którym ^{poprostu} udało się zachować życie i pobyt na tamym terenie. Podejmowali oni pracę w administracji państwowej, chyba w ^{miczej} urzędowej VII grupie zaszerogowania.

Chociaż po latach, ale ja to musiałem napisać. Ktoś, kiedyś powiedział, że przez książki i w książkach stajemy się nieśmiertelni. Może ci wszyscy pomordowani dzięki temu żyć będą wiecznie?

Jeśli tak, to tym skromnym opracowaniem przynajmniej w bardzo niewielkiej mierze spełniłbym ciążące na mnie zadanie.

Wykaz zamordowanych

Wykaz mieszkańców Słuszczyzna i Kolonii Las Gliniański zabitych przez Niemców w okresie od września 1939 r. do stycznia 1945 r., a także osób, które utraciły życie już po II wojnie światowej, lecz w wyniku powikłań wojennych.

1. Stanisław Kalinowski	IX 1939 r.	Kol. Las Gliniański
2. Henryk Pałka	IX 1939	Słuszczyzn
3. Józef Borek	1943	Słuszczyzn
4. Stanisław Łukasik	VII 1943	Słuszczyzn
5. Stanisław Borek	6 I 1943	obok Słuszczyzna
6. Stanisława Borkowa	6 I 1943	obok Słuszczyzna
7. Czesław Borek	6 I 1943	obok Słuszczyzna
8. Honorata Wójtowiczowa /córka Borków/	6 I 1943	obok Słuszczyzna
9. Piotr Wójtowicz /zięc Borków/	6 I 1943	obok Słuszczyzna
10. Dziecko Wójtowiczów/9 mies/	6 I 1943	obok Słuszczyzna
11. Antoni Mazur	1943	Kol. Las Gliniański
12. Alfons Gozdur /kuzyn Siwczyny?/	1943	Słuszczyzn
13. Helena Jasińska	15 XII 1943	Słuszczyzn
14. Danek Zbrożek	V 1943	Słuszczyzn
15. Antoni Pałka	10 II 1944	Słuszczyzn
16. żona /Emilia?/ Pałczyna	10 II 1944	Słuszczyzn
17. Józef Pałka	10 II 1944	Słuszczyzn
18. Stefan Pałka	3 VI 1944	Słuszczyzn
19. Gienek Jasiński	1944	Słuszczyzn
20. Franciszek Lasota	1944	Kol. Las Gliniański
21. Stefan Binerat "Ocz"	1944	Słuszczyzn
22. Jan Pawliński	6 VIII 1944	Słuszczyzn
23. Janek Pałka	VI 1945	Słuszczyzn
24. Stanisław Maruszczyk	1944-1945	Słuszczyzn

25. Franciszek Łukasik	1946	Słuszczyń
26. Anna Blankówna	5 IV 1947	Słuszczyń
27. Czesław Rutkowski	1947	Kol. Las Gliniański
28. Jerzy Blank /brat Anny/	1950	Słuszczyń

Wytaz źródeł i sprostowanie

- 1/ J. Janicki: Przechodniu, jeśli w Żółkwi stronach będziesz, "Życie Warszawy" nr 34 z dn 9 lutego 1990 r. wkładka "Historia i życie"
- 2/ A. Kulikowski: Czy znasz swój ród? "Życie Warszawy" z dn 25-26-27 marzec 1989 r.
- 3/ Czesław Miłosz: Szukanie Ojczyzny. Wydawnictwo Znak Kraków 1992 str 133-135 i następne.
- 4/ Stanisław Lem: Stanie się tylko to, co niemożliwe. "Życie Warszawy" świąteczne, 24,25,26 grudnia 1991.
- 5/ Informacja Hanny Tomankiewiczówny, siostry Mariana z dnia 5 kwietnia 1992 r.
- 6/ H. Auderska: Ptasi Gościniec. Babie lato . Wydawnictwo MON Warszawa 1987 r. " Jakże tak? Nie sojuźniki, nie pomoc, tylko ^zrobrajanie. Rozbrajanie naszych?... str. 31.
- 7/ Stefan ^{Skwarek} ~~Skowronek~~: Ziemia radomska w walce z okupantem 1939-1944 "Książka i Wiedza" Warszawa 1971 str. 150.
- 8/ S. Skwarek: ibid str 35.
- 9/ Informacja niedokładna: Kundek Brauliński zginął na północ od Rzymu dnia 18 lipca 1944 r. jako żołnierz-kapral Pierwszej Samodzielnej Kompanii: "Commando 1942-1944- No 10 Commando - 6 th". Miało to miejsce przy osi Croce s. Vinzenzo - Agugliana - Cassero, blisko miasteczka Castelferretti przy rz. Essino, w pobliżu Ancony, wzgórze Montagniola, Villa Virginia i nast. rz Mussana, wioska Casce nuove. Zob. "Zielony talizman" Bologne 1946 zbiór reportaży, około 15 autorów, wśród nich M. Wańkowicz. Także K. Brauliński zdążył tu zamieścić artykuł pt "Domek na wzgórzu" strony 99-101.

10/ Das verfluchte polnische Volk vom Gott im Zorne erschaffen.

11/ H. Nurowski, Wspomnienia byłego subiekta /W/ Wspomnienia działaczy spółdzielczych. T. V. Spółdzielczy Instytut Badawczy. Zakład wydawniczy CRS Warszawa 1973 str 345 - 367.

12/ S. Skwarek 1971 str. 47.

13/ Piotr Ostaszewski: Misja ~~Haasera~~ ^{Hoovera} "Życie Warszawy" 28,29 marzec 1992 r.

14/ W. Budzyński: Jak rozbrajałem niewypały "Życie Warszawy" z 19 stycznia 1992 r. nr 11 Historia i życie.

15/ P. Łossowski: "Przegląd Tygodniowy" 1988 nr 23, str 10.

16/ Stanisław Mackiewicz Cat: Klucz do Piłsudskiego, Warszawa "Iskry" 1992 str 132 i następne.

17/ "Kielich po odzyskaniu niepodległości wyjechał i mieszka koło Grudziądza, tam się ożenił i gospodarzy"/ wyjątek z listu M. Szewczyka do autora, z maja 1992 r./

18/ Jak dalece terror okupanta oddziaływał na mieszkańców wspomnianych wiosek niech świadczy i taki fakt. O pobycie J. Borka w Oświęcimiu, jak wcześniej napisałem, w naszej rodzinie wiedzieliśmy, tym bardziej brat Henryk i ja. Nie widzieliśmy potrzeby upowszechniania tego faktu, tym bardziej, że wiedziała o tym matka Borka - Jasińska /z drugiego męża/, jej najbliższa rodzina, może sąłtys i inni. Ludzie czuli, że "gadatliwość" jest niebezpieczna i jeśli to nie było konieczne, nie mówili o tym, stąd niektóre wiadomości nie rozchodziły się. Gdy 50 lat po wojnie wszcząłem skromną korespondencję z M. Szewczykiem, ten napisał mi: "Co zaś się tyczy Józefa Borka to nie pamiętam żeby był w Oświęcimiu? Wiem, że w 1939 r. poszedł z więzienia na wojnę i od tego czasu nic o nim nie wiem". /List z maja 1992 r. przechowywany w aktach autora/.

Spis treści

1. Prolog	Str 1
2. Wzrastanie	4
3. Dziurków i Słuszczyn	40
4. Solec	47
5. Zagrożenie	61
6. Wojna	62
7. Gospodarka w czasie okupacji	68
8. Zamieszkałem w Warszawie	97
9. Dłużej w Słuszczynie	102
10. Wstąpiłem do Armii Krajowej	127
11. Wysiedlenie	132
12. Od Potoczka do Potoka	142
13. Ucieczki	147
14. Potoka	148
15. Na urlopie	155
16. Przetrwanie, nauka, praca	165
17. Epilog	175
18. Wykaz zamordowanych	184
19. Wykaz źródeł i sprostowanie	186
20. Spis treści	188